

Beniamin Muszyński

WITRAŻ



Copyright © by Beniamin Muszyński, 2015.
Copyright © for this edition by Masz Wybór, 2021.

Autor: Beniamin Muszyński

Tytuł: Witraż

Grafiki: Justyna Bzdoń

Korekta: Justyna Anna Maksoń

Redaktor techniczny: Beniamin Muszyński (wersja PDF, MOBI, EPUB)

W niniejszej publikacji wykorzystano czcionkę Old Standard zaprojektowaną przez Alexeya Kryukova. Czcionka użyta zgodnie z licencją [Open Font Licence](#).

Niniejsza publikacja nie może być modyfikowana ani odsprzedawana bez pisemnej zgody Wydawcy. Dozwolone jest jej kopiowanie, dystrybucja bezpłatna na licencji freeware oraz druk na papierze w dowolnej liczbie egzemplarzy.

Wydawnictwo Wielokrotnego Wyboru



(grupa nieformalna)

www.masz-wybor.com.pl

wydawnictwo@wydawnictwoww.pl

Wydawca oficjalny:

Masz  **Wybór**

Redaktor Naczelny:

Beniamin Muszyński

ul. Sadowa 13/34

38-500 Sanok

www.masz-wybor.com.pl

magazyn.masz.wybor@gmail.com

ISBN 978-83-951564-5-8

Wydanie I (poprawione)

Nakładem Wydawnictwa Wielokrotnego Wyboru ukazały się dotąd następujące pozycje

[stan na Styczeń 2021]:

Gry książkowe:

1. **Szklana Twarz**, Benjamin Muszyński. Fantastyka.
2. **Zaginiony**, Benjamin Muszyński. Horror.
3. **Tajemne Oblicze Świata**, Mikołaj Kołyszko. Horror.
4. **Janek – Historia Małego Powstańca** [wersja I], Benjamin Muszyński, dr Maciej Słomczyński. Edukacyjna.
5. **Pokuta**, Benjamin Muszyński. Thriller.
6. **Tajemne Oblicze Świata II: Piekielny Szyfr**, Mikołaj Kołyszko. Horror.
7. **Tłó**, Benjamin Muszyński. Fantastyka/Społeczna.
8. **Uwikłana**, Benjamin Muszyński. Sensacja.
9. **Incydent**, Benjamin Muszyński. Horror.
10. **Przesyłka**, Michał Śłużyński. Fantastyka.
11. **Callista**, Przemysław Pocięcha. Fantastyka/Baśń.
12. **Prywatne Śledztwo**, Benjamin Muszyński. Detektywistyczna/Historia alternatywna.
13. **Marsz Hańby**, Piotr Bąkowski. Fantastyka/Historia.
14. **Marcewo**, Benjamin Muszyński. Sensacja.
15. **Plaga**, Benjamin Muszyński. Sensacja/Weird fiction.
16. **Wilcza Siostra**, Ewa Bednarek, Dominik Matusiak. Dark fantasy.
17. **Afrykański świt**, Benjamin Muszyński. Przygodowa.
18. **Za wszelką cenę**, Adam Jankowski. Katastroficzny.
19. **Pompeja**, Wojciech Kowalczyk. Wojenna.
20. **Ten Dom**, Agnieszka Wiatrowska. Horror.
21. **Chwała**, Benjamin Muszyński. Fantastyka/Społeczna.
22. **Ostatni kurs**, Benjamin Muszyński. Przygodowa.
23. **Dinara: Prastare szczyty**, Benjamin Muszyński. Przygodowa.
24. **Oni**, Benjamin Muszyński. Edukacyjna.
25. **Jestem**, Benjamin Muszyński. Weird fiction
26. **Pierścień lorda Hatifnata**, Andrzej Betkiewicz. Fantastyka.
27. **Amelia**, Dominik Matusiak. Thriller.
28. **Koniec**, Dominik Matusiak. Horror.
29. **Ręka Pana**, Paweł Bogdaszewski. Horror.
30. **Vae victis**, Benjamin Muszyński. Fantastyka.

31. **Skafander**, Paweł Bogdaszewski. Horror.
32. **Akty (samo)zagłady człowieka (nad)wrażliwego**, Benjamin Muszyński. Weird fiction.
33. **Wyspa Zmierzchu**, Jarosław Irzykowski. Fantastyka, horror.
34. **Czarny Legion**, Rafał Nowocień. Science fiction.
35. **Lot Żółtej Orchidei**, Igor Małyszczak. Science fiction.
36. **Pewnej wilezej noey**, Jurij Charłamow. Fantastyka.

Inne:

1. **Przebudzenie**, Benjamin Muszyński. Opowiadanie [Weird fiction].
2. **Groza jest święta**, Mikołaj Kołyszko. Rozprawa naukowa.
3. **Witraż**, Benjamin Muszyński. Zbiór opowiadań [Groteska, Fantastyka, Horror, Weird fiction].
4. **Hipoteza**, Benjamin Muszyński. Powieść [Postapokalipsa].
5. **Fantasmagorie**, Benjamin Muszyński. Powieść [Groteska, Weird fiction].

We współpracy:

1. **Moja Mała Trylogia**, Benjamin Muszyński. Zbiór powieści [Political fiction, Weird fiction].
2. **Dziecięce koszmary i fantazje**, H. P. Lovecraft (tłum. Mikołaj Kołyszko, Radosław Jarosiński). Zbiór opowiadań [Weird fiction].

Beniamin Tytus Muszyński

Witraz

**LEKTURA DOZWOLONA TYLKO DLA DOROSŁYCH CZYTELNIKÓW!
ZAWIERA TREŚCI MOGĄCE ZOSTAĆ UZNANE ZA PERWERSYJNE ORAZ
OPISY SCEN PRZEMOCY BĘDĄCE NIEODPOWIEDNIE DLA NIELETNICH.**

Spis treści	
<u>Wstęp</u>	8
<u>Prehistoria</u>	9
<u>Dobrze znana historia</u>	10
<u>Cron</u>	16
<u>Spacerniaki</u>	46
<u>Gdy na chleb pracować muszę</u>	47
<u>Senny spacer</u>	50
<u>Wielkie poszukiwania albo lingwistyczna gierka</u>	54
<u>Eksperymenty</u>	57
<u>Bezsensowność</u>	58
<u>NANA, czyli SIEDEM opowieści o niezłym szczegóły:</u>	59
<u>Matylda i Mateusz, czyli bajka terapeutyczna</u>	60
<u>Sąsiad</u>	64
<u>Leśny człowiek</u>	70
<u>Dom na wzgórzu</u>	72
<u>Strażnik schodów</u>	79
<u>Śnieżynka</u>	82
<u>Fuga a paradiso</u>	85
<u>Echa apokalipsy</u>	92
<u>Ostatnia zima</u>	93
<u>Zwycięzca</u>	124
<u>Kroniki zagłady</u>	144
<u>Dimetylotryptamina</u>	149
<u>Rewers</u>	150

Wstęp

Jestem, jak wielu ludzi, podatny na magię podsumowań. Zamknięcie pewnego okresu czasu w wyraźne ramy i sporządzenie bilansu zysków i strat sprawia mi satysfakcję. Nie inaczej jest w przypadku tego, co tworzę, chociaż w tym względzie nie mnie oceniać finalne efekty. To zadanie należy do Ciebie.

Niniejszy zbiór wyselekcjonowanych tekstów pochodzi z lat 2006 – 2012 i stanowi literacki zapis powolnego przejścia od bezkształtnego nastolatka obdarzonego umiejętnością panowania nad słowem i pasją pisania, do roli twórcy świadomie szukającego dla siebie najlepszego sposobu ekspresji.

Publikacja *Witrażu* ma również na celu, czego nie ukrywam, uniknięcia coraz realniejszej w tej chwili [tj. w roku 2014] groźby zaszufladkowania mojego nazwiska jako twórcy wyłącznie gier książkowych. Z radością przyznaję, że zrealizowałem się w tym gatunku i nie żałuję żadnej z chwil poświęconych na jego promocję oraz tworzenie kolejnych projektów, niemniej swoją pisarską przyszłość widzę w prozie klasycznej.

Tyle tytułem wstępu. W końcu Ciebie nie obchodzi zbytnio *dla czego?*, tylko *jak?* A jak prezentują się teksty zawarte w tym zbiorze ocenisz samodzielnie.

Prehistoria

(lata 2006 i 2007)

Wybrane teksty konkursowe z okresu szkoły średniej.

Dobrze znana historia

Mężczyzna niepewnie kroczył przez otwartą przestrzeń porośniętą falującą, soczyście zieloną trawą. Kępy roślin nie zdradzały co prawda żadnych nikczemnych zamiarów, lecz wielomiesięczna wyprawa, oprócz zdercia ubrania i przerdzewienia pancerza, nauczyła go nie ufać niczemu, co wygląda na mało nikczemne. Postąpił jeszcze kilka kroków i znalazł się w cieniu drzew. Ostatni etap jego wędrówki stanowiła teraz mała ścieżynka, wiodąca przez ogród pełen dorodnych jabłoni. Dojrzałe owoce można było rwać z ugiętych pod ich ciężarem konarów. Na to jednak nie nadeszła odpowiednia pora, bowiem cel był już w zasięgu ręki. Gdzieś na końcu zielonej drogi coś lśniło intensywnie w promieniach słońca. Nie miał zamiaru dłużej czekać. Zdjął z siebie resztki bezwartościowej już zbroi i bosy, odziany w prostą tunikę popędził przed siebie, by już po kilku minutach stanąć na polanie, pośrodku której znajdował się upragniony cel podróży. To, co ukazało się jego oczom, było najwspanialszym widokiem, jaki w życiu oglądał. Wcześniej widywał już różne cudowne rzeczy. Cudowne, piękne, śliczne... lecz czegoś takiego jeszcze nie widział, aczkolwiek gdyby widział coś podobnego, pewnie uznałby, iż to co widzi teraz, jest najwspanialsze ze wszystkiego, co widział do tej pory. Był to zatem najwspanialszy widok, jaki dane mu było w życiu oglądać. Poczł się nagle nieco skołowany. W każdym razie, spoglądał ku wysokiemu drzewu o lśniącej złotym blaskiem korze, soczyście zielonych liściach i srebrnej tablicy wrośniętej w pień z wygrawerowanym starannie przesłaniem: „*Rajskie drzewo ze świętym owocem*”, oraz strzałką wskazującą na prawo. Obrócił głowę we wskazanym kierunku i ujrzał starą jabłoń z kilkoma owocami nieco przypominającymi pomarańcze. Koło pnia stała wbita w ziemię drewniana tabliczka z nabazgranym niedbale napisem: „*Rajskie drzewo i święty owoc. PS. Teraz już można jeść*”. Podróżnik stał przez moment z niepewnym wyrazem twarzy. Postanowił zdać się na instynkt, zatem wyciągnął swój miecz. Naraz zza złotego pnia wyszedł jakiś człowiek. Okazał się nim być nieco zgarbiony starzec z lśniącą w słońcu łysiną i długą, śnieżnobiałą brodą sięgającą niemal do pasa. Ubrany w prostą, szarą szatę, opierał się na wysokiej lasce pasterskiej. Jednak fakt, iż znajdował się na mitycznym rajskim płaskowyżu, do którego znalezienia należało użyć wskazówek udzielonych przez największych kapłanów w największych świątyniach, sugerował, że mógł nie być zwykłym pasterzem. Z drugiej jednak strony, po prostu owca mogła mu się zgubić. Cholera wie, kto to był.

– Kim jesteś starcze?

Przybysz zza drzewa obrzucił wędrowca baczny spojrzeniem. Młody, jasnowłosy

mężczyzna prawdopodobnie wypasał kozy, aczkolwiek okoliczności wskazywały, iż może to być heros. Chociaż, ponoć, kozy potrafiły szybko umykać.

– Ha! Jam jest Patronus Ikaris Karrola Antus, prorok. Mężny wojownika – dodał na wypadek, gdyby rozmówca nie zajmował się jednak wypasem kóz.

– Uch. Zwą mnie Cron. Pochodzę z odległej krainy daleko stąd.

Nie zabrzmiało to tak wzniosłe jak „Jam jest Patronus Ikaris Karrola Antus, prorok”, jednak rozmówca schylił nieco łysinę.

– Zatem wojownika, co porabiasz na terenie tego świętego miejsca? Czyżbyś szukał świętego owocu?

Cron przez moment zastanawiał się, czy było to pytanie, stwierdzenie faktu, złośliwość, czy zawila alegoria. W końcu zdecydował się odpowiedzieć wyuczonymi specjalnie na takie okazje słowami:

– No... W sumie tak....

– Aha. Cóż, bierz zatem owoc, jeśli po niego przybyłeś! – chyba jednak młodzieniec był herosem i w dodatku z mieczem, pękniętym bo pękniętym, ale zawsze to stal, a nie kij.

– Zatem Patrona...

– Mów mi prorok Pika.

– Zatem Pika. Proroku – dodał pośpiesznie na wypadek, gdyby rozmówca posiadał jakieś złowrogie, nadprzyrodzone moce. – Mogę tak po prostu zabrać sobie święty owoc?

– Nie.

– Ech... – zaczynało się robić znajomo, chyba starzec nie był jednak pasterzem.

– Musisz przemyśleć, czy twą duszę wypełnia szaleńcza chęć zdobycia go za wszelką cenę, by móc dotykać jego gładkiej skóry, rozkoszować się swą zdobyczą, aż całkiem zaspokoisz swe wzburzone zmysły. Jeśli tak, to zastanów się, dlaczego tego pragniesz.

– Ale chodzi o owoc? – spytał niepewnie Cron.

– A co myślałeś?

– A nic! Tylko taka jedna władczyni amazonek też coś podobnego mówiła o pożądaniu czegoś... Zresztą nieważne. Pożadam go. A pożadam go, owocu oczywiście, bo to jest święty owoc. Daje wieczną młodość, nadludzką siłę, szczęście i tym podobne.

– Szczęście powiadasz? Usiądź zatem i posłuchaj pewnej historii.

Starzec opadł na ziemię, wdychając ciężko. Cron napiął wszystkie mięśnie. Zwykle takie opowieści kończyły się wrednym pytaniem o sens i szczegółowym opisem tego, co

spotyka tych, którzy nie znajdowali odpowiedzi. Jednak może to taki zwyczaj wśród prostych, okolicznych pasterzy. Udawanie proroków, dziwne opowieści. W końcu owce są wszędzie, nawet w Raju. Rajskie owce. Pożywne, zawsze świeże, hodowane naturalnie, a nie nafaszerowane jakimiś magicznymi wywarami. Rozmarzony wzrok herosa napotkał pytające spojrzenie mędrca.

– Zatem, jesteś gotów wysłuchać opowieści?

To była nowość. Zagadka już na początek.

– No dobrze...

Cron zrezygnowany usiadł naprzeciw starca, który uśmiechnął się szeroko.

– Ha! To moja ulubiona! Słuchaj zatem! Przed wieloma, wieloma wiekami, gdy świat był młody, a ludzie nie ztratili jeszcze swej więzi z naturą, w odległej krainie żył sobie pewien prosty człowiek, który zapragnął wyruszyć w świat, by znaleźć szczęście...

– To będzie o mnie? Taka alegoria do współczesności?

– Nie. Będzie o lwie, drzewie i dziewicy... Kobięcie – dodał po chwili namysłu domniemany prorok. – Słuchaj mnie i nie przerywaj! Otóż, ów prosty człek opuścił swój rodzinny dom, by znaleźć szczęście. Słyszał za młodu, iż na szczycie góry nieopodal jego wsi mieszka Mędrzec. – Cron otworzył usta, lecz starzec zdołał go ubiec. – W roli sprostowania, nie chodzi o mnie. Zatem prosty człowiek ruszył w drogę. Nie zaszedł jednak daleko, gdyż ledwie po kilku godzinach spotkał lwa. Jako że nie posiadał broni a zwierzę wyglądało na wychudzone i zgłodniałe, było to naprawdę traumatyczne przeżycie. Jednakże lew, miast pożreć człeka, przemówił: „Dokąd zmierzasz?”, „Ja? A tak sobie spaceruję” – odparł przerażony młodzieniec, „Z plecakiem pełnym rzeczy?” – słusznie zauważył lew, „No tak... O, plecak! Faktycznie... Tak, plecak... Cóż, to ja idę na górę do Mędrca, spytać, gdzie mam szukać szczęścia...”, „Spytaj też Mędrca ode mnie, co mam zrobić, bym odzyskał apetyt.”, „Nie omieszka!” – rzucił człowiek, pędząc dalej jak szalony. Zatrzymał się dopiero pod rozłożystym drzewem. Jak słusznie można przypuszczać, ono również przemówiło. „Wędrowcze, dokąd zmierzasz?”, „A, idę do Mędrca” – odparł ten zmieszany. „Ech. Mędrzec. Gdybym mógł chodzić – rzekł dąb, bo to rzecz jasna był dąb – sam poszedłbym go spytać, po co mam jeszcze stać? To takie nudne...”, „Spytam o ciebie Mędrca, a tak przy okazji, umiesz dusić korzeniami lwy?”, „To zależy.” „Od czego?”, „Czy go spytasz...”. Ach, zaschło mi w gardle.

– Tak powiedziało to drzewo? – spytał Cron, mając nadzieję, że starzec, jeśli jednak

nie jest pasterzem owiec, ucieszy się, iż jego opowieść jest bacznie śledzona.

– Nie. To była mała dygresja. Ostatnio nabawiłem się chrypki. Streszczę się zatem. Człek spotkał następnie dzie... kobietę, która nie wiedziała kogo ma poślubić, obiecał spytać. Dodarł po wielu trudach do Mistrza. Ten kazał mu powiedzieć kobiecie, żeby wyszła za pierwszego, którego zobaczy, dębowi kazał przekazać, że jest potrzebny, by dawać cień podróżnym i dom dla zwierząt, a lwu żeby zjadał kogo popadnie. A co do człeka to szczęście już znalazł po drodze, zatem człek pognął jak szalony z powrotem. Dzie... Cholera! Kobieta, gdy usłyszała co ma zrobić, chciała wyjść za prostego człowieka, ale on nie miał czasu, bo szczęścia szukał, dąb się ucieszył i powiedział, że ma skarb pod konarami, ale człek już pognął dalej, a...

– Lew go zjadł.

– Skąd wiesz?!

Cron spojrzał wyrozumiale na mędrca. Chyba był to jednak zwykły pasterz.

– Domyśliłem się. Cóż, fajnie się rozmawiało, ale święty owoc czeka.

– Skoro on jest twoim szczęściem... A tak na marginesie, to właściwie zwykłe jabłko.

Kiedys może i coś w nim było świętego, ale teraz na pewno nie. Z winy starych lokatorów.

– Co?!

– Mieszkała tu kiedyś taka jedna parka, ale odeszli, żeby w bólu rodzić, jeść roślinność pełną porosłej cierniami i ostami ziemi, a potem obrócić się w proch. Czy coś w tym rodzaju... To było u zarania dziejów, potem ktoś wykuł w skale labirynt, przez który tutaj trafiłeś. Przykro mi.

– A... A te wszystkie podania, legendy owiane mgłą tajemnicy? Musi w nich być ziarno prawdy – rzekł z nadzieją w głosie Cron.

– Tu, na Krańcu Świata, zawsze pęta się pełno jakiegoś tałatajstwa z rogami, paszczami, o głęboko sięgających okultystycznych rodowodach i owce zjada. Nasi przodkowie wymyślili zatem mit o świętych owocach, żeby herosi trzebili to cholerstwo. Nie przejmuj się. Jak chcesz, to możesz tu zamieszkać. Tak właściwie to tu naprawdę jest Raj. Zawsze ciepło i w ogóle. Ale drzewo jest bezwartościowe.

Cron nie wytrzymał i zerwał jeden z owoców. Łapczywie wgrzył się w niego i dopiero gdy przełknął ostatni kęs, jęknął zrezygnowany.

– Faktycznie. Zero sacrum. Tylko ten smak jabłek i pomarańczy... Gdyby było więcej takich drzew, można by pomyśleć nad eksportem.

– Niestety. Te owoce nie mają pestek.

– Co za życie... Cóż, wróć do siebie. Wezmę po drodze smocze zęby i takie inne błyskotki z labiryntu. Na razie Pika. Proroku – dodał pośpiesznie na wypadek, gdyby rozmówca nie był jednak pasterzem.

– Żegnaj Cronie! Szczęśliwej podróży!

– Tak, tak...

Gdy heros zniknął w gęstwinie, starzec odetchnął z ulgą i gwizdnął cicho. Zza złotego drzewa natychmiast wyskoczyło kilka owiec.

– No, moje małe. Już sobie poszedł. Wracamy do domu, ostatnio za dużo tutaj wygłodniałych wojowników i kapłanów. Jakby nie można było najeść się jabłkami albo złożyć ofiary z wołu. Barbarzyńcy.

Pasterz Pika ruszył przed siebie, prowadząc trzodę do odległej owczarni. Mimo wszystko był zadowolony. Spokojni goście nie zdarzali się ostatnimi czasy zbyt często, a w dodatku mógł opowiedzieć swoją ulubioną historię. Udany dzień. Zresztą jak większość w rajskim ogrodzie na Krańcu Świata.

Dwie pary oczu bacznie śledziły mężczyznę wędrującego przez falujące trawy, które mimo wszystko nie zdradzały oznak niekczemności. Dopiero gdy zniknął w wyjściu, a w obecnej sytuacji można było powiedzieć wejściu do podziemnego labiryntu, Strażnicy wzbili się nieco wyżej, odwrócili się na plecy, rozpostarli śnieżnobiałe skrzydła i zwrócili twarze ku ciepłym promieniom słońca, szybując powoli z dłońmi splecionymi na karkach. Pierwszy z nich splunął siarczyście, jak nakazywała logika, na bok, mnąc w ustach przekleństwo.

– Ty, widziałeś? Już w środku dnia tu włązą! I znów te same owoce rwą. Powinniśmy ich wywalić na zbity pysk, jak kiedyś!

– E tam. Wszystkich i tak nie upilnujesz. Chyba, że wolisz stać jak głupi i patrzeć, jak nasze ogniste miecze wirują, strzegąc głównej bramy, albo latać całymi dniami a potem narzekać na kwas mlekowy w mięśniach. Nie lepiej się relaksować?

– W sumie racja. To nie nasza wina, że zrobili podkop.

– Właśnie. Ten cały Wąż miał rację, fajnie jest się tak czasem wyluzować.

– A mi się on nie podoba. Jakiś śliski typ. A Szeft też chyba go nie lubi...

– Przesadzasz.

– Może. Chociaż ostatnio widziałem ciągnący ku nam gęstniejący mrok okrywający

niebo. A jeśli to jakaś głębsza symbolika?

– To przez te chmury z północy. Cumulonimbusy. Po prostu zbiera się na burzę.

– I to sporą.

– E, całego świata przecież nie zaleje.

– Racja, racja. No to może skoczmy spoglądać na ziemskie niewiasty? Widziałem ostatnio kilka nowych koło domu tego... Tego... No jak mu tam! Wiesz, starego z trzema synami...

– Z taką olbrzymią stodołą koło chaty?

– Tak! Swoją drogą, co on tam chce trzymać?

– Nie wiem. Lecimy, bo nas noc zastanie.

Strażnicy obrócili się i lotem ślizgowym pomknęli przed siebie. Tymczasem gdzieś pod nimi owca połknęła kawałek nienikczemnej trawy. Jak niegdyś mówili prorocy: „świat się zawali, a owca jeść trawę będzie”. Tak przynajmniej twierdzili tutejsi pasterze. A może jednak to byli prorocy?

2006

Cron

Ciemność nocy ustąpić musiała pod naporem delikatnego blasku emanowanego przez lśniącą, srebrzystą tarczę księżyca i tysiące migoczących na granatowym firmamencie punktów. Powoli, krok za krokiem, posuwała się sylwetka ludzka uzbrojona w napięty łuk. Młodzieniec oddychał głęboko, pragnąc zachowywać się jak najciszej i uspokoić kołatanie serca. Jednak wraz z każdym pokonanym odcinkiem dzielącym go od celu łomotanie w klatce piersiowej wzrastało. Poczuł jak kropla potu zrosiła mu skroń i pomknęła wzdłuż policzka, zatrzymując się na kilka chwil na brodzie. Przy kolejnym kroku ostatecznie oderwała się od jego twarzy i upadła na powierzchnię ziemi pokrytą niską, wyskubaną przez zwierzęta trawą. Najbliższy zagajnik czy choćby kępa krzewów znajdowały się kilka godzin marszu stąd. Był na otwartej przestrzeni, w razie porażki nie miał gdzie uciec. Po raz setny tej nocy żałował, że nie zabrał ze sobą miecza, lecz musiał mieć pełną swobodę ruchów, wszak w bezpośredniej walce i tak nie miał szans. Jeden, celny, strzał wystarczy by wygrać. Ręka wciąż trzymająca naprężoną cięciwę zdrząła lekko, nie mógł jednak poddać się zmęczeniu, musiał być w każdej chwili gotów do oddania strzału. Jeszcze tylko parę kroków.

Płomienie ogarniające stos drwa łapczywie wpijały się w wiszące nad nimi mięso, lecz nim żywioł zdołał bardziej zagłębić się w miękką tkankę, mężczyzna zasiadający u ognia wyrwał mu skwierczący udziec. Olbrzym łapczywie zanurzył zęby w gorącej strawie. Nawet siedząc, znacznie górował nad otaczającym go płaskim terenem. Połykał duże kawały koniny, zapijając je co chwila winem z trzymanego w drugiej dłoni bukłaka. Nie obawiał się o swe bezpieczeństwo, nieprędko się upijał, a nawet gdy już znajdował się w stanie całkowitego upojenia ludzie nie śmieli zanadto się zbliżyć. Wszak był blisko trzymetrową górą mięśni zatem nikt przy zdrowych zmysłach... Mocne ukąszenie w potylicę natychmiast przerwało jego zawile rozmyślenia egzystencjalne. Odrzucił gniewnie koński gną, po czym sięgnął ku zranionemu miejscu i ku własnemu zaskoczeniu natrafił na drewniany promień strzały.

Młodzieniec z przerażeniem przyglądał się, jak przeciwnik z łatwością wyciąga tkwiący w czaszce pocisk. Grot okazał się za słaby w konfrontacji z kością olbrzyma. Przez kilka sekund zapanowała absolutna cisza. Wtem raniony wróg zerwał się na równe nogi, odrzucił bukłak z winem i wrzeszcząc dziko, wyrwał z płomieni największą krokiew. Następnie z niezwykłą, zważywszy na swe rozmiary, szybkością obrócił się w kierunku skąd padł strzał, ciskając przy tym płonącym pociskiem w intruza. Nieszczęsny łucznik na moment znieruchomiał, jednak szybko odzyskał zimną krew, odrzucił łuk i nie mając czasu, by

uskoczyć, z całych sił uderzył gołymi pięściami w nadlatującą kłodę. Ta wyrzuciła z siebie snop iskier i z hukiem upadła nieopodal młodzieńca.

– Kimże ty jesteś, psie?! – wysapał wściekle kolos. – Żaden śmiertelnik nie mógłby dokonać czegoś takiego!

– Jestem Cron, nefilimie. I zapewniam cię, że mym ojcem był człowiek.

– Łżesz!!! Tym który cię począł, musiał być zmaterializowany... mag. Tak chyba zwiecie naszych ojców? Jesteś nefilimem jako i ja! – po tych słowach obrzucił młodzika uważnym spojrzeniem.

Intruz nie miał więcej niż dwadzieścia lat, miarą ludzką był dość wysoki i dobrze zbudowany, lecz nefilimowie w tym wieku byli wyżsi i znacznie lepiej umięśnieni.

– Jeśliś synem śmiertelnika, skąd twa moc? I dlaczegoż chciałeś mnie podstępnie zgładzić?! Odpowiadaj! Zresztą cóż mi po twych wyjaśnieniach! Szykuj się na śmierć głupcze, nie mam litości dla tchórzliwych ścierw atakujących z ukryciaaa! – ostatnie słowo przerodziło się w dziki ryk.

Rozszalały olbrzym rzucił się na śmiertelnie przerażonego młodzieńca, który zdał sobie sprawę, iż jest zbyt wolny, by uciec i zbyt słaby, by oprzeć się furii rozjuszonego napastnika. Wtem szarżujący nefilim zacharczał i dławiąc się krwią, runął na ziemię, drżąc konwulsyjnie. Cron dopiero po kilku chwilach zdołał wypuścić nagromadzone w płucach powietrze. Zrobił kilka niepewnych kroków w stronę nieruchomiejącego olbrzyma, gdy nagle dobiegł go nieco rozbawiony głos.

– Zatem znów uratowałem ci życie, Cronie – wyrzekł mężczyzna, nadchodzący od strony rozrzuconego paleniska.

– Asbiel... – wykrztusił młodzieniec.

Przybysz skrzywił się nieco.

– Niegdyś zwałeś mnie mistrzem, przynajmniej do czasu, kiedy mnie zdradziłeś i odszedłeś, a raczej uciekłeś. I to dość panicznie, przez dwa dni przebyłeś większą odległość niż ja w ciągu tygodnia, a to nie lada wyczyn!

– To raczej ty zdradziłeś mnie.

Przybysz spoważniał. Znudzonym gestem machnął dłonią w stronę rozmówcy, którego w tej samej chwili potężne uderzenie rozpędzonego powietrza zważyło z nóg. Krztusząc się i charcząc, przez kilka minut walczył o oddech. Tymczasem napastnik niedbale przeczesał dłonią długie, bladossrebrne włosy i rzekł z pogardą w głosie:

– Nie zapominaj do kogo się zwracasz, niewdzięczny głupcze. Jednym gestem powaliłem nefilima, którego ty zdołałeś jedynie rozsierzcić. Nie wspomnę już, iż przez pięć lat szkolilem cię i wychowywałem, dałem ci nawet cząstkę swej mocy. To dzięki mnie dysponujesz siłą fizyczną dorównującą mocy nefilimów.

– Rzadko... – wycharczał młodzieniec. – Rzadko mogę z niej korzystać...

– Musisz polegać na własnych siłach, mój dar zostaw na swoją zemstę, o ile jeszcze jej nie zaniechałeś.

Cron wstał powoli i raz jeszcze spojrzął na zwłoki olbrzyma.

– Wciąż się do niej przygotowuję, właśnie przerwałeś mi ćwiczenie.

– Nigdy sam nie powalisz nefilima, jesteś zbyt słaby.

– Sam szkolilem się przez te trzy lata.

– Lecz dzięki mej łasce. Wszak by dostać schronienie, żywność i broń powoływałeś się na mnie, ja zaś nie ukróciłem tego, więc mimo wszystko wciąż jesteś moim uczniem.

– Już nie – rzekł hardo młodzieniec, podchodząc kilka kroków naprzód, licząc, iż odwaga zrobi na rozmówcy większe wrażenie niż skomlenie o łaskę.

– Wraz ze mną udasz się do Abber-Szeby, by dokonać tego, do czego cię wyszkoliłem.

– Faktycznie, zmierzam tam. I spełnię swój zamiar, ale bez ciebie. Później zacznę żyć na własny rachunek, nie będę już korzystał z twej wspaniałości.

– Mylisz się. Udasz się do Abber-Szeby w moim towarzystwie, jako mój uczeń i będziesz mi posłuszny. Jeśli tego nie uczynisz, zabiję cię.

Cron stracił animusz. Spojrzął w intensywnie błękitne oczy dawnego mentora, lecz natychmiast opuścił wzrok. Wiedział, iż rozmówca nie żartuje.

– Chcesz mieć psa na postronku, nie ucznia, Asbielu.

Mag spojrzął na niego badawczo, po czym podniósł nieco lewą dłoń. Młodzieniec zadrżał nieznacznie, zmuszając się, by ponownie skrzyżować spojrzenia z magiem. Ten jednak odwrócił się i ruszył przed siebie. Nie odwracając się, rzekł pogardliwym tonem:

– Do nogi.

Cron spojrzął z nienawiścią na oddalającą się sylwetkę. Zacisnął pięści, po czym tłumiąc cisnące się na język przekleństwa, posłusznie ruszył śladem swego mistrza.

Pierwsze promienie leniwie wylaniającego się zza horyzontu słońca padły na ciało śpiącego młodzieńca. Życiodajny blask bez trudu przeniknął powieki, drażniąc swą obecnością nieruchome dotąd gałki oczne. Nieszczęśnik powoli otworzył oczy, odruchowo mrużąc je przy

tym nieco. Lecz zamiast oślepiającego blasku ujrzał twarz nachylającego się nad nim mężczyzny. W mgnieniu oka jawa zastąpiła krainę sennych mar. Instyktownie spróbował cofnąć się, lecz natychmiast na plechach poczuł twardy pień drzewa.

– Byłeś bardzo zmęczony Cronie, zasnąłeś niemal natychmiast – rzekł surowym tonem mężczyzna, oddalając się przy tym o kilka kroków.

– Uch... Pamiętam tylko, że na chwilę oparłem się o pień drzewa. Wczorajsza walka całkowicie mnie wyczerpała.

– Nie nazwałbym tego walką, raczej strzelaniem w głowę przeciwnika, gdy ten jest obrócony do ciebie plecami. Nie takich metod cię uczyłem, zmieniłeś się Cronie, i to niestety na gorsze.

– Ty również nie postępujesz jak dawniej... Mistrzu – dodał z przekąsem młodzieniec.
– Wcześniej jedynie ogłuszałeś wrogów.

– Teraz również tak uczyniłem.

– Widziałem jak przed upadkiem klatka piersiowa neflima niemal się zapadła, zmiażdżyłeś mu serce. Kłamstwo w twoich prawych ustach jest doprawdy zdumiewające.

– Jak śmiesz zwracać się do mnie tym tonem!

Srebrnowłosa mężczyzna klasnął energicznie w dłonie. Pień drzewa, o które opierał się Cron, z ogłuszającym trzaskiem rozpadł się na dziesiątki małych kawałków. Młodzieniec natychmiast poderwał się i przebiegł kilka metrów, niezdarnie ochraniając rękami głowę.

– To naturalne, iż jesteś zmęczony – rzekł spokojnym, nieco apatycznym głosem Asbiel, całkowicie odzyskując nad sobą kontrolę – wczoraj skorzystałeś z ofiarowanej przeze mnie mocy zbyt lekkomyślnie, bez przygotowania. Zresztą zapewne zauważyłeś, że ostatnimi czasy możesz uciekać się do niej coraz rzadziej i posługiwać się nią coraz krócej.

– Ra... Racja... – wydusił przez ściśnięte gardło Cron. – Powiedz, proszę, mistrzu, dlaczego tak się dzieje?

– Doskonale... Już słychać w twoim głosie pokorę. Powód zaś jest prosty, mocy nie wszczepiłem ci na stałe, lecz dałem pewien jej zapas, który właśnie się kończy. Ponownie użyję ci sił przed walką z twym przeciwnikiem. Teraz chodź już, do naszego celu zostało nie więcej niż kilka godzin marszu.

Cron posłusznie udał się za mentorem. Przed oczyma wciąż stawał mu Asbiel, którego opuścił przed trzema laty. Pogodny, opanowany i stanowczy nauczyciel, jakiego zapamiętał, nie miał nic wspólnego z łatwo wpadającym w furję, bezwzględnym magiem, za którym

podążał. Sam wprawdzie także się zmienił, niegdyś nigdy nie zaatakowałby nieuzbrojonego wroga, nie mówiąc już o podkradaniu się i zdradzieckim strzale w potylicę. Mimo to wciąż z wszystkich sił starał się spełniać nauki przekazane mu przez mistrza, który obecnie sam demonstracyjnie je ignorował. Nie miał jednak śmiałości spytać Asbiela o powód tej raptownej zmiany. Cokolwiek dręczyło maga do tego stopnia, że sprzeniewierzał się własnym zasadom, musiała to być sprawa o nadzwyczaj doniosłej wadze. Młodzieniec jednak nie zdawał sobie sprawy, iż kwestia, która tak frasowała jego mistrza, dotyczyła spraw donioślejszych niż wszelkie dylematy istot śmiertelnych. Zaś jej rozwiązanie miało okazać się dla wszystkich tragiczne w skutkach.

Jasna tarcza życiodajnej gwiazdy tkwiła nieruchomo w swym zenicie. Było południe, gdy para wędrowców, mijając szeroko rozwarte, potężne skrzydła bram, wkroczyła w obręb murów miejskich. Abber-Szeba, liczące ponad sto tysięcy mieszkańców miasto, wielkością oraz ilością udogodnień znacznie górowało nad pozostałymi skupiskami ludzkimi rozsianymi na terenie skolonizowanym przez człowieka. Nie było tu szałasów, drewnianych chat, czy też ceglanych domostw. Wszystkie budynki wykonane zostały z większych lub mniejszych bloków skalnych. Wieść niesła, że nie były to nawet prawdziwe ociosane głązy, lecz dziwna, stwardniała substancja podobna do zaprawy stosowanej w innych większych miastach przy łączeniu cegieł. Nie było zresztą tajemnicą, iż Abber-Szebę zamieszkiwała znaczna grupa podległych radzie miejskiej nefilimów, a i magowie nieraz wspierali radą Starszyznę. Miasto kwitło, lecz był to kwiat wyrosły wprost na zgniliznie mieszkańców, których wnętrza, w przeciwieństwie do pobielanych wapnem ścian zamieszkiwanych przez nich domostw, były równie nieczyste, jak tunele biegnącej pod powierzchnią ziemi kanalizacji. Zaskoczony nieznanym sobie wcześniej przepychem młodzieniec miał już wkrótce doświadczyć tego na własnej skórze.

Cron szedł obok swego mentora, bacznie przyglądając się zgromadzonym na placu ludziom wymieniającym towary. Każdy handlarz stał nad swym dywanem wypełnionym rzeczami przeznaczonymi na handel, bez ustanku zachwalając ich jakość, bądź wyklócając się o warunki wymiany. Młodzieniec szybko zorientował się, że miejsce, które handlarz zajmował na placu określa jego status. Najpiękniejsze dywany należały do kupców zasiedlających sam środek targowiska. Każdy kolejny pierścień oznaczał pogorszenie się jakości towarów przy, o dziwo, jednoczesnym wzroście kultury handlarza. Najznakomitsi sprawiali wrażenie gotowych zabić klienta za choćby jedno krzywe spojrzenie. Najbiedniejsi natomiast błagali

o wymianę tak czołobitnie, że zdawać by się mogło, iż lada chwila oddadzą towar darmo. Wszechobecny gwar ludzkich głosów mieszał się ze sobą, tworząc jeden zwarty, ogłuszający szum, z którego można było wyłowić pojedyncze słowa, lecz nie sposób było skupić się dłużej na jednej, konkretnej rozmowie. Tłum z niebywałą siłą napierał na nich, zmuszając do ciągłego ruchu. Niekiedy ktoś spostrzegał maga i usuwając się przezornie z drogi, krzyżował ręce na piersi, składając przy tym głęboki pokłon. Zirytowany Asbiel skupiał całe siły, by zachować nad sobą kontrolę. Mieli już opuścić centrum placu, gdy tuż przed nimi upadł mężczyzna, popchnięty przez rozjuszonego handlarza. Kupiec z furją cisnął w leżącego skórzaną sakwą, która trafiła nieszczęśnika w twarz.

– Precz mi z tym, głupcze i przynieś coś naprawdę wartościowego, jeśli chcesz to wymienić na jedze... – ostatnie słowo ugrzęzło mu w gardle, gdy ujrzał, iż swym postępkami zatarasował drogę magowi. Chciał coś powiedzieć, lecz jedynie pobladł i osunął się bezwładnie na ziemię omdlały z przerażenia.

Tymczasem Asbiel nachylił się nad leżącym na ziemi mężczyzną, który ocierał krew z rozbitego nosa. Podniósł skórzany woreczek i wysypał jego zawartość na dłoń. Wewnątrz znajdowały się płaskie, złote koła o średnicy nie większej niż długość małego kobiecego palca. Wraz z sakwą rzucił je z wzdargą na ziemię i ruszył dalej. Cron spojrzał zaskoczony, jak wciąż krwawiący nieszczęśnik, klęcząc na ziemi, nerwowymi ruchami zaczął zbierać dziwne przedmioty. Młodzieniec powstrzymał się jednak od pytań i trzymał język na wodzy, dopóki nie opuścili targowiska. Za to, gdy tylko weszli w jedną z bocznych uliczek, natychmiast zasypał mentora gradem pytań:

– Dlaczego ten głupiec chciał wymienić pokarm za przedmiot? Wymiana jest przecież rodzajowa, rzecz za rzecz, pokarm za pokarm. Słyszałem wprawdzie, że gdzieś na północy to prawo jest łamane, ale nie pamiętam o jakie konkretnie miasto chodziło. Skąd pochodził ten człowiek? Czy właśnie stamtąd?

Mag milczał gniewnie przez kilka minut, po czym nagle przystanął na moment, sprawiając przy tym wrażenie, jakby właśnie otrząsnął się z letargu, czy też głębokiego snu. Westchnął ciężko i spojrzał łagodnie na ucznia, mówiąc:

– Zaiste, ten człowiek pochodzi z Numinii, miasta na północ stąd. Tam zarówno jedzenie jak i towary wymienia się na złote kręgi zwane przez nich monetami.

– Przecież złoto nie ma żadnej wartości, służy za ozdobę. Człowiek się nim nie nasyci.

– Nadejdą czasy, kiedy będzie cenniejsze nawet od ludzi...

Cron chciał o coś jeszcze spytać, lecz przerwał mu krzyk dobiegający z pobliskiego domu, którego drzwi właśnie otwały się raptownie. Z wnętrza wyskoczyło pięciu mężczyzn, czterech z nich niosło w rękach jedzenie i ubrania, piąty właśnie chował do pochwy zakrwawiony miecz. Cała grupa zatrzymała się na moment, gdy dostrzegła maga. W tym momencie na zewnątrz wybiegła kobieta, wrzeszcząc wniebogłosy:

– Jak żeście mi męża zarabali, to chociaż wynieście na dwór, bo się brzydzę ścierwa dotknąć. I oddawać moje szaty!

Napastnicy jednak doszli już do siebie i nie będąc pewni, jaka będzie reakcja maga porzucili cięższe ze zrabowanych rzeczy na ziemię, pędząc jednocześnie w stronę najbliższego skrzyżowania w kolejną uliczkę. Kobieta, jak zdążył zauważyć Cron, pijana, również dostrzegła przybysza. Była jeszcze na tyle trzeźwa, by oddać pośpieszny pokłon. W chwili, gdy się prostowała, na dwór wyszedł chwiejnym krokiem jej małżonek z raną biegnącą w poprzek zakrwawionej twarzy i trzymający dłoń na przebitym udzie. Mimo iż spod palców buchał strumień krwi, mężczyzna zamachnął się wolną ręką i z całych sił trzasnął żonę otwartą dłonią w twarz, krzyząc przy tym:

– Zdradliwa suka!

Kobieta upadła, piszcząc nieludzko. W tym momencie ranny również ujrzał, wciąż nieruchomego, maga. Spróbował złożyć pokłon, lecz wpływ krwi dawał już o sobie znać. Zachwiał się i upadł obok żony. Ta groteskowa i tragiczna zarazem scena całkowicie zaskoczyła młodzieńca oraz prawdopodobnie nawet jego mistrza. Cron widząc jednak, że mężczyzna krwawi coraz bardziej ukląkł przy nim niezwłocznie.

– Mistrzu, trzeba mu pomóc! – krzyknął, chcąc zmusić mentora do reakcji.

Drżący na całym ciele Asbiel, słysząc to, nagle przestał się powstrzymywać i wybuchnął głośnym śmiechem. Młodzieniec zamarł, patrząc zdumiony na maga. Ten zaś wciąż śmiał się z rozłożonymi ramionami, szeroko otwierając usta, momentami niemal rycząc. Było coś nieludzkiego w tym dźwięku, jakiś pierwiastek zwierzęcia, czy raczej bestii. Cron pomyślał nagle, że tak nie może śmiać się istota dobra. Zerwał się na równe nogi i popchnął mentora, po czym znieruchomiał przerażony swym czynem. Mag upadł bezwładnie i zamilkł. Po kilku sekundach bez słowa podniósł się z ziemi i rozejrzał dookoła. Zarówno krzyki kobiety, jej męża jak i jego własny śmiech zwabiły kilkunastu ciekawskich gapiów, którzy właśnie powoli zaczęli się rozchodzić. Milcząc podszedł do bladego, wciąż obficie krwawiącego mężczyzny, dotykając jego rany. W jednej sekundzie krwotok ustał, a na twarz

poszkodowanego wróciły kolory.

– Spotkamy się o dwunastej godzinie dnia na schodach Domu Czasu, muszę z kimś porozmawiać, bywaj – rzekł słabym głosem Asbiel, po czym ruszył szybko przed siebie.

Cron stał zdumiony, dopóki mistrz nie zniknął mu z oczu, skręcając pośpiesznie w pobliską uliczkę.

– Pomóż mi go wnieść.

Młodzieniec odwrócił powoli głowę od miejsca, gdzie po raz ostatni widział mentora i spojrzał nieobecny wzrokiem na kobietę, która usilnie próbowała zawlec nieprzytomnego małżonka do domu. Wzdrygnął się i pomógł podnieść poszkodowanego.

Asbiel pędził ze wszystkich sił, odpychając brutalnie tarasujących mu drogę ludzi. Przed chwilą całkowicie stracił nad sobą kontrolę. Wcześniej wielokrotnie wpadał w furję, nierzadko przeradzając się w szal niszczycielski, lecz zawsze czuł, że wciąż ma nad sobą pewną kontrolę. W krytycznej chwili zawsze był w stanie powstrzymać się od zabójstwa człowieka. Jednak tym razem, gdyby nie Cron, po kilku minutach umilkłby i z całkowitym spokojem zabił wszystkich: rannego, jego żonę, gapiów, nawet swojego ucznia. Zrobiłby to z całą pewnością. Widząc tego krwawiącego mężczyznę, wyobrażał sobie ich śmierć, majestatyczne sceny powolnego konania na ulicy. Majestatyczne?! Zaciśnął zęby, tłumiąc lekki uśmiech. Właśnie ta wizja zbiorowego zdychania przyprawiła go o napad wesołości, która to znów zaczynała go opanowywać. Momentami dosłownie ciskał wściekle wchodzącymi mu w drogę ludźmi. Byli jak zwierzęta, w każdej chwili gotowi, by zdechnąć, zduszeni przez siły potężniejsze niżli mieściło się to w ich kalekich umysłach. Zwolnił tempo, próbując odegnać cisnące mu się przed oczy obrazy. Wiedział, że to, co przechodzi dotyczy wszystkich jemu podobnych istot, jednak zdecydowana większość z nich nie próbowała się przed tym bronić. Przeciwnie, pozwalali, by kierowała nimi ta bezprecedensowa żądza krwi. Wprawdzie już od chwili buntu ta bestialska natura wciąż się pogłębiała, lecz ostatnimi czasy proces ten nasilał się dosłownie z dnia na dzień. Już od blisko miesiąca nie przespał ani chwili, katując tym swe materialne ciało, gdyż za każdym razem budziłby się jeszcze bardziej zdegenerowany. To jednak nie wystarczało. Materialne ciało wszakże potęgowało skutki, lecz nie było przyczyną. Ta bowiem tkwiła w nim samym. W nich wszystkich. Asbiel przerwał ponure rozmyślenia, gdy dostrzegł swój cel. Był nim mały, połączony tylną ścianą z murem miejskim, domek zbudowany z żółtoszarych cegieł. Nie pobielony, niski, wyglądał bardziej jak miejsce na składowanie towarów lub narzędzi. Zupełnie nie przystawał do reszty otaczających go

budowli, podobnie jak rola, którą niegdyś pełnił. Zamiast drzwi, drogę do wnętrza zasłaniała brudna, rozpadająca się ze starości szmata. Mag zwolnił i spokojnym krokiem wszedł do środka. Wewnątrz panował półmrok, jedynym źródłem światła były prześwity w „drzwiach”. Srebrnowłosa mężczyzna usiadł na środku pomieszczenia, tuż przed małym, kamiennym stolikiem. Zamknął oczy i powoli zaczął ślać swe myśli poza świat materialny. Poczł się w pełni swobodny, tak jak niegdyś, nim oblekł się w szaty istoty śmiertelnej. Wtem zewsząd otoczył go oślepiający blask. Na myśl przyszło mu, iż sam niegdyś emanował podobnym światłem. W tej samej chwili w jego umyśle rozległ się głębok, lecz niemal pozbawiony emocji głos.

– Czego chcesz ode mnie upadły posłańcu, Asbielu? Jesteś w miejscu świętym, wzniesionym rękami wiernych ludzi, nim powstało to przeklęte miasto, by czcić naszego Pana. Zbudowano je zanim zszedłeś na ziemię, pociągając za sobą swych braci. Teraz zaś stoi opustoszałe, pogardzone przez śmiertelnych. Wy jesteście źródłem tej pogardy, bądźcie zatem przeklęci, synowie ciemności! Asbielu, Asbielu! Pytam cię, czego chcesz ode mnie? Nie ma wspólnoty między nami. Mówię ci:, odejdz stąd, kalasz sobą ten przybytek!

– Zeszliśmy na ziemię, lecz nie wybraliśmy Szatana. Chcieliśmy jedynie żyć jak śmiertelnicy, czuć jak oni, kochać, mieć potomstwo...

– Występnym nefilimów, szerzących śmierć wśród ludzi.

– Nie potępiaj nas tak łatwo, sługo Boży! Nie wiedzieliśmy, że zamiast ludzi doskonalszych poczniemy potwory!

– Sługo Boży? Zwracając się do mnie w ten sposób, pokazujesz, iż nie jesteś już podległy naszemu Panu. Mówiąc naszemu, mam na myśli mnie i innych wiernych Mu pozostałych w niebiosach, bowiem twoim władcą jest już Szatan, Asbielu.

– Łżesz! Nie mam pana!

– Są dwie siły oddziałujące zarówno na świat materialny jak i duchowy, są nimi nasz Pan i Jego wróg. Odrzucając jednego, poddajesz się pod wpływ drugiego.

– Czuję to, co dzieje się w mym wnętrzu, lecz zwalczam to! Jednak ostatnio siła ta przytłacza swym ogromem całe moje jestestwo! Przez to wiem, iż kres tego świata jest bliski. To kwestia dni. Lecz nim NASZ Pan pograży ziemię w głębinie wodnej, chcę dokończyć swój plan. Stworzę sprawiedliwego człowieka, godnego przetrwać tę zagładę. Ród ludzki nie wymrze, Cron będzie drugim Adamem!

– Czyś naprawdę myślał, iż nasz Pan ma zamiar zniszczyć wszelką istotę ludzką na

tym świecie? Sprawiedliwi ludzie już ukończyli budowę tego, co pomoże im przetrwać apokalipsę. Skoro jednak chcesz przemienić chęć krwawej zemsty twego podopiecznego w miłosierdzie, to spróbuj to uczynić. Jeśli ci się uda, rychło wraz z nim zmierzaj do Arki Bożej, zbudowanej dwa dni drogi stąd na wschód, u podnóża góry zwanej przez synów ludzkich Srebrną. Jeśli bowiem wybawisz sprawiedliwego, odpuszczone ci zostaną twe winy i wrócisz przed Tron Boży, lecz nie do dawnej rangi. Będziesz najmniejszy spośród nas. Tym odpokutujesz za swe winy.

– Dlaczego nie mam wrócić na należne mi miejsce?! Pokochałem śmiertelniczkę! Nie odszedłem do Szatana, lecz wyrzekłem się zaszczytów w imię miłości!

– Miłości ludzkiej, śmiertelnej. Swą funkcję otrzymałeś od naszego Pana, gardząc nią, wzgardziłeś Nim. Cóż z tego, że twa miłość była szczerą? Za twym przykładem poszli inni, dając upust swoim chuciom.

– Nie jam temu winien, lecz oni!

– Nikt inny jak ty. Byłeś najwyższy rangą spośród nich wszystkich, sami by się na to nie poważyli. Każdy przywilej wiązał się z odpowiedzialnością, wiedziałeś o tym.

– Nie czuję się winny. Poniosłem już karę, istota, którą kochałem, zginęła z ręki potwora, którego począłem.

– Nie ty jesteś od wyznaczania pokuty, jeno nasz Pan. Wszak w ataku szału odebrałeś temu nefilimowi życie, które wcześniej ofiarowałeś mu wraz ze swą kobietą. Dokonałeś swej zemsty, nie zdając sprawy Bogu.

– Błagam tylko o wsparcie, chcę dostać siły, by przetrwać to, co się ze mną dzieje.

– Sam musisz wygrać tę walkę.

– Czy Bogu nie zależy na moim zbawieniu?!

– On zbawia tych, którzy kołatają w pokorze do jego drzwi, ty zaś pragniesz, by otworzył je szeroko i pomógł ci wejść.

– Idź precz! Sam sobie poradzę, zbawię się sam, bez Boga!

– Raczej skążesz się na potępienie.

– Czym się stajemy?! Powiedz mi, co się z nami dzieje, chcę wiedzieć choć to!

– Z chwilą wypowiedzenia Bogu posłuszeństwa, poczęliście tracić Jego moc. Zastępowały i wciąż zastępują ją siły Szatana. Gdy spadną pierwsze krople, wasz czas dobiegnie końca, materialne ciała zginą, zaś wy powrócicie do niebios, lecz będziecie jeno w nich przebywać, nie będąc ich częścią, tak jak Nieprzyjaciel. Przestaniecie być posłańcami

Bożymi, aniołami. Staniecie się dziećmi Szatana, demonami. Ten proces jest już na ukończeniu. Jedynie ty walczysz o zbawienie. Żegnaj zatem Asbielu i idź do swego ucznia, jest on bowiem bliski zaprzepaszczenia zbawienia zarówno własnego jak i twego. Bóg na ciebie czeka.

– Za zamkniętymi drzwiami... ale dostanę się do środka, choćbym miał je rozewrzeć siłą. Spotkamy się przed Tronem Bożym.

– Z pewnością, pytanie brzmi jednak, po których stronach? Żegnaj.

Asbiel otworzył oczy. Znów był w swym materialnym ciele i siedział w pustym, ciemnym pomieszczeniu. Nie miał czasu przemyśleć tego, czego się dowiedział. Natychmiast raz jeszcze wyrwał się z oków śmiertelnego ciała i myślą sięgnął ku swemu uczniowi. To, co zobaczył, sprawiło, iż zerwał się i opuścił rozpadający się przybytek. Pędem zanurzył się w płataninę ulic Abber-Szeby. Przez ostatnie trzy lata bacznie, choć dyskretnie, obserwował poczynania Crona w pełni korzystającego z prawa decydowania o własnym losie. Młodzieniec nie uległ degeneracji, wciąż więc była nadzieja, przynajmniej do tej chwili. Najbliższe minuty miały bowiem zdecydować, czy siedmioletnia praca nad umysłem młodzieńca okaże się ostatecznym triumfem upadłego anioła, czy też najdotkliwszą porażką w jego egzystencji.

Cron snuł się po ulicach miasta, nie bardzo wiedząc, co ze sobą począć. Na podstawie pozycji słońca wywnioskował, że od jego wejścia minęło już jakieś dziesięć godzin, zostały mu więc tylko dwie godziny na odnalezienie wyznaczonego przez mistrza miejsca spotkania. Choć równie dobrze mógł się mylić. Co gorsza nie mógł liczyć na pomoc spotykanych ludzi, gdyż ci odnosili się do niego w najlepszym wypadku z obojętnością. Nikt w Abber-Szebie nie przywykł wyświadczać nawet najmniejszej przysługi obcym, szczególnie gdy nie wyglądali na zamożnych i w dodatku nie posiadali broni. Cron pożałował, że przed opuszczeniem domu uratowanego mężczyzny nie spytał o drogę jego żony. Był jednak wówczas zbyt zafrasowany dziwnym, złowieszczym zachowaniem mistrza. Czuł, że gdyby nie przerwał dziwnego transu mentora, to sprawy przybrałyby jeszcze gorszy obrót. Fakt, iż znalazł w sobie dość siły, by popchnąć Asbiela, sprawiał mu niewymowną przyjemność. Skoro miał odwagę, by odważyć się na coś takiego, to z pewnością nie zabraknie mu jej w pojedynku z nefilimem. Młodzieniec westchnął ciężko. Od tego dzieliła go jednak długa droga. Za kilka dni miały rozpocząć się igrzyska, na które tłumnie przybywali nefilimowie ze wszystkich stron znanego świata, by rozpocząć krwawe boje o tytuł najsilniejszego z nich. Mimo to nadal nie znał imienia swego przeciwnika, a nawet nie wiedział, czy ten wciąż żyje. Pograżony w ponurych

rozmyślaniach młodzieniec przyspieszył kroku. Czas wciąż płynął, a on nie tylko nie umiał odnaleźć Domu Czasu, lecz nawet drogi powrotnej do domostwa człowieka uzdrowionego przez mistrza. Mimo usilnych poszukiwań, wciąż trafiał w kolejne zaułki, mniejsze lub większe place targowe, czy też obmierzłe składowiska śmieci. Najwyraźniej miasto nie było oparte na żadnym logicznym planie, lecz po prostu rozrastało się przez wieki, aż do swej obecnej postaci. Poza tym nie wiedział, jak właściwie wyglądał Dom Czasu. W innych miastach zwykle były to prostokątne budynki o płaskim dachu, nie posiadające okien. Jak dotąd nie ujrzał jednak niczego podobnego. Upał zaczynał dawać mu się we znaki. Pamiętając, iż niedawno minął studnię, ruszył w tamtą stronę. Gdy po kilku minutach szybkiego marszu dotarł na miejsce, dostrzegł, że przy studni szamoczą się dwie kobiety. Dzikie krzyki i przekleństwa walczących nie robiły jednak wrażenia na postronnych obserwatorach. Wtem jedna z kobiet odskoczyła do tyłu, po czym ponownie zaatakowała, tym razem wyciągając ukryty za pasem, mały sztylet. W mgnieniu oka zadała kilka pchnięć prosto w klatkę piersiową zaskoczonych rywalki, która charcząc, osunęła się na ziemię. Zabójczyni odrzuciła broń i podniosła swą ofiarę, ciągnąc ciało w kierunku studni. Wówczas stojący nieopodal mężczyzna podbiegł i silnym ciosem pięści powalił kobietę, wrzeszcząc przy tym dziko:

– Nawet nie próbuj zanieczyszczać tym ścierwem studni!

Cron wycofał się powoli, nie mogąc opanować zdziwienia i strachu. Ludzie w tym przeklętym mieście najwidoczniej byli całkowicie obojętni na wszystko, co nie dotyczyło ich osobiście. Młodzieniec poczuł, iż kogoś potracił. Obrócił się i spostrzegł młodą, odzianą w ciemnoczerwone szaty kobietę, która obrzuciła go baczny spojrzeniem i rzekła:

– Chcesz się zabawić, młodzieńcze? – po tych słowach wydała z siebie chrapliwy, gardłowy dźwięk mający być chyba mruzeniem.

Nierządnicą uśmiechnęła się szeroko. Nie miała przednich zębów, lecz fakt ten w żaden sposób nie działał na nią deprymująco. Wprost przeciwnie, powoli oblizwała dziąsła, lekko muskając przy tym obleczone czerwienią wargi.

– Nie kosztuję wiele, daj mi tylko coś do jedzenia i jakąś błyskotkę, byle nie pierścien – mówiąc to, pokazała zdobne w dziesiątki różnych pierścieni palce.

Cron już miał się oddalić, ignorując natarczywą kobietę, lecz w głowie zaświtała mu pewna myśl.

– Doskonale, mój pan szukał właśnie takiej piękności jak ty. Mawia, że lubi mieć

swobodę przy pocałunku.

– Tak, tak! Wielu mężczyznom przeszkadzają zęby. Twój pan będzie zadowolony, oczywiście jeśli go na mnie stać.

Młodzieniec pohamował uśmiech i rzekł z powagą w głosie:

– Mój pan jest zamożnym człowiekiem, stać go na opłacanie nefilimów, by chronili go w dzień i w nocy.

– Doskonale, jestem już nieco głodna, od rana nie wzięłam nic na ząb – rozmówczyni zachichotała, ubawiona własnym dowcipem. – Prowadź.

– Mój pan o tej porze z pewnością wypoczywa, ale mam się z nim niedługo spotkać nieopodal Domu Czasu z odpowiednim darem, czyli tobą, pani.

– To wielki zaszczyt dla mnie, ale prowadź już. Twój pan też z pewnością musi się nasycić mym cudnym ciałem.

– Idź pierwsza, jeno szybko. Zobaczę jak prezentujesz się od tyłu, może i ja zakosztuję twych uroków po mym panu.

– Do którego Domu Czasu mam iść?

– Do zachodniego – wyrzekł spokojnie Cron, mając szczerą nadzieję, iż takowy istnieje i przy okazji jest tym, o którym wspominał mistrz.

– Doskonale, to niedaleko stąd.

Kobieta ruszyła śmiało naprzód. Cron podążył za nią. Właściwie poza ubytkiem uzębienia była kształna i na swój sposób pociągająca. Wprawdzie nie grzeszyła inteligencją, lecz w jej fachu nie był to wszak najważniejszy atrybut. Szybko porzucił jałowe rozważania. Nie mógł zaprzętać sobie głowy ulicznymi, zresztą i tak nie było go stać nawet na bezzębną przewodniczkę. A szkoda. Zbeształ się w myśli. Musiał pamiętać, w jakim celu udał się do Abber-Szeby. Czekala go trudna walka, do której przygotowywał się przez ostatnie siedem lat. Nie mógł już liczyć na wsparcie mistrza, który sam najwyraźniej potrzebował pomocy.

– Jesteśmy na miejscu, który to dom?

Cron rozejrzał się po, placu na którym się znaleźli. W samym jego centrum znajdował się Dom Czasu. Nie różnił się jednak zbyt od wszystkich tego typu budynków w innych miastach. Prędzej czy później zapewne znalazłby go sam. Jednak z braku czasu musiał skorzystać z usług przewodniczki, która zniecierpliwiona zaczęła gderać.

– No i gdzie twój pan? Jeśli zwabiłeś mnie, by wziąć mnie siłą, to ostrzegam, pod przymusem nie dam ci więcej przyjemności niż byle owca.

– Już idziemy.

Nie zastanawiając się wiele, Cron zapukał do najbliższych drzwi. Otworzył je zwały, brodaty mężczyzna, trzymający w brudnej dłoni nadgryzione jabłko. Obrzucił intruzów nieprzychylnym spojrzeniem i już miał coś powiedzieć, lecz Cron uprzedził go i rzekł pełnym pokory głosem.

– Znalazłem ją dla ciebie panie.

Nierządnicą uśmiechnęła się prowokująco, na szczęście nie otwierając ust. Gospodarz odwzajemnił się obleśnym wykrzywieniem warg i rzekł radośnie:

– Chwileczkę – z tymi słowami znikł za drzwiami.

Po chwili otworzył je, trzymając za ramię szamoczącą się kobietę. Puścił ją, po czym pchnął w plecy z taką siłą, że nieszczęsna przebiegła parę metrów, próbując złapać równowagę, po czym z jękiem upadła na ziemię.

– Precz mi z domu! Wrócisz, jak skończę!

Kobieta zerwała się z ziemi i wykrzyknęła z goryczą w głosie:

– Ja ci nie sprowadzam kochanków do domu!

– Milcz! To nie jest moja kochanka tylko ulicznica!

Splunął siarczyście i wciągnął nierządnicę do środka. Nim zamknął drzwi przez kilka chwil spoglądał badawczo na Crona, po czym wręczył mu nadgryzione jabłko. Młodzieniec przez chwilę stał przed zamkniętymi drzwiami, trzymając w rękach owoc i rozważając, czy nie skosztować daru. Przed oczyma stanęła mu jednak postać ofiarodawcy. Odrzucił jabłko i skierował się ku Domowi Czasu. Wewnątrz kamiennego budynku panował przyjemny chłód. Układ klepsydr odmierzających czas był taki jak wszędzie: lewa strona odpowiadała za noc, prawa za dzień. W głębi pomieszczenia zasiadał opiekun tego miejsca, który właśnie podniósł się i podszedł do jednej z klepsydr. Przyglądał się jej przez chwilę, po czym obrócił następną. Młodzieniec poczekał, aż leciwy mężczyzna oddali się na swe miejsce i zbliżył się do dopiero co przekręconej klepsydry. Była jedenasta w kolej, zatem do spotkania z mistrzem została mu już tylko godzina. Obrócił się w stronę wyjścia i zamarł w bezruchu, zdając sobie sprawę z popełnionego błędu. Każdy mógł wejść tutaj prosto z zewnątrz. Nie było schodów! Zatem nie o tym miejscu mówił mu mistrz. Wprawdzie mógł mieć nadzieję, iż mag odnajdzie go, używając do tego swej mocy, lecz młodzieniec wolał bardziej polegać na własnych siłach. W walce będzie pozbawiony wsparcia mentora, który zresztą sam wydawał się potrzebować pomocy. Wtem w tylną ścianę budynku, o którą oparte było siedzisko jego opiekuna, uderzył

pocisk. Musiał to być sporych rozmiarów głaz. Cron bez chwili namysłu wybiegł na zewnątrz i skierował się do uszkodzonej ściany. Tuż obok niej na ziemi leżał głaz wielkości dużej owcy. W tym samym momencie na plac weszła spora liczba zarówno mężczyzn jak i kobiet, którzy przekrzykiwali się, gratulując dobrego rzutu kroczącemu pośrodku tego kordonu nefilimowi. Cron poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Wsparł się o uszkodzoną ścianę i drżąc na całym ciele, spoglądał na śmiejącego się triumfalnie olbrzyma. Poznał go od razu. To on przed siedmiu laty przyjął wyzwanie od jego ojca. On również go pokonał i, wbrew powziętym przed walką ustaleniom, zabił. Przez pięć lat młodzieniec szkolił się pod okiem Asbiela, przygotowując się, by odplacić zabójcy jedynej bliskiej mu osoby na świecie. Gdy mag nakazał mu wyzbyć się nienawiści i w razie zwycięstwa darować życie nefilimowi, odszedł od niego, by w samotności kontynuować swój trening. Wszystko na marne. Asbiela nie było w pobliżu, on zaś nie posiadał żadnej broni. Nefilim tymczasem uniósł wysoko dłonie, splatając je w geście zwycięstwa. Śmiało ruszył po leżący obok jakiegoś człowieka pocisk. Cron wiedział, iż taka szansa już się nie powtórzy. Skupił się, sięgając do ofiarowanej mu niegdyś przez mentora mocy. Postanowił zużyć cały pozostały mu zapas na ten jeden cios. Poczul przeszywający ból w całym ciele, zupełnie jakby jakaś złowroga siła próbowała wyrwać się z niego na zewnątrz. Świat poszarzał, tracąc swe naturalne barwy. Całe jego jestestwo wypełniała realna siła. Wiedział, iż mógł jednym ciosem skruszyć leżący obok niego głaz. Jego cel był jednak inny. Triumfujący nefilim wciąż zbliżał się z odsłoniętą klatką piersiową. Cron błyskawicznie objął ramionami głaz i cisnął nim w stronę zaskoczonego wroga. Rozpędzony pocisk z hukiem trzasnął w klatkę piersiową olbrzyma, wyraźnie dał się słyszeć trzask łamanych kości. Zwalisty mężczyzna runął na ziemię, charcząc przeraźliwie. Tłum jego popleczników zamilkł, podobnie jak reszta zgromadzonych na placu ludzi. Cron zdołał jedynie ujrzeć, jak jego pocisk sięga celu, potem oparł się o ścianę i powoli osunął na ziemię. Nim ostatecznie opuściła go świadomość, przez moment wydawało mu się, iż ktoś woła go po imieniu. Spróbował przekręcić głowę w tamtym kierunku, lecz w tym samym momencie ostatecznie stracił kontakt ze światem rzeczywistym.

Migotliwy, słabnący płomień lampy oliwnej rzucał refleksy świetlne na twarz pogrążonego we śnie młodzieńca, większa część pomieszczenia tonęła jednak w aksamitnym mroku. Wsparty o przeciwległą ścianę mężczyzna ruszył ku spoczywającemu na łożu, a raczej pośpiesznie wygładzonym barłogu, podopiecznemu. Opuścił strefę ciemności i z cichym westchnieniem wszedł w krąg światła bijącego od kaganka. Bezceremonialnie

potrzęsnał ramieniem śpiącego, wypowiadając przy tym jego imię. Cron przebudził się gwałtownie i zdezorientowany spróbował się poderwać, lecz natychmiast poczuł jak całe jego ciało przeszywa bolesny skurcz. Sycząc z bólu, zaczął przebierać nogami i z całych sił tłuc dłońmi w posłanie. Gdy po kilku chwilach paraliżujący ból ustał, nieszczęśnik, jęcząc, skulił się i powoli otworzył oczy. Dostrzegł, iż pochyla się nad nim blady, zlany potem Asbiel.

– Gdzie... – wydyszał Cron, lecz mężczyzna gestem nakazał mu milczeć.

– Jesteś w domu człowieka, któremu uratowałem życie. Choć właściwie ty masz największe zasługi w tej dziedzinie, gdybyś mnie nie powstrzymał...

– Mistrzu...

– Nie przerywaj mi, psie! – krzyknął gniewnie Asbiel, lecz natychmiast zamilkł, nerwowo pocierając kark.

Po chwili znów się odezwał, tym razem cichym, ledwie słyszalnym głosem:

– Nie zostało mi wiele czasu. Twa zemsta na szczęście jeszcze się nie dokonała. Zabójca twego ojca wciąż żyje, lecz najpewniej skona przed świtem. Jest w pałacu Rady Miejskiej, uzdrowiony przeze mnie mężczyzna zaprowadzi cię tam, jak tylko stąd wyjdę. Obok lampy znajdziesz sztylet. Gdy staniesz nad bezsilnym wrogiem sam zdecydujesz, czy odebrać, czy też podarować mu resztkę pozostałego życia. Proszę cię o miłosierdzie nad nim, lecz uczyni, jak uważasz. Niezależnie od tego, co postanowisz, natychmiast po zakończeniu sprawy nefilima opuść miasto i udaj się na wschód, do podnóża góry Srebrnej. Cokolwiek i kogokolwiek tam znajdziesz, pamiętaj, tam jest twoje ocalenie. Nie mogę cię uzdrowić, moc czynienia dobra została mi ostatecznie odebrana. Musisz sam przemóc swój ból. Żegnaj.

Asbiel niemal wybiegł z pomieszczenia, jednym gestem zamieniając torujące mu drogę drzwi w drzazgi. Z korytarza do wnętrza pomieszczenia natychmiast wlało się jasne światło kaganków. Cron podniósł się z trudem z posłania i spojrzał na stojący obok stolik. Istotnie spoczywał na nim sztylet. Tymczasem w futrynach pojawił się mężczyzna z blizną biegnącą w poprzek twarzy. Był śmiertelnie przerażony, lecz widząc, iż młodzieniec odzyskał przytomność, natychmiast skłonił się nisko, mówiąc:

– Możemy już iść, panie? Za kilka godzin świta...

Cron skinął głową na znak zgody i powoli zwlekł się z posłania. Czuł się całkowicie zdezorientowany. Najwidoczniej jego decyzja miała wywrzeć bezpośredni wpływ na losy Asbiela. Dlaczego ma zlitować się nad zabójcą swego ojca? I czy w ogóle powinien udać się do pałacu? Równie dobrze mógłby opuścić miasto i odejść, lecz takiej możliwości mag nawet

nie wymienił. Po co miał udać się na wschód? Co miał tam zastać? Przed czym miał zostać ocalony? Na myśl cisnęły mu się setki pytań. Westchnął ciężko i sięgnął po oręż. Cokolwiek miało się wydarzyć czuł, że przypisana mu została rola, którą musi odegrać. Obawiał się jednak, iż niezależnie od wyboru jaki podejmie, sprawa jest już przesądzona. Skoro istniała siła tak potężna, by skruszyć jego mistrza, jego własne życie raptownie traciło na znaczeniu. Ruszył powoli w stronę wyjścia. Przez lata jego jedyną bronią w walce z otaczającym go światem był prosty cel, zemsta. Teraz jednak, gdy miał go dopiąć czuł, że otchłań, nad którą dotąd balansował pełźnie mu naprzeciw. Z uczuciem przejmującej rezygnacji w sercu powlókł się za przewodnikiem.

Asbiel, drżąc cały, przesuwiał dłońmi po kamiennym stoliku. Czuł każdą kroplę krwi, która została na nim przelana. Napawał się cierpieniem zwierząt ofiarowanych Bogu w zamian za wybaczenie win. Wiedział, iż na zewnątrz rozpadającego się przybytku również składano ofiary. Dzień w dzień ziemia chciwie piła krew ludzką i upojona tym nektarem, zanosila przed Tron Boży dziękczynną pieśń. Zaś każdy kolejny psalm wypełniał czarę gniewu, która obecnie gotowa była do wylania. Po raz kolejny wybiegł myślami w sferę, którą niegdyś mógł uważać za własną. Znow ujrzał blask, tym razem jednak jego widok sprawiał mu niemal fizyczny ból. Po raz kolejny dobiegł go chłodny, spokojny głos istoty niegdyś mu poległej, teraz zaś mającej nad nim niebotyczną przewagę.

– Czegóż jeszcze chcesz, nieszczęsny Asbielu? Dlaczego znow mnie wezwalesz? Twój plan wszak zawiódł.

– Mylisz się! Dopiero teraz ma szansę, by się wypełnić. Choć Cron ciężko... Cóż... Właściwie śmiertelnie ranił swego wroga, to wciąż ma szansę okazać mu miłosierdzie. Wyjawi mu, iż pragnął jego śmierci ze względu na pamięć swego ojca, teraz jednak odpuszcza mu jego winy. Tak! Mając w ręku ostrze i bezbronny przeciwnik, odrzuci zemstę, zbawiając mnie i siebie!

– Zaiste pokładasz w nim wielkie nadzieje, Asbielu. Wprawdzie twój wychowanek jest prawy wedle mierników ludzkich, lecz nasz Pan inaczej ocenia ludzi, niż oni sami siebie. Najważniejsza jest wiara Asbielu, wiara. A tej brakuje zarówno tobie, jak i twemu uczniowi.

– Nie wymagaj rzeczy niemożliwych, aniele. Bóg odtrącił ludzi, zabierając im Eden, oni zatem sprzeniewierzyli się jego władzy.

– Oni pierwsi wszczęli bunt.

– Tak... Zostali ukarani za zło, którego nie byli świadomi. Znali jeno dobro, zatem

każdy swój postępek mogli za dobry poczytywać. Popelnili błąd, ufając Szatanowi, skąd jednak mogli wiedzieć, że jego intencje są złe? Bóg nie miał prawa karać ich za występki, którego nie byli świadomi!

– Milcz, demonie! Ukarani zostali za nieposłuszeństwo, grzech, którego ty również się dopuściłeś i wciąż dopuszczasz.

– Wciąż jestem jeszcze dzieckiem Bożym, nie demonem! Ma ofiara zostanie przyjęta!

– Nasz Pan wyżej ceni posłuszeństwo niż ofiarę.

– Zdasz się wiedzieć o nim wszystko, lecz lepiej się z nim porozumiej bez pośredników. Bez ciebie! Poczekaj tylko, aż na powrót zajmę należne mi miejsce, nie będziesz już wtedy taki pyszny!

– Raczej ty grzeszysz pychą, Asbielu. Chcesz stanąć przed obliczem naszego Pana? Dobrze. Odrzuć to materialne ciało i stań przed Jego tronem, błagając o litość.

– Nigdy! Czyniąc to, pokażę, iż to On miał rację. Nie zdepcze wspomnienia mej miłości! Poczekam na zagładę tego świata tu, w tym uświęconym przybytku.

– Twa obecność sprawi, iż przestanie być święty. Skalasz go sobą, Asbielu. Raz jeszcze proszę cię, abys okazał skruchę.

– Miłość nie jest winą.

– Stworzona została dla ludzi. Dla nas zarezerwowane są inne przywileje.

– Odrzuciłem je przecież, przybrałem ludzką postać! Dokonałem wyboru!

– Byłeś i jesteś pyszny. Gdybyś faktycznie gotów był poświęcić wszystko w imię twej miłości, stałbyś się człowiekiem, ty jednak jeno się zmaterializowałeś. Chciałeś żyć nowym życiem, zachowując przywileje starego, a to nie jest możliwe, Asbielu. Nie dokonałeś zatem żadnego wyboru.

– Milcz, przeklęty! Jeśli zostanę potępiony, to wiedz, że stanie się to z twej winy! Zrobię tak, jak powiedziałem, doczekam kresu tego świata tutaj, spędzając pozostały mi i światu czas na modlitwie.

– Nasz Pan nie wysłuchuje modlitw grzeszników nie okazujących skruchy.

– Dla mnie ważny jest sam fakt ich zanoszenia.

– Wolisz zatem polegać na sobie miast na naszym Panu? Niech i tak będzie! Zobaczysz, gdzie zaprowadzi cię ta droga, Asbielu. Żegnaj i nie wzywaj mnie więcej.

– Cron spełni swe zadanie. Na pewno. Wówczas Bóg mi przebaczy, wiem to! Czekam na zbawienie, aniele! Zbawienie!

– Niegdyś byłeś mi we wszystkim wzorem, Asbielu, teraz z żalem patrzę zatem na twój upadek. Żegnaj, demonie.

Asbiel otworzył oczy. W pustym, ciemnym pomieszczeniu coraz wyraźniej wyczuwał zapach krwi. Nieważne, czy przelano ją dwadzieścia, czy sto lat temu. Czuł każdą kroplę jeszcze intensywniej niż przedtem. Zerwał się i wybiegł z przybytku. Wszak modlić mógł się wszędzie. Ruszył przed siebie, łowiąc dźwięki nocy. Hen, z głębin płataniny ulic Abber-Szeby dobiegł go tumult rozentuzjasmowanego zbiegowiska. Nadnaturalny słuch, mimo znacznej odległości, zdołał wychwycić niektóre ze zdań pośpiesznie wymienianych przez uczestników pochodu, tworzące jakże straszliwą historię. Znieruchomiał. Nigdy wcześniej nie odczuwał tak przeraźliwego, zniewalającego strachu. Najpierw powoli, później biegiem ruszył w stronę rosnącej masy ludzkiej. W uszach wciąż dźwięczała mu powtarzana trwoźnie z ust do ust wieść. Ktoś włamał się do pałacu Rady Miejskiej i zadał śmiertelny cios dogorywającemu tam nefilimowi, przywódcy bandy podobnych mu najemnych wojowników. Olbrzymy wpadły w szal. Zabójcę ujrzała służąca, wedle jej słów był nim ten sam człowiek, który po południu powalił głazem zamordowanego niedawno olbrzyma. Ktoś doniósł, iż był to młodzieniec z południa, niejaki Cron.

Blade światło tarczy księżyca odbijało się od pobielanych ścian domostw śpiących mieszkańców Abber-Szeby. Dla dwóch ludzkich sylwetek przemykających opustoszałymi ulicami byłoby jednak lepiej, gdyby skrywał ich całun ciemności. Cron kroczył za mocno przerażonym przewodnikiem, który zamierał ilekroć usłyszał w oddali dźwięk ludzkich głosów. Jego strach był tak widoczny, iż młodzieniec z trudem powstrzymywał się od spytania o powód panicznego lęku. Wolał jednak pierwszy nie przerywać ciszy towarzyszącej im od chwili opuszczenia domostwa, gdzie po raz ostatni widział się ze swym mistrzem. Maszerowali już z pewnością co najmniej pół godziny, zmierzając chyba w kierunku obrzeży miasta. Cron z radością dostrzegł, że pomimo ogólnego osłabienia i lekkiego bólu mięśni ramion, skutki użycia darowanej mu mocy minęły. Podobnie jak przyczyna. Mógł wprawdzie dawać skuteczny opór ewentualnym przeciwnikom, lecz tylko jeśli byli oni ludźmi. Bez nadnaturalnego wsparcia nie mógł równać się z nawet mocno osłabionym nefilimem. Zatem jeśli jego wróg odzyskał już nieco sił to sprawa była przesądzona i nie zdoła go zgładzić. Choć z drugiej strony Asbiel w niemal pokorny sposób prosił go o oszczędzenie wroga. Dlaczego tak mu na tym zależało? Tego nie mógł zrozumieć zarówno trzy lata temu jak i teraz. Akt łaski w imię czego? Miłosierdzia? Wszak jego wróg nie okazał go jego ojcu. Cisza zaczynała

mu ciążyć, postanowił zatem przerwać ją pod byle pretekstem.

– Daleko jeszcze?

– Jeszcze kawałek panie – odpowiedział natychmiast szeptem mężczyzna. – Musimy opuścić miasto.

Następne kilka minut ponownie wypełniło milczenie.

– Jak twoja żona, doszła do siebie, to znaczy otrzeźwiała? – spytał z nutą wesołości w głosie Cron, licząc, iż ten temat zainteresuje rozmówcę.

Ten jednak obrócił się i spojrział uważnie na młodzieńca. Szybko jednak odwrócił wzrok i odparł pokornie:

– Nie zawiodę, panie, jej los będzie dla mnie przestrogą. Twój mistrz nakazał mi bym wywiązał się dobrze z powierzonego mi zadania i tak uczynię. Nie zawiodę ani jego, ani ciebie, panie.

– Nie... Nie musisz nazywać mnie panem.

– Możesz decydować o moim życiu jestem zatem twym niewolnikiem, panie. Lecz nie zawiodę cię!

Cron nie pytał już o nic więcej. Najwidoczniej Asbiel uznał, iż fakt uratowania życia i wdzięczność z tego płynąca to za mała motywacja do wiernej służby. Zatem zastosował jeden ze swych czarów na żonie nieszczęśnika, prawdopodobnie w okrutny sposób kończąc jej życie. Teraz nie było mowy, by zrezygnował z powierzonego mu przez mistrza zadania, bowiem wiązałoby się to ze śmiercią niewinnego człowieka, który wbrew własnej woli prowadził go poprzez uliczki złowrogiego miasta. Skoro mentor posunął się do morderstwa, w sprawę musiało wchodzić coś więcej, niż osobiste porachunki jego ucznia. Cron poczuł się jak marny pionek poświęcony dla ratowania ważniejszych od siebie figur. Nie było to przyjemne uczucie.

Wkrótce dotarli do wylotu jednej z uliczek. Ich oczom ukazała się mała brama, strzeżona przez jednego strażnika, który stał na środku placu, nie przejawiając zbytniego entuzjazmu w stosunku do prawidłowego wykonywania swych obowiązków. Przewodnik nachylił się nad młodzieńcem i wyszeptał:

– Jakies trzy kilometry w linii prostej od tej bramy jest mały zagajnik. Tam, pod płaskim głazem, znajdziesz wejście do podziemnego tunelu prowadzącego do piwnic pałacu, stamtąd udasz się schodami na trzecie, najwyższe piętro. Tam znajdują się komnaty przeznaczone dla co świetniejszych gości, nefilim jest w jednej z nich. Powodzenia, panie.

– Skąd to wiesz? I dlaczego sam nie poprowadzisz mnie dalej? – Cron nabrał pewnych wątpliwości, co do intencji przewodnika.

– Mój brat pracuje jako strażnik, lecz dziś nie ma warty, a twemu mistrzowi zależało na czasie. Ja odwrócę uwagę tego tu, w nocy nie wolno opuszczać miasta.

Po tych słowach mężczyzna śmiało opuścił zaułek i skierował się od strażnika, który widząc zbliżającego się człowieka, rzucił lakoniczne:

– Czego tu?

Przewodnik Crona stanął, rozejrzał się po placu, po czym bez chwili namysłu podniósł leżący najbliżej kamień i cisnął nim w wartownika. Pocisk trafił nieszczęśnika w udo. Rozwścieczony mężczyzna dobył miecza i rzucił się w pogoń za uciekającym napastnikiem. Cron został sam. Oczekał chwilę, po czym ruszył biegiem ku bramie. Bez trudu odryglował ją, odrzucając na ziemię małą, drewnianą belkę. Nie mógł niestety zatrzeć śladów swej działalności. Pozostała mu jedynie nadzieja, iż strażnik po powrocie nie podniesie alarmu. O ile w ogóle wszczynano takowy w podobnych sytuacjach. Szybko pokonał odległość dzielącą go od wysepki złożonej z kilkunastu samotnych drzew pośród bezkresu mocno wyeksploatowanych, podmiejskich pastwisk. Jeśli tunel miał być drogą ucieczki z oblężonego miasta, to mieszkańcom Abber-Szeby pozostało jedynie liczyć na pokojowe usposobienie okolicznych ludów lub też na ich całkowity brak kojarzenia prostych faktów. Młodzieniec wpadł zdyszany w głęboki cień drzew. Bez trudu znalazł wskazany mu gład, a właściwie sporych rozmiarów płaski kamień. Zgodnie z poronioną myślą taktyczną budowniczych rzecz jasna znajdował się pośrodku jedynej polany w małym gaiku. Gdy tylko go przesunął, blady blask księżyca oświetlił wąskie, prowadzące do podziemi schody. Z trudem mieszcząc się w ciasnym przejściu, musiał schodzić na czworaka. Na szczęście droga była krótka i już po chwili znalazł się w dużym przedsionku ciemnego korytarza. W tym momencie zrozumiał, iż popełnił kardynalny błąd, nie zabierając ze sobą żadnego źródła światła, jeśli tunel posiadał jakieś rozwidlenia, był zgubiony. Nie mógł jednak dłużej zwlekać, wszak mistrz wyraźnie podkreślił, iż ranny olbrzym może nie doczekać świtu. Cron westchnął ciężko i ruszył przed siebie, zagłębiając się w złowrogiej ciemności.

Drzwi rozpekły się na setki drobnych kawałków, wpuszczając do środka wściekłego Asbiela, który zaczął pośpiesznie penetrować kolejne pomieszczenia. Tylko ten przeklęty głupiec, którego uratował, a następnie zmusił do współpracy znał imię jego ucznia. Bez wątpienia zdradził, a co gorsza mógł nawet wspomnieć o jego udziale w spisku.

Wszak zamordowanie goszczonemu w pałacu nefilima, który w dodatku okazał się ważną osobistością, było w gruncie rzeczy atakiem wymierzony przeciw Radzie Miejskiej. Ta zaś miała poparcie kilku podobnych mu istot. Nie, nie były mu podobne. Były już demonami, a on wciąż walczył o zbawienie. Srebrnowłosa mężczyzna zatrzymał się, gdy wszedł do pomieszczenia jadalnego. Jego wzrok bez trudu przebijał ciemność skrywającą makabryczne wnętrza. Wszędzie walały się resztki ciała kobiety rozerwanej przez jego moc na strzępy. Powoli wycofał się, drżąc na całym ciele. Skoro w akcie furii dopuścił się tak strasznego czynu, to czy nadal zasługiwał na wybawienie? Z drugiej strony, nie miał wyjścia. Uzdrawiony przezeń mężczyzna był wprawdzie wdzięczny, lecz nazbyt obawiał się uczestnictwa w mocno podejranej sprawie. Głupiec, pewnie spodziewał się, iż Cron ma za zadanie zabić członków Rady Miejskiej. Musiał jakoś go przekonać! Mógł przecież zniszczyć jakiś mebel, lub też użyć samej siły woli, to wystarczyłoby do zniewolenia umysłu istoty śmiertelnej. Dlaczego postąpił inaczej? Zadrżał z ekstazy na wspomnienie rozpryskującego się po pomieszczeniu ciała i czółgającego się u stóp mężczyzny, obiecującego sumienne wywiązanie się z zadania. Odrzucił tę wizję i począł półgłosem szeptać modlitwę. Czuł jednak, że to tylko słowa biegnące gdzieś w próżnię, niknące z wolna w ciszy panującej w zbrukanym krwią pomieszczeniu. Czy był już potępiony? Nie! Z pewnością istniała dla niego jeszcze nadzieja. Być może Cron faktycznie zabił, lecz może chociaż nakłoni go do dobrowolnego poddania się straży. Nie mógł jednak ryzykować kolejnego użycia swych mocy, których źródłem najwidoczniej stał się Szatan. Musiał sam odnaleźć Crona. I to szybko. Bez chwili namysłu wybiegł z opustoszałego domostwa na ulicę. Zewsząd dało się już słyszeć podobne do głosów trąb nawoływania nefilimów. Olbrzymy zewsząd ciągnęły ku pałacowi.

Cron oddychał miarowo, stawiając najciszej, jak umiał kolejne kroki na wąskich schodach. W porównaniu z niedawno zakończoną wędrówką w ciemnościach, warunki w jakich teraz się znalazł, były niemal komfortowe. Niestety, sytuacja zupełnie odwrotna nastąpiła w przypadku bezpieczeństwa. O ile w podziemiach jedynym zagrożeniem mogło być zmylenie kierunku marszu, o tyle teraz niebezpieczeństwo czaiło się dosłownie wszędzie. Co chwilę przystawał i nasłuchiwał odgłosu kroków przechadzających się po korytarzach strażników. Był już prawie na trzecim piętrze, zostało mu do pokonania jeszcze kilka schodów. Z drżącym sercem ruszył naprzód. Gdy tylko znalazł się na korytarzu, znieruchomiał przerażony. Kilka metrów przed sobą ujrzał plecy oddalającego się strażnika. Cron powoli wycofał się i ostrożnie położył na schodach w taki sposób, by widzieć

przeciwnika. Ten zaś po kilku minutach znikł w załomie korytarza. Młodzieniec wstał i ruszył przed siebie. Musiał jak najszybciej znaleźć miejsce, gdzie znajdował się nefilim. Nie zastanawiając się wiele, podszedł do pierwszych z brzegu drzwi i wyciągnął rękę ku klamce dokładnie w tym samym momencie, gdy ta drgnęła naciśnięta z drugiej strony. Ktoś przebywający wewnątrz pomieszczenia energicznie otworzył drzwi. Cron zastygł w bezruchu z dłonią wciąż wyciągniętą w stronę, gdzie przed sekundą znajdowała się klamka. Przed nim stała równie zaskoczona i przerażona kobieta z głębokimi bliznami na twarzy. Prawą dłoń miała zbroczoną krwią. Cron wyszeptał najciszej, jak umiał:

– Straż jest blisko... – po tych słowach postąpił krok naprzód.

Nieznajoma cofnęła się, robiąc mu miejsce, po czym rzuciła przelotne spojrzenie na pusty korytarz i zamknęła drzwi. Tymczasem Cron z niedowierzaniem spoglądał ku olbrzymiemu, martwemu ciału, spoczywającemu na łożu pośrodku komnaty. Przez okna do wnętrza sączył się księżycowy blask, którego poświata sprawiała, iż zmarły wyglądał nienaturalnie blado. W sercu nefilima tkwił sztylet. Młodzieniec podszedł do trupa i spojrzał w twarz, którą nienawidził z całego serca. Teraz jednak była nieruchoma, zastygła w komicznym wyrazie zarówno przerażenia jak i wściekłości. Powoli przesunął dłonią nad szklistymi oczyma, zamykając powieki wroga. Zabójczyni przyglądała mu się w milczeniu. Przez chwilę oboje stali nieruchomo, po czym bezgłośnie podeszli do drzwi, nasłuchując w skupieniu kroków zbliżającego się strażnika. Ten, gdy minął ich kryjówkę, wszedł na schody i ruszył na dół. Czekali jeszcze kilka minut, nim kobieta pierwsza przerwała ciszę.

– Kim jesteś? Co tu robisz? – wyszeptała.

– Popołudniu zdruzgotałem mu – wskazał głową na nieruchomą sylwetkę olbrzyma – żebra gładem, teraz chciałem dokończyć dzieła. Jestem Cron, moje ojczyste miasto leży wiele dni drogi na południe stąd.

– Jak je zwał?

– Powiedz lepiej kim ty jesteś? Dlaczego zabiłaś tego nefilima?

– Zemsta. Czekałam wiele lat na dogodną okazję, dzięki ci, żeś mi ją stworzył.

– Zdradź mi swe imię.

– Nie jest ważne – odparła z nutą nieufności w głosie nieznajoma. – Liczy się tylko to, że dokonaliśmy swojej zemsty.

– Tak... W pewnym sensie... Właściwie nie byłem pewny, czy powinienem go dobijać, ale musiałem tu przyjść.

– Nie byłeś pewien?! – rzekła gniewnym, lecz zdziwionym tonem kobieta, zapominając o zachowaniu ostrożności.

– Ciszej – syknął Cron – bo zgubisz mnie i siebie. Ten pomiot zabił przed laty mego ojca, od tamtego czasu trenowałem pod okiem maga, by pokonać go w ucziwej walce. Ciskając w niego tym głazem, niejako przekreśliłem te starania. Dlatego miałem wątpliwości, czy mogę zabić go podstępnie. Uznałbym tym samym siedem lat mojego życia za stracone. Teraz żałuję, że nie zaproponowałem mu walki.

– O co ci chodzi? Chciałeś go zabić, tak? Dopiąłeś swego, gdyby nie ja i tak sam skończyłby do rana. To ścierwo poharatało mi twarz. Ty ojca pogrzebałeś, ja musiałam przez lata żyć napiętnowana. Każdy dzień podwajał we mnie nienawiść, tylko dzięki niej zdobyłam się na odwagę i tu przyszłam. A ty lepiej pomyśl, wolałbyś sam zginąć?

– Chyba chciałem po prostu się z nim zmierzyć, niezależnie od wyniku...

Cron zaczął niespokojnie chodzić po komnacie. Po chwili znów przybliżył się do rozmówczyni i wyszeptał:

– Chyba zrozumiałem dlaczego mistrz kazał mi odrzucić chęć zemsty. Kiedy już jej dokonałem, nagle czuję pustkę. To nie powinno się stać.

– O czym ty mówisz?

– O sprawiedliwości. O nią powinienem zabiegać bardziej niż o zemstę. Teraz, gdy on jest już martwy, nie mam nic, nawet satysfakcji. Gdybym go pokonał w ucziwej walce czułbym, iż zrobiłem to, co nie udało się mojemu ojcu. Nie wiem, czy bym go wówczas oszczędził, ale żałuję, że nie miałem okazji, by stanąć przed tym wyborem.

– Dobrze, że chociaż ja zarżnęłam to ścierwo. Chyba nie kochałeś zbytnio ojca.

– Milcz. Tego mistrz nie przewidział, ciebie nie powinno tu być. Zabarałaś mi możliwość podjęcia decyzji!

– Ciszej! Zresztą krzycz jeśli chcesz, widzę żeś wariat. A to mi bardzo na rękę...

Po tych słowach kobieta otworzyła drzwi i błyskawicznie popędziła po schodach, krzycząc z całych sił:

– Morderca! Morderca! STRAŻ!!!

Cron nie zwlekał ani chwili, zrzucił z siebie część ubrania i półnagi również pomknął do schodów, licząc, iż w zamieszaniu, które zapewne zaraz powstanie, ktoś weźmie go za rozbudzonego sługę. Byleby tylko zdołał dotrzeć do piwnicy. A potem? Na myśl przyszły mu słowa mistrza o konieczności udania się na wschód. Zatem później na wschód, do

tajemniczego miejsca, mającego ponoć przynieść mu ocalenie. Wypadł na korytarz drugiego piętra w tej samej chwili, gdy z załomu na jego końcu wybiegli dzierżący miecze strażnicy. Widząc, iż go dostrzegli, wrzasnął z całych sił:

– Jest na trzecim! Zabił nefilima!

Wskazał energicznie na schody prowadzące na górę i zastygł w tej pozycji, spoglądając trwożnie na nadbiegających mężczyzn, którzy minęli go, pędząc we wskazanym kierunku. Tymczasem z klatki schodowej za nim wybiegł kolejny oddział i widząc go, zatrzymał się na moment, po czym również pomknął we wskazanym kierunku. Cron, nie zwlekając już ani chwili, ruszył na dół, wciąż pokrzykując: „Na trzecim! Morderca!”. Wciąż mijali go nowi strażnicy, zewsząd wylegli słudzy. Był już na parterze, pędził krótkim korytarzem do błogosławionych drzwi. Otworzył je zamasyście i w chwili, gdy postawił pierwszy krok na stopniu prowadzącym do przedsionka pałacowych piwnic, wyraźnie usłyszał za sobą kobiecy głos krzyczący: „Tam jest!”. Z łomoczącym jak oszalałe sercem zachwiał się i runął w dół, odbijając się z jękiem od kolejnych stopni.

Asbiel wypadł z gmatwaniny uliczek wprost na przestronny plac, okalający pałac Rady Miejskiej. Przed wejściem do budynku stała co najmniej setka uzbrojonych strażników, zaś zewsząd nadciągały kolejny posiłki, pośpiesznie sprowadzane z innych części miasta. Z pewnością wojownicy ci mieli za zadanie zatrzymać lub choćby na pewien czas wyhamować nadciągającą grupę nefilimów, których wściekłe głosy rozlegały się z coraz mniejszej odległości. Nie było czasu do stracenia, musiał odnaleźć Crona. Za wszelką cenę. Śmiało ruszył wprost ku strażnikom. Ci przez moment przypatrywali mu się w skupieniu, lecz widząc, z kim mają do czynienia, pośpiesznie rozstąpili się, tworząc przejście. Swego czasu również wspierał tutejszą Starszyznę radą, lecz szybko tego zaniechał. Nie był w stanie urzeczywistnić swej idei doskonałego miasta, nie pozwalała na to niedoskonałość żyjących tu ludzi. Z tamtych czasów pozostała mu jedynie znajomość pałacowych pomieszczeń. Natychmiast skierował się wprost do drzwi prowadzących do piwnic, była to bowiem jedyna droga ucieczki, którą mógł posłużyć się Cron. Kątem oka dostrzegł, iż sędziwi członkowie Rady Miejskiej też podążali w tamtą stronę, by umknąć, korzystając ze zbyt wąskiego dla barczystych nefilimów tajemnego przejścia. Zapewne skonstruowali je z myślą o takich chwilach jak ta. Wszak nie sposób było zbyt długo utrzymać przyjaznych stosunków z morderczymi olbrzymami. Widząc przybysza, zatrzymali się na moment, nie wiedząc czy prosić o go wsparcie w walce, czy też o pomoc w bezpiecznej ucieczce. Asbiel natomiast

zignorował ich zupełnie, pędząc już po schodach w ciemność piwnic. Zatrzymał się jednak. Wyraźnie czuł krew. Spojrzał pod nogi. Część schodów była nią obficie zroszona. Za nim pojawili się już radcy miejscy.

– Panie, błagamy...

Mężczyzna obrócił się ku nim i jednym gestem zgładził całą grupkę nieszczęśników. Natychmiast jednak zadrżał przerażony własnym czynem.

– Witaj wśród nas, Asbielu, długo musieliśmy na ciebie czekać – usłyszał głos w swym umyśle.

– Idź precz demonie! Ja wciąż walczę o zbawienie!

– Jest nas wielu, przed nami tysiąclecia rządów. Nie wahaj się już dłużej, wszak walczysz, lecz na próżno. Twój los jest już przesądzony, wiesz to. On nigdy nie wybaczają zdrajcom. Nigdy.

– Zamilcz! Czy wiesz, kim jestem?!

– Raczej kim byłeś. Teraz jesteś niczym, lecz możesz zostać panem wielu legionów w mej służbie.

– Nie poznałem cię Szatanie, zmyliła mnie twa moc. Jesteś stokroć potężniejszy niż przed opuszczeniem szeregów aniołów.

– Zaiste, lecz dość już zbędnych słów Asbielu, wybieraj!

– Wybieram Boga!

– Chcesz do Niego wrócić? Dobrze! Ukorz się zatem, by zostać najmniejszym pośród Jego stworzeń. Ja oferuję ci władzę w królestwie, które sami sobie stworzymy. Zostań księciem demonów, Asbielu lub aniołem... jednym z wielu, a nawet niższym. Wybieraj!

– Wybór... Zostawiam Jemu. Żegnaj, przeklęty.

– Do zobaczenia, mój książę.

Asbiel spojrzał ponuro na szczątki zabitych przed momentem ludzi. Teraz mógł liczyć tylko na akt łaski, jego ziemski żywot dobiegł końca. Skoncentrował się i wyzwolił swe prawdziwe oblicze. Materialne ciało w jednej chwili znikło, rozerwane przez bijącą z jego wnętrza niebotyczną siłę. Wyzwolona moc zmaterializowała się pod postacią płomieni, które momentalnie wypełniły piwnice i z głuchym hukiem pomknęły podziemnym korytarzem, szukając dla siebie ujścia.

Cron kuśtykał w ciemności. Ból w skręconej kostce stawał się coraz dotkliwszy, na domiar złego krew z rozciętego czoła wciąż uporczywie spływała mu na oczy. Co pewien czas

odwracał się tylko po to, by stwierdzić, że pościg wciąż nieuchronnie się zbliża. Lada chwila mógł znaleźć się w zasięgu blasku bijącego od niesionej przez wrogów pochodni. Ucieczka nie była możliwa, musiał walczyć. Zatrzymał się, zbierając siły przed czekającą go potyczką. Z dobiegających go głosów zdażył wywnioskować, iż ściga go mężczyzna, najpewniej strażnik, w towarzystwie zabójczynie nefilima. Zapewne sprytna kobieta zamierzała wykorzystać okazję i uciec, podczas gdy oni zajmą się walką. Wtem ścigający go strażnik również przystanął, nasłuchując uważnie.

– Potrzymam ci pochodnię, panie – rzekła przymilnym głosem kobieta.

– Obejdzie się, maszkaro! Wracaj do pałacu, po co za mną leziesz?

– Ja...

– Wracaj, mówię! Będziesz mi tylko zawadzać!

Kobieta, widząc, że lada chwila jej rozmówca spróbuje wyperswadować jej konieczność powrotu siłą, rzuciła się na zaskoczonego strażnika, próbując wyrwać mu pochodnię. Udało jej się to, lecz na krótko. Mężczyzna zdzielił ją pięścią w twarz, tak iż upadła. Rozwścieczony wyjął broń i wziął zamach, gdy nagle wypuścił oręż i jęcząc, upadł głucho na ziemię. Kobieta zaskoczona spojrzała na tkwiący w plecach napastnika sztylet. Z ciemności wyłonił się Cron, wciąż trzymając dłoń wyprostowaną po udanym rzucie. Podszedł do nieruchomego ciała i wyjął z jego pochwy miecz. Spojrzał na przerażoną kobietę, która łamiącym się głosem wyszeptwała:

– Łaski...

– Nie odpłacę ci tym samym. Pomóż mi, musimy jak najszybciej się stąd wydostać.

– Dzięki ci... – odparła zaskoczona, powoli podnosząc się z posadzki. – Wesprzyj się na mnie.

Po chwili oboje ruszyli w stronę wyjścia z tunelu. Cron starał się ignorować ból, lecz z każdym kolejnym krokiem czuł się coraz gorzej. Z całych sił zaciskał palce na rękojeści miecza, jego towarzyska zaś, ugięta pod ciężarem wspartego na jej ramieniu mężczyzny, trzymała przed sobą pochodnię, rozświetlając złowrogi mrok. W sercach uciekinierów zabłysła iskra nadziei, gdy tylko dostrzegli wyjście z ponurych podziemi. Zgasła jednak równie szybko, jak się pojawiła. Z głębi czerniejącego za ich plecami tunelu dało się słyszeć tupot stóp sporej grupy napastników. Na moment tupot kroków nadbiegających wrogów został zastąpiony przez ich nerwowe głosy. Z pewnością znaleźli martwego towarzysza. Tymczasem uciekinierzy dopadli schodów. Nieznajoma odrzuciła pochodnię, pozwalając, by

mężczyzna poszedł pierwszy. Cron wsadził broń za pas i ruszył po schodach. Gdy wydostał się na powierzchnię, spojrział w otwór, z którego właśnie wyjrzała oszpecona twarz kobiety.

– Mógłbym teraz roztrzaskać ci tę zdradziecką głowę, wszak pomogłaś mi wyjść, więc już cię nie potrzebuję.

Znieruchomiała, spoglądając błagalnie na sięgającego po broń młodzieńca, który o dziwo uśmiechnął się i pokuśtykał do leżącego nieopodal kamienia. Gdy zdeorientowana i wciąż nieco przestraszona towarzyszka niedoli znalazła się już na powierzchni, zasłonił nim wejście i rzekł niespokojnie:

– To zatrzyma ich tylko na chwilę. Nie wiem czy poradzę sobie z nimi w tym stanie.

– Uciekajmy każde w swoją stronę, może się rozdzielią.

– Nie. Jesteś bezbronna, jeśli cię dogonią, zabiją.

Kobieta spojrzała na niego zdumiona.

– Nie znasz mnie, a w dodatku chcieli cię schwytać z mojego powodu. Dlaczego właściwie mi pomagasz?!

– Zawiodłem mego mistrza, próbuję naprawić swe winy.

– Ja... Nie musisz narażać się dla mnie. Każdy musi liczyć na siebie, nie zapomnij tego, bo kiedyś zapłacisz za to życiem. Bywaj, Cronie – z tymi słowami odsunęła tarasujący wejście kamień.

– Co ty robisz?! – Cron ruszył w jej stronę, uczynił to jednak zbyt gwałtownie, ból w kostce odezwał się i młodzieniec upadł.

– Uciekaj! Udam, że mnie napadłeś, zatrzymam ich. Idź już. Zaufaj mi, umiem się o siebie zatroszczyć.

– D... Dobrze. Ale gdzie cię szukać?

– Spotkajmy się za trzy dni przy głównej bramie. Idź już!

– Czekaaj!

– Uciekaj!

– Powiedz jeszcze, jak masz na imię?

– Mian, bywaj!

Z tymi słowami uklękła i poczęła na powrót zagłębić się w ponure podziemia. Jednak w tej samej chwili z wnętrza tunelu, poprzedzony nieludzkimi krzykami, buchnął strumień ognia. Przerażony Cron odpełzł jak mógł najszybciej od zabójczego żaru, odprowadzony wyciem konającej kobiety. Po chwili zapanowała cisza. Głucha, złowroga cisza.

Samotny wędrowiec wsparty na sękatym kosturze szedł mozolnie przed siebie. Droga wciąż pięła się ku górze, jak gdyby na złość kulejącemu młodzieńcowi. Niebo, zwykle błękitne i przejrzyste, dzisiejszego dnia pokryte było chmurami. Nie była to jednak zwyczajna zapowiedź burzy. Stan ten trwał od wczorajszego wieczora, zaś z każdą chwilą złowrogie kłęby przybierały coraz ciemniejsze barwy. Teraz były już niemal czarne, gdzieniegdzie tylko przebijały przez nie słabe kolumny światła skrytego za tym mrocznym parawanem słońca. Na powierzchni ziemi panował ponury półmrok, zaś lodowaty wichur huczał niemiłosiernie, smagając nieprzyzwyczajonych do chłódów ludzi. Cron przyspieszył kroku. Minęły już trzy dni od tragicznej nocy, podczas której rozstał się ze swym mistrzem. Wciąż miał w pamięci rozdzierający krzyk Mian. Ta strata bolała jeszcze bardziej niż odejście mentora, bowiem do jego nieobecności zdołał przywyknąć przez ostatnie trzy lata. Jednak śmierć tej skrzywdzonej przez los istoty, z którą udało mu się zadzierzgnąć nić sympatii była nie do zniesienia. Spojrzał ponuro przed siebie. Lada chwila strome podejście miało się zakończyć zastąpione przez równie ostry spadek. Cokolwiek miał zaraz ujrzeć, wedle słów mentora miało zgotować mu ocalenie. Silny podmuch wiatru omal nie zwałił go z nóg. To, co działo się z przyrodą nie było normalne. Cokolwiek miało wkrótce nastąpić bez wątplenia na zawsze odmieni oblicze znanego mu świata, i to zapewne na lepsze. Nie mógł bowiem wyobrazić sobie miejsca gorszego niż to, w którym przyszło mu żyć. Jeszcze parę kroków i znajdzie się na szczycie wzniesienia, potem tylko droga na dół i zamarł, zdumiony tym co ujrzał.

Schodził powoli po stromej ścieżce, nie mogąc nadziwić się niezwykłemu widokowi. Przed nim rozpościerała się panorama doliny kompletnie ogołoconej z drzew. Setki, nie, tysiące pni wystawały z traw niczym rozrzucone bezwładnie kamienie. Nieco dalej widoczne były zabudowania. Z początku wziął je za ludzkie domostwa, lecz już po chwili dostrzegł, iż to mniejsze lub większe zagrody i klatki. Było ich dziesiątki tysięcy, niczym wyludnione miasto. Ziemię pokrywały ślady zwierzęcych odnóży. Wszędzie wały się odchody parujące na zimnym powietrzu. Były świeże. Ktoś niedawno wyprowadził stąd wszystkie zwierzęta i zabrał je... Dokąd? Zdumiony Cron nie musiał długo szukać odpowiedzi. Na horyzoncie dostrzegł coś, co z początku wziął za kolejne wzniesienie. Teraz dopiero zrozumiał, że była to olbrzymia, drewniana skrzynia.

Niebo przeszył jasny blask, gdzieś w oddali piorun z hukiem trzasnął o powierzchnię ziemi. Z nieba spadły pierwsze ciężkie, duże i zimne krople. Stojący w strugach deszczu Cron rozglądał się bezradnie. Dlaczego mistrz go tu skierował? Co miało być źródłem ocalenia?

Czy ta budowla w oddali? Strugi spadającej z niebios wody niczym bicze uderzały w ciało młodzieńca, który ruszył w stronę tajemniczego przybytku.

2007

Spacerniaki

(lata 2008 i 2009)

Literacka wersja niektórych spośród włoczęgowskich wypraw odbytych w towarzystwie
mojego przyjaciela Wojtka, czyli Dobrego Człowieka.

Gdy na chleb pracować muszę

Młodzieniec leniwie rozciągnął ramiona i ziewając, oparł dłonie na sklepowej ladzie. Zapowiadał się kolejny nudny dzień w pracy, o której charakterze wolałby nie wspominać w towarzystwie znajomych. A przynajmniej niektórych, tych bardziej wrażliwych. Skomplikowaną kontemplację rzeczywistości otaczającej młodego sprzedawcę przerwał mu dźwięk zawieszonoego u szczytu drzwi dzwonka. Oto wchodził klient. Dobry Człowiek, tak bowiem wypada nazywać naszego bohatera, jęknął cicho na widok przybysza. Ten zaś nieśmiało podreptał do lady przypominającej nieco szynkwias i rzekł ochrypłym głosem:

– Uszanowanie, panie Wojtku!

– Słucham, panie Henryku – odrzekł z uprzejmym, wyćwiczonym uśmiechem rasowego ekspedienta młodzian.

– No wie pan... He, he... Ten, tego... – na ustach stałego klienta zawitał lubieżny uśmiezek. – Nooo, wie pan...

– Laleczka? – zaproponował ze znanstwem Wojciech.

– Otóż to! Panie złoty, co ja mam z tą swoją starą to się, panie, we łbie nie mieści. A tak tutaj, po cichutku, na działeczce, he, he... no wie pan?

– Rozumiem pana rozterki etyczne, panie Henryku! Mam też balsam na pana estetyczno-fizjologiczne wątpliwości. Oto najnowszy model z nowego gatunku gumy ochładzanej chemicznie. To połączenie giętkości i wytrzymałości, a chemiczny proces wyrobu spotęgował wrażenie płynące z wypustek czuciowych.

– Co też pan mówi! Ulepszone wypustki?!

– Tak jest! Ulepszone, z angielskiego „zapgrejtowane”. Nowość, nawet jeszcze w katalogach pan tego nie znajdzie.

– Fakt, fakt, czytałem ostatni i na pewno zwróciłbym uwagę na coś takiego.

– W takim razie już pakujemy, tak?

– Oczywiście, królu złoty!

Palce Wojciecha z biegłością wskazującą, iż do niejednej rzeczy w życiu służyły, śmigły wokół paczki. Wkrótce pudełko oprawione etykietą: *Przetwory mięsne i drób* trafiło w ręce pana Henryka. Ten uprzejmie podziękował, uiścił należną opłatę i pośpiesznie opuścił sklep, nim pierwsze dzwony oznajmiły poranne nabożeństwo.

Po wyjściu pana Henia Dobry Człowiek po raz kolejny zagłębił się w rozważaniach

natury filozoficznej. Dręczyła go myśl, czy dobrze postąpił, gdy przed trzema dniami zaczął się na pewnego, widywanego wcześniej na ulicy, staruszka. Gdy nieszczęśnik nieco się zbliżył Wojciech spytał go o godzinę i, nie czekając odpowiedzi, wyjął z kieszeni nastawioną na pełną moc elektryczną żabę. Starszy pan zaczął krzyżeć, tupać i z trudem łapiąc oddech, krzyżeć: „Ty łobuzie! Ty poeciarszu! Znam twojego stryjka popaprańcu!”. Cóż, nie było zbyt miłe to, co uczynił temu staruszkowi. Jutro go przeprosi. Tak, przeprosi go i spróbuje jakoś udobruchać. Mężczyzna chyba gra na saksofonie, więc to może będzie dobrym punktem startowym do nawiązania rozmowy. W końcu i on, choć skromny ekspedient, dmucha co nieco. Po raz kolejny myśli umknęły przed wdzierającą się brutalnie do małego światka przykościelnego sklepiku rzeczywistości. Bo oto do wnętrza wchodziła para klientów.

On i ona. Zakochani, szczęśliwi, z nadzieją w sercu i debetem dwadzieścia siedem pięćdziesiąt na koncie w banku. Młoda, na swój sposób atrakcyjna, dziewczyna podbiegła do lady i, nie zwracając uwagi na Wojciecha, natychmiast założyła na serdeczny palec jeden z wystawowych pierścionków.

– Ach spójrz kochanie! – rzekło z ukontentowaniem w głosie dziewczę. – Cóż za piękny pierścień! Wydaje mi się jakby emanował jakąś aurą, od której aż drży mi dłoń!

Przyszły małżonek zbladł, patrząc na nakładkę wibracyjną jednostajnie terkoczącą na serdecznym, serdelkoksztalnym palcu jego lubej. Wojtek z trudem opanował śmiech, lecz uśmiech natychmiast znikł z jego lica, gdy dziewczę zwróciło się do niego w te słowa:

– Panie sprzedawco kochany, dlaczego ten pierścionek emanuje z siebie tak duże wibracje? Czemu ma służyć to przedziwne zjawisko?

Dobry Człowiek widząc, iż ma przed sobą istotę nieświadomą pewnych faktów, również zbiełał. Cóż tu czynić? Czy godzi się gwałt zadać pojęciu na świat tak czystemu, jak o poranku kwiat śnieżnobiały, rosą zaranną zroszony?

– To jest taki pierścionek „nierozłącznik” – drga jak w pobliżu znajduje się bliska osoba. A że taka zwykle myślami jest przy nas, to i pierścionek tak sobie ciągle drga...
– zełgał rączo Wojciech.

– Aha – skwitowała krótko kobieta. W takim razie...

Przerwał jej dźwięk dzwonka wchodzącej do sklepu staruszki. Ta, gdy ujrzała co młoda klientka ma na palcu, zakrzyknęła radośnie;

– Panie Wojtku! Widzę, że nakładki wibracyjne już doszły, nareszcie!

Przyszły pan młody, bielejąc, osunął się na ziemię i stracił przytomność. Wojciech

rzucił pełne przerażenia spojrzenie na zemdlonego młodzieńca, staruszkę już otwierającą usta, by wygłosić tyradę o fachowym zastosowaniu nakładek i dziewczę gotowe wsłuchać się w obce dotąd jej znajomości świata sprawy i... Krzyknął. Krzyknął głosem pełnym pasji:

– „Daj mi teraz marzyć, daj! I już nikt nie wie, co jest realne, a czego w ogóle nie ma, gdzie prawda, gdzie złuda, co się czuje, czego się nie czuje, gdzie naturalność, a gdzie sztuczność, zgrywa i to, co powinno być, miesza się z tym, co nieubłagane jest, i jedno i drugie dyskwalifikuje, jedno drugiemu odbiera wszelką rację bytu, o, wielka szkoła nierzeczywistości!”

– Gombrowicz! – zakrzyknęła staruszka.

– Nie, Piecuch. To znaczy cytat jego, ale ja... – Wojciech zaplątał się i zamilkł.

Popatrzył z zakłopotaniem na wszystkich w sklepie i rzekł:

– Przepraszam panie i pana, choć on mnie nie słyszy, ale dość już mam i wytrzymać więc nie mogę!

– Ucisku na duszę? – rzekła leciwa kobieta.

– Serca porywu? – dodało dziewczę.

– Ja... Wypróżnić się muszę. Nie wiersza mi trzeba, lecz stolca!

I z tymi słowami na ustach wypadł jak wichur z małego sklepiku u stóp z kamienia klasztoru. I gna już przed siebie na kołach dwóch, po tysiąc jedno warte, ku znajomym podwojom. Do domu, do domu, do domu! Na sedes! Bo:

Homo sum, et nihil humanum a me alienum esse puto.

Bo i tworzyć, ale i żyć trzeba. A życie to nic innego, jak wchłanianie wrażeń i wydalanie z siebie i słowa i pieśni i stolca. Amen.

Zaimprovizowane po rozmowie z DC w wieczorowej porze 11 sierpnia 2008.

Senny spacer

Nieboskłon zasnuwały ciemne, burzowe chmury. Brodaty młodzieniec odziany w szarawą bluzkę oraz obmierzłe spodnie koloru zgniłej zieleni, przesączone zapachem potu i być może uryny, niespokojnie drapał się po policzku. Odruchowo spojrzął na lewy przegub, nie dostrzegł jednak zegarka.

– No tak, przecież go nie zabrałem... – wymamrotał pod nosem.

Był nieco zirytowany całą sytuacją. Zszedł pod blok bez zegarka i komórki, nawet klucze przełożył do dolnej kieszeni. Teraz nie miał zatem szybki czasomierza, którą mógłby przetrzeć brudnym, spoconym kciukiem, nie mógł również spojrzeć na ekran Nokii. Zszedł natychmiast po otrzymaniu telefonu, przecież jego gość miał pojawić się lada chwila! Minęło jednak co najmniej pięć minut a on wciąż się nie zjawiał.

– Zabiję go. Nożem – wysapał rozdrażniony. – O! – zakrzyknął tak, iż przechodząca obok staruszka obrzuciła go krzywym spojrzeniem – Jesteś...

Istotnie, nie minęła nawet minuta, gdy na parking wjechał dosiadający marnej jakości roweru młodzian z pseudoafro, zdobiącym jego podejrzenie gładką twarz.

– Witaj! Wybacz, że kazałem ci tu tyle sterczeć na próżno, pomyliłem słowa. Wiesz, wjechać, wyjechać...

Zielonospodnisty bez słowa wymierzył mu solidny policzek i, każąc czekać, wbiegł do klatki. Po chwili ponownie wynurzył się na zewnątrz, zakładając zegarek.

– No, teraz możemy iść, Wojtku.

– Gdzie? – spytał nieśmiało afrowłosa, pocierając bolące lico.

– Do parku, pokażę ci mój punkt obserwacyjny.

Wojciech, wiedząc, iż sprzeciw jest nie tylko bezcelowy ale i stanowczo niewskazany, posłusznie ruszył za brodatym przewodnikiem. Po kilku minutach dotarli do małego parku, gdzie, mimo kiepskiej pogody, na paru huśtawkach i zjeżdżalni bawiła się grupka dzieci. Urynozapachowiec zaprowadził swego towarzysza na ławeczkę nieopodal jednej ze zjeżdżalni i gestem kazał mu usiąść. Milczał przez dłuższą chwilę, po czym poprawił energicznie okulary i rzekł fachowo:

– Czy wiesz, że ostatnimi czasy dziewczynki w wieku od ośmiu do dwunastu lat zdecydowanie preferują kolor żółty? Tak mój drogi, róż odchodzi do lamusa. Spójrz! – wskazał na swoje żółte skarpetki wystające z wywietrzników sandałów. – To je wabi!

Wojtek chciał coś powiedzieć, jednak zamilkł, widząc, jak jedna z dziewczynek

podbiegła do nich i siadając na ziemi, zaczęła zdejmować jego niedomytemu towarzyszowi buty. Po chwili pocieszna istotka beztrzesko masowała osnute żółtymi skarpetami stopy, śmiejąc się w głos.

– Widzisz! – zakrzyknął triumfalnie okularnik. – Żółty je wabi!

– To dziwne, mój drogi. Zaiste niepojęte! Jej matka nic sobie nie robi z takich zabaw córki?

– Otóż właśnie nie. Wszystkie te kobiety znają mnie doskonale, wiedzą co mogę zrobić, a przed czym z pewnością się powstrzymam. To ponure czasy Wojtku, w większych miastach takie poczciwe kobiety musiałyby zatrudniać pomocników, którzy odstraszałiby pedofilów. A ja służę niemal za darmo, masaż moich obolałych, wiecznie zrogowaciałych stóp jest moją zapłatą.

– No tak... Pamiętam, że w zeszłym roku upolowałeś jednego takiego zwyrodnialca.

– Tak. Zabiłem go nożem.

– Nie wątpię.

– No! Dosyć! – brudnoskóry kopnął delikatnie dziecko w czołko, po czym założył buty i westchnął ciężko. – Chodź Wojtku, jak wspominałem przez telefon muszę ci coś pokazać.

– Ale przecież powiedziałaś tylko „Kee? Ke! Przyjedź...”

Brodacz spoliczkował towarzysza, tym razem delikatniej niż na parkingu, po czym obaj ruszyli w stronę bramki.

Dwaj młodzieńcy stali na środku ulicy, wpatrując się w widoczny w oddali komin.

– Ma chyba z pięćdziesiąt metrów wysokości, Wojtku... – wymamrotał z niekłamanym zachwytem zielonospodniasty. – Pomyśl, jak to wszystko widać ze szczytu!

– Mogę sobie to wyobrazić! Tak! Niemal to widzę...

– Milcz. Niczego tam sobie nie imaginuj, to trzeba zobaczyć na własne oczy, chodź!

– Gdzie? Tam?! Na szczyt?!

– Nie, nie i jeszcze raz niet. Na wzgórze niedaleko stąd, tam lepiej widać komin, tudzież okolicę.

Wojciech już miał ruszyć, gdy nagle poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Po sile uścisku szybko zrozumiał, iż lepiej będzie dla niego jeśli zachowa spokój. Powoli obrócił się, stając twarzą w twarz z intruzem. Był nim rosły mężczyzna, przypominający monstrualną krzyżówkę człowieka i czegoś jeszcze. Trygloidalny stwór przemówił ludzkim głosem, prosząc przerażonego Wojtkę:

- Obsikaj mnie.
- Ale... – afrowłosa rzucił wymowne spojrzenie swojemu towarzyszowi.
- To sprawa między tobą a tym panem – odparł lakonicznie okularnik.
- Obsikaj mnie, chłopaczku.
- Nie...
- Zabić cię jak psa? Szczaj!
- T... Ta... Ok...

Zdezorientowany młodzieniec pośpiesznie wyjął swoje przyrodzenie i najuprzejmiej jak umiał, zapytał:

- Gdzie... posikać?
- Po kolankach bym chciał.
- Dobrze.

Struga ciepłego moczu zmoczyła oba kolana, tudzież nogawki dresu nieznanego. Ten, chichocząc cicho, nie zaczekał nawet do końca, już po chwili odbiegł, przez co część moczu zrosiła mu plecy, przylepiając doń koszulkę.

- Chowaj mięso i idziemy! – zakomenderował brodac.

Wojciech pośpiesznie spełnił rozkaz przewodnika i, wciąż przestraszony, ruszył za nim. Po mniej niż kwadransie dotarli na szczyt skalistego wzgórza. Dysząc ciężko, spojrzeli w dół.

- Jezu! Chmury! Są pod nami! – wrzasnął przerażony Wojciech.
- Jesteśmy bardzo wysoko...
- Co to tak pika? Dzwoni? Wibruje?

– A masz! – brodaty okularnik w zielonych, przesączonych dziwnym fetorem spodniach, zatopił ostrze swego noża we wnętrzościach zaskoczonego towarzysza, krzyżąc przy tym: *Lecimy!*

Jak powiedział, tak zrobił. Skoczył wprost na jęczącego z bólu młodzieńca, chwytając go za nadgarstki, tak iż obaj runęli w bezdenną przepaść.

Wojtek zerwał się z tapczanu, czując jak mokry od potu podkoszulek nieprzyjemnie przylega do jego ciała. Dzwonił telefon. Młodzieniec szybko pochwycił aparat, leżący na stoliku nieopodal miejsca, gdzie zasnął, odbierając połączenie. Pomylił się jednak, nikt nie

dzwonił. To był sms. Na zdezelowanym ekranie ukazała się krótka wiadomość: „*Umrzesz.*”.

**Zaimprovizowane zaraz po, wypełnionej opowieściami z życia wziętymi,
włóczędze z DC odbytej 5 sierpnia 2009 roku.**

Wielkie poszukiwania albo lingwistyczna gierka

Tego dnia Wojciech wstał dokładnie o świcie. Brudna rzeczywistość natychmiast wpełza pod jego powieki. Teraz już nie mógł leżeć, bo leżąc, oszukiwałby sam siebie. Po co bowiem tak leżeć? Przecież i tak nie mógłby zasnąć, gdyż dopiero co się obudził. Wypoczywać też nie miał po co, przecież wypoczywać można po czymś, a on dopiero wrócił z niczego. Trzeba było wstawać. Wstał. Miał dwadzieścia dwa lata. I włosy. Taka dziwna, blond imitacja afro. Myślał sobie: I co tu robić? Zaczął się dzień, a ja już jestem taki niezdecydowany. Za oknem, na gałęzi rozłożystej sosny, usiadła właśnie wrona.

- Witaj, Wojtku – rzekł ptak.
- Witaj, wrono.
- Wcześniej dziś wstałeś.
- Tak jakoś wyszło.
- Widzę też, iż jesteś troszkę niezdecydowany.
- Oj tak, wrono! Bardzo! Nie wiem co.
- Może spróbuj wszystkiego.
- Nie jestem pewien, czy to pomoże.
- Zatem poszukaj.
- Dobrze.

Wojtek wziął szybki prysznic, potem poszedł do kuchni i zjadł śniadanie. Gdy skończył, wyszedł na zewnątrz, śpiewając sobie „la la la, o lala papa la!”.

- Hej, hej, Wojtku! – krzyknął pasikonik.
- Witaj, owadzie.
- Jesteś nagi, dlaczego?
- Zapomniałem!

Młodzieniec wrócił szybko do domu i włożył na siebie bieliznę oraz odzież wierzchnią, skarpety i buty. I znów wyszedł. Tym razem, nie niepokojony przez nikogo, ruszył dziarsko asfaltową drogą. Czekąca go długa wędrówka, jednak musiał w nią wyruszyć, aby znaleźć. Maszerował raźnie przed siebie, widząc. Widział wszystko, co było przed nim, a także trochę po bokach. Jeśli chciał zobaczyć coś, co już minął, musiał zatrzymać się i odwrócić, wtedy widział to, co było z tyłu (ale nie mógł widzieć już przodu, bo ten był tyłem). Wojtek też słyszał. Słyszał wszystko, co mógł. Tak sobie idąc, słysząc i widząc, usłyszał, a potem zobaczył, nieznaną dziewczynkę. Miała długie, kasztanowe warkoczyki, a do buzi

przyczepiony wesoly uśmiech.

- Hej, hej, dziewczynko! – zawołał.
- Hej, Wojtku!
- Dlaczego masz włosy z kasztanów?
- Kiedyś były brązowe i chitynowe. Ale synonim je zastąpił.
- Tak na zawsze?
- Chyba nie. Mam nadzieję, że nie.
- Aha. A dasz mi swój uśmiech? Co masz pod nim?
- Otwór gębowy. Mogę dać ci mój uśmiech, jak mi dasz a.
- Razem z a?
- Nie. Tylko a.
- W porządku.

I Wojtek wsunął w dłoń dziewczynki, otrzymując wesoly uśmiech. Włożył go do kieszeni spodni z dziurą, gdzie ten począł ślinić mu udo językiem.

- Dziwne to uczucie. Zupełnie dotąd obce.
- No to hej, Wojtku!
- Hej!

To było ich „to do kolejnego!”. Więc oboje znów poczęli chodzić. I ruszyli w swoje strony. Wojtek szedł sobie, myśląc: O trudno, trudno! Może powinienem ją dogonić i wziąć z powrotem? Języczek posmyruje mnie przyjemnie, lecz ile mogę bez? To przecie istotne jest wielce! Może sukcesem się skończy? Nie! Już nie mogę dłużej! I Wojtek wyrzucił uśmiech, w tej chwili wróciło do niego a. O, jak dobrze!

- Widzisz! – rzecze mu a. – Ciężko ci było beze mnie? Za taki półoralne bzdecie mnie oddałeś! Mnie, lidera samogłosek!
- Przepraszam.
- Prosić i dziękować beze mnie dasz radę. Ale przeprosin złożyć nie zdołasz.
- Zaiste.
- No dobrze już, nie gniewam się wcale. Powiedz mi lepiej, czy podczas mojej nieobecności znalazłeś?
- Nie, niestety!

Wojtek łyż począł ronić zawzięcie, gdy nagle myśl nowa zakielkowała. Tak prosta, a wielka zarazem. Nie ma! Po co szukać, jak nie ma! I tak, przerywając poszukiwania,

jednocześnie sukcesem je zwieńczył. Amen!

23 Sierpnia 2009

Eksperymenty

(lata 2008 – 2011)

Oniryczno-deliryczne próby wyrażenia stanu ducha.

Bezsenna

Człowiek siedział. Powoli toczyły się minuty obdarłej ze snu nocy. Otaczała go ciemność. Nie ruszał się. Pragnął zastygnąć, odizolować się. Zasnąć. Jednak wciąż siedział na zimnych schodach, nieopodal windy, parę kroków od przejścia prowadzącego do podziemnego garażu śpiącego budynku. Jego „chcę”, „muszę”, „trzeba” pozostawały pustymi słowami dla głuchej na nie rzeczywistości. Marzył, a jednostajny szum pracującej klimatyzacji irytował go coraz bardziej. Zerwał się gwałtownie i natychmiast przystanął, widząc, jak przed oczyma przemykają mu różnokolorowe, choć zdominowane przez czernią, punkciki. Powoli postąpił parę kroków, prawą dłonią wspierając się o bladą różową, szorstką ścianę. Chwilka daremnego odpoczynku. Zamknął drzwi prowadzące do tonącego w mroku, przepełnionego szumem parkingu. Nastąpiła cisza. Człowiek usiadł. Był zmęczony. Był zły. Był zrozpaczony. Ale nie senny, Hypnos bowiem wciąż uparcie omijał jego drzwi. Trzy doby. Tyle nie spał. Zbyt mało, żeby znieczulić się na wszechobecne bodźce i zarazem wystarczająco długo, aby stały się one nie do zniesienia. Mógł wrócić na górę, położyć się w pościeli, zamknąć oczy. I leżeć. Czekać. Nie, nie mógł tam być. Nie teraz. Ciężkie, duszne, przepełnione wilgocią powietrze było nie do zniesienia. Wszystkie pokoje zdawały się być przesiąknięte mulistym odorem bagien. Nawet woda smakowała źle, nieznośnie gorzko, mimo zagotowania. Nie, nie mógł tam być, choć ściany były suche, a włączone od kilku dni grzejniki wprost buchały ciepłem, wnikającym w każdy zakątek mieszkania. Ale on czuł tylko przytłaczający ciężar morowego powietrza wypełniającego płuca, uderzający wprost do czaszki, atakujący każdy zdrowy nerw. Nie, nie mógł tam być, trzeci raz to sobie powtórzył. Przytłaczała go ta atmosfera, czuł, jak coś próbuje wgnieść go w ziemię, odebrać oddech, ogłuszyć i przerzucić przez ramię jak bezwładną kukłę, niosąc gdzieś hen, hen, poza horyzont. W miejsca mu obce, surowe, złe złem obojętności i drwiny. Drzwi drgnęły pchnięte strumieniem chłodnego powiewu, znów mały światek człowieka wypełnił się hałasem. Wstał, ostrożniej niż przedtem zamykając bramy do swojej enklawy. Otworzyły się ponownie zanim zdążył usiąść. Podeszedł zatem raz jeszcze i ostrożnie, opuszkami palców pchnął białą powierzchnię. Znów było cicho. Człowiek wstał na schody. Wspiął się po nich. Stał w wyjściu. I wyszedł. A gdzieś pod nim, w opuszczonym światku, drzwi szarpnięte podmuchem otworzyły się ponownie.

Listopad 2008,
minął miesiąc w moim pierwszym, studenckim mieszkaniu.

NANA, czyli SIEDEM opowieści o niczym szczególnym

Poniższe teksty powstały w przeciągu trzech lat i są efektem pracy twórczej na wpół automatycznej. Nie jest to strumień świadomości w czystej formie, lecz każdy utwór pisałem w sposób ciągły, nie odrywając się od klawiatury od pierwszego do ostatniego zdania.

Chociaż tematyka poszczególnym opowiadań jest różna, to elementem spajającym je w całość jest ogólny nastrój, balansujący na granicy snu i jawy. Starłem się pisać stylem prostym, nawiązującym do baśni, czy też dziecięcych fantazji. Wszystkie teksty łączy ich przesłanie, czyli różne, mniej lub bardziej poważne, obrazy zła, którego ofiarami zazwyczaj są dzieci lub osoby dorosłe o dziecięcych umysłach. Moim celem było uzyskanie atmosfery znanej z własnych snów, groteskowych wizji, w których choć wszystko pozornie wydaje się normalne, to jednak coś, jakiś nieuchwytny element, wprowadza atmosferę niepokoju, a niekiedy wręcz irracjonalnego strachu.

Poszczególne opowiadania powstawały w różnych odstępach czasowych, czasem były efektem moich przemyśleń, czasem pośpiesznym zapisem zrodzonego w danej chwili pomysłu. Zasadniczo są jednak one próbą, mniej lub bardziej udaną, utrwalenia pewnego stanu umysłu (mam na myśli ogólną sumę uczuć, myśli, problemów i obaw), w którym znajdowałem się w chwili podejmowania pracy twórczej.

Matylda i Mateusz, czyli bajka terapeutyczna

Jeśli zbyt długo wpatrujesz się w otchłań i ona spojrzy na ciebie

Fryderyk Nietzsche

Na obrzeżach lasu stała sobie skromna, aczkolwiek wygodna chatka. Mieszkała w niej mała Matylda, jej braciszek, Mateusz, oraz ich rodzicie. Domu i obejścia pilnował duży pies Azor, przyjaciel Matyldy. Jako, że domek znajdował się z dala od reszty zabudowań, dziewczyna rzadko miała okazję zobaczyć innych ludzi, poza swoją rodziną. Dlatego też co roku bardzo czekała na festyn w pobliskiej wsi. Mimo to Matylda wcale nie była smutna, o nie! Całuteńkie dni spędzała na radosnej zabawie z młodszym bratem. Niestety, pewnego razu chłopczyk zachorował.

Choroba była poważna, więc malec bez przerwy leżał w swym łóżeczku. Matylda nie chciała bawić się sama, toteż przesiadywała w pokoju brata, rozmawiając z malcem albo spoglądając przez okienko. Było jej smutno. Wiedziała, że nie można być chorym cały czas, więc do festynu jej braciszek na pewno wyzdrowieje. Tymczasem mijały kolejne tygodnie, a nic się nie zmieniało, aż do pewnej burzowej nocy.

Matylda, jak zawsze, siedziała na stołeczku obok łóżka brata. Było jej bardzo, bardzo smutno, ponieważ w tym roku jej rodzina nie poszła na jarmark. *To wszystko wina Mateusza i jego głupiej choroby* – myślała sobie dziewczynka.

– A leż sobie! Gupku! – szepnęła do śpiącego malca i wyszła.

Jednak Mateuszek nie spał, miał tylko przymknięte oczka. Jemu też było smutno, po pierwsze dlatego, że ciągle leżał w łóżeczku, a po drugie bardzo lubił swoją siostrzyczkę. A teraz przez niego ona była nieszczęśliwa. Spojrzał na szalejącą za oknami burzę i postanowił sobie, że nie chce już przeszkadzać tacie, mamie i siostrzyczce.

Matylda nie mogła zasnąć, było jej wstyd za to, co powiedziała do braciszka. *Dobrze, że mnie nie słyszał* – pomyślała. – *Ale i tak go przeproszę*. Wskoczyła zatem z łóżeczka, ubrała ciepłe papucie i poszła do pokoju brata, uważając, by nie narobić hałasu, bo nie chciała zbudzić rodziców. Otworzyła drzwi i nagle bardzo się zdziwiła. Łóżeczko było puste, przez otwarte okno do środka wpadał deszcz, a wszędzie hulał zły, zimny wiatr. Przestraszona dziewczynka podbiegła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Zobaczyła tam golusieńkiego Mateuszka biegnącego dziko w deszczu, w dodatku całego umazanego błotem.

– Maaaaaamooooo! – zaczęła krzyczeć.

Rodzice nie wiedzieli dlaczego ich synek zrobił taką głupią rzecz. Natomiast Matylda szybko domyśliła się, że to jej wina. Biedaczek musiał wtedy nie spać, ostatnio często bolała go główka i mało sypiał. *No, ale wszystko będzie dobrze* – myślała sobie. Niestety, biedny malec zmarł dwa dni później.

Zrozpaczona Matylda wiedziała, że musi coś zrobić! Poczekała, aż rodzice zasną a potem zakradła się do pokoju mamy i zabrała przybory do szycia. Później odwiedziła kuchnię, gdzie znalazła nóż. Na koniec otworzyła spizarkę i zabrała stamtąd butelkę tatusiowego wina. Zrobiła poważną minę i wyszła na zewnątrz.

Najpierw odwiedziła grób braciszka, potem ruszyła do budy swojego wiernego przyjaciela, psa Azora.

– Cześć piesku... – powiedziała cichutko. – Masz, to dla ciebie...

Nalała do miski Azora tatusiowe wino, kręcąc przy tym noskiem, bo zapach był bardzo silny. Zwierzę wychleptało cały napój i, dziwnie sapiąc, położyło się na boku. Po chwili już smacznie spało. Matylda drżącymi rączkami chwyciła nóż. Wiele razy pomagała mamusi w kuchni i kroila mięso, wiedziała co zrobić.

– Biedny Azorek... – wyszeptała ze łzami w oczach.

Wbiła ostrze w brzuch psa i wykonała szybkie cięcie. Przeciągły skowyt szybko ustał, a po chwili dziewczyna grzebała już w środku przyjaciela, szukając serduszka. Wyrwała je, zawinęła w chusteczkę, po czym szybciotko pobiegła do mogiły Mateuszka.

Była już tam wcześniej i wykopała jego ciało, a nawet rozcięła je nożem w jednym miejscu, żeby wyjąć, zimne już, serduszko. Natychmiast po przybyciu zajęła się szyciem. Włożyła ciepłutki organ do środka braciszka, połączyła przecięte żyły, potem zaszyla ranę na piersi. Na koniec uderzyła go parę razy w policzek, wołając:

– Wstawaj! Wstawaj!

Chłopiec otworzył oczy, a po chwili podniósł się z ziemi. Matylda, piszcząc z radości, wzięła go za rękę i ruszyła do domu, krzycząc:

– Mamo! Tato! Mateusz się obudził!

Pierwszy z chaty wyskoczył tatuś. Aż krzyknął, widząc córkę radośnie prowadzącą zmarłego niedawno syna! Dopadł do dzieci i łamiącym się głosem spytał:

– Jak to? Co to?

Dziewczyna podekscytowana szybciotko opowiedziała, jak dzięki Azorowi Mateusz

znów był zdrowy. Tatuś natychmiast spochmurniał. Łkając, oglądał uważnie swojego, dziwnie markotnego, synka.

– To tylko ciało, puste... Puste... – szeptał. Nagle z całych sił uderzył w twarz Matyldę wrzeszcząc – To na nie! To pusta skorupa, ty mała wiedźmo!

Wziął pod pachę Mateusza, po czym ruszył do drewnutni, zostawiając płaczącą wniebogłosy Matyldę samą. Po drodze zabrał z pieńka siekierę, jęcząc coś niezrozumiale. Po minucie wyszedł z szopy, ale bez Mateuszka i siekiery. Z oczu leciały mu łzy, bo było mu bardzo smutno. Na podwórku nie zobaczył córeczki, lecz swoją żonę, która leżała na ziemi bardzo, ale to bardzo blada.

A było to tak: w czasie, gdy tatuś wszedł z Mateuszem do szopy, dziewczynka została porwana przez Azora. Pies zbudził się bowiem, słysząc płaczliwe wołania swojej towarzyszki zabaw. Nie miał już serca, dlatego też stał się zły, skoczył na Matyldę i porwał ją do lasu. To właśnie zobaczyła jej mama, która zemdliała z przerażenia. W lesie zły pies zaniósł dziewczynkę do swoich strasznych kuzynów: wilków. Chciał, żeby ją zjadły, sam bowiem miał rozcięty brzuszek, więc jeśli coś by połknął to i tak by z niego wypadło. Ale wilki były najedzone, a nie chciały się przejeść, mówiąc, że to jest niezdrowe. Jednak Azor skomlał i skomlał, więc dla świętego spokoju każdy wilk skubnął kawałek Matyldy. Dziewczynka piszczała, krzyczała, prosiła, przepraszała. Na próżno. Po kilku chwilach nie miała ani mięsa, ani skóry na rączkach i nóżkach. Zły Azor ucieszył się tym tak bardzo, że aż zaczął biegać radośnie w kółko. Nagle niechcący zahaczył o wystający z ziemi kawałek powalonego pnia, przez co już całkiem rozerwał sobie brzuszek. Przez to umarł do reszty. Matylda natomiast ciągle płakała. Bardzo bolały ją obgryzione kończyny, ponadto uderzył ją tatuś, a w dodatku przez nią zginął biedny Azorek. Mateusz chyba też nie wyzdrowiał tak, jak tego chciała. Ale nadal miała przecież rodziców, którzy ją kochali. Zaczęła więc wic się po ziemi jak wąż, coraz szybciej i szybciej!

Rodzice Matyldy siedzieli na ganku swojej chaty, byli bardzo smutni. Tatuś wstał nagle i wszedł do środka, zanosząc się płaczem. Mama też chciała tak zrobić, ale nagle zobaczyła, że z lasu wypęłza jakiś straszny potwór. Cały był w błocie i krwi, wydawał też jakieś straszne odgłosy. Mamusia Matyldy była dzielną kobietą: nie przelekkła się tej zjawy. Wzięła widły i bez chwili wahania zaczęła dźgać nimi złego węża. Wtedy, o dziwo, bestia przemówiła, w dodatku głosem Matyldy!

– Boli mnie mamó, przytul mnie...

Przerażona kobieta podbiegła do studni, pośpiesznie czerpiąc wodę. Polała nią istotę, a wtedy spod błota wyłoniła się twarzyczka jej córeczki. Ale było już za późno, Matylda umarła. Widok okaleczonej, martwej córeczki oraz świadomość, że to ona, jej matka, zadała śmiertelny cios, sprawiły, iż kobiecie zrobiło się bardzo, ale to bardzo smutno. Zapłakała na cały głos i umarła z żalu.

Tatuś Matyldy natychmiast wybiegł na zewnątrz. Widząc, co się tu stało, zrozumiał, że nie ma już dla niego miejsca na tym świecie. Dlatego poszedł nad brzeg rwącej rzeki i skoczył w jej odmęty.

Ryby szybko zjadły ciało mężczyzny, dzięki temu nie umarły. Były bowiem bardzo głodne, a jedzenia w rzece ciągle brakowało. Dużo z tych ryb złowił potem pewien staruszek, który aż się zdziwił ich wielkością. Przyrządził z nich pyszną potrawkę dla swojego chorego wnuczka, dzięki czemu chłopczyk całkiem wyzdrowiał. I przestał być smutny.

Morał: *Dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane, trzeba zatem działać z rozwagą i nie krzywdzić ani zwierząt, ani ludzi dla osiągnięcia swoich celów. Bowiem nie każdy błąd da się naprawić, a robienie tego na siłę, prowadzi do wielu nieprzyjemności bądź śmierci.*

Marzec 2009

Sąsiad

Z wysłużonej żarówki sączyło się ostre, bladożółte światło, które oblepiało każdy zakamarek betonowego półpiętra. Skulona w kącie istota lgnęła do tego blasku niczym éma, na zmianę przekrzywiając czerep w jego stronę, aby już po chwili cofnąć go i niezdarnie pocierać oczy. Z pewnością był to człowiek, „dziecko” wyglądające na nie więcej niż dziesięć lat. Poruszało się na czworaka, niemal pęzło, z wysiłkiem manewrując groteskowo wykrzywionymi w stawach kończynami. Nienaturalnie duża, jajowata głowa z trudem utrzymywała się na karku, co chwila lecąc to w jedną, to w drugą stronę, z ust i nosa ciekła mu dziwnie zgęstniała ślina. A może to był Śluz? Młodzieniec wciąż stał na najwyższym stopniu sparaliżowany widokiem „tego”, krążącego jak wściekły pies, zagradzającego mu swoim istnieniem drogę. Wystarczy, że przejdzie obok i szybko przeskoczy kilka stopni, dotrze na piętro i otworzy mieszkanie. Prawdopodobnie ta poczwara nawet nie zwróciła na niego uwagi. Nie mógł jednak postąpić ani kroku. Paraliżowała go własna reakcja, nie zaś strach, czy obrzydzenie. Nigdy nie podejrzewał, iż drzemią w nim tak wielkie pokłady najczystszej pogardy. Widział potwornie doświadczone przez los dziecko, kalekę, chciał współczuć. Mimo to ledwie był w stanie nazwać w myślach „to” istotą ludzką. A przynajmniej humanoidalną. Długi, gardłowy bulgot wyrwał się z gardła stwora wraz ze sporą porcją „tej” cieczy.

– Mateusz! – dobiegł nagle z dołu kobiecy głos.

Na półpiętro wkroczyła Ona. Duch czysty obleczony w ciało. Młodzieniec stał osłupiały, widząc ciemnowłosą kobietę odzianą w pośpiesznie narzucony szlafrok, która właśnie chwyciła w swoją dłoń kończynę kreatury. Jej zaróżowiona od kąpieli skóra delikatnie parowała w chłodnym powietrzu klatki schodowej. Światło zgasło dokładnie w chwili, gdy obróciła się w stronę młodzieńca ze słowami: „Przepraszam za niego!”. Twarz. Twarz! Matka i jej podopieczny dawno już zniknęli w swym mieszkaniu mieszczącym się piętro niżej. A Jej twarz wciąż trwała w ciemności przed oczyma duszy młodzieńca. Również delikatny zapach balsamu użytego do kąpieli dawno rozwiał się wśród stęchłego powietrza, lecz jego wspomnienie odbijało się od ścian jego nozdrzy. Gdy w końcu powoli ruszył ku swojemu mieszkaniu w głowie kłębiło mu się tysiące pytań, zaś niepodzielnie królowało jedno z nich: „Dlaczego Ona musi opiekować się 'tym'?”. Szczęk otwieranego zamka otrzeźwił nieco zmałowany, młody umysł. Zamknął za sobą drzwi, zapalił światło i pustym głosem burknął:

– Jestem.

Odpowiedziała mu cisza, a do nozdrzy natychmiast napłynął znajomy odór zgnilizny płynący z wszystkich pomieszczeń, wyciekający z każdego wypełnionego spleśniałą żywnością garnka. Kim była ta kobieta? Rzucił się na pozbawione pościeli łóżko i skulony w jego rogu zamknął oczy. Zacznie od jutra. Spyta o Nią. Kogo? Przed oczy napłynął mu obraz szpetnej mordy, naznaczonej po części obłędem. Ona będzie wiedzieć. Spyta jutro. Teraz musiał odpocząć, jego ciało tego potrzebowało. Tych godzin przeleżanych w ciemności z zamkniętymi oczyma, godzin wypełnionych oczekiwaniem na brzask, kiedy w końcu zawita do niego, na dwie, może nawet trzy godziny, Hypnos. Łagodny narkotyk wyrrywający go z czeluści życia dla wypełnionych grozą obrazów. Wolał już znane od wielu miesięcy szaleństwo krainy snów niż rzeczywisty świat i to, co musiał na nim robić już od niemal dwudziestu czterech lat: żyć.

Świt zastał go wciąż trzeźwego. Najwidoczniej dzisiejszej nocy ponury pocieszyciel znów miał zbyt wiele pracy, nie zdążył. Dwie doby bez snu były dla niego czymś naturalnym, już dawno zdążył się do tego przyzwyczaić. Dochodziła ósma, musiał zacząć sprzątać. Nie mógł pójść piętro wyżej ze świadomością tego, co zostawiłby tutaj. Ona od razu by to wyczuła. Podniósł ze stolika niedojedzoną laskę kielbasy pokrytą gęstym, miniaturowym lasem pleśni. Była miękka w dotyku, niemal przepływała mu między palcami. Zaciśnął mocniej dłonie i ruszył w stronę kuchni.

Sprzątanie zajęło mu czas aż do późnego popołudnia. Zamknął okna o godzinie siedemnastej dwie, odcinając się od późno listopadowego wieczoru szkłem. Mieszkanie było naprawdę czyste, odór znikł gdzieś bezpowrotnie, a podłoga lśniła jeszcze od schnącej powoli wody. On również był gotów. Czyste, świeże rzeczy dobrze na nim leżały. Twarz, podrażniona po ponad dwóch miesiącach przerwy od flirtowania z ostrzem, była śliska. Zbyt śliska. Brutalnie startł z niej balsam kawałkiem papieru. Założył buty, po czym wyszedł. Przez chwilę myślał nad pretekstem. Wpadł na odpowiednie rozwiązanie. Zamknął drzwi i postawił stopę na pierwszym stopniu schodów prowadzących na czwarte piętro.

– *Stara suka* – wysyczał pod nosem, ruszając, by klamać.

To nie była zwykła staruszka, a larwa, jakaś monstrialna forma pośrednia między dawno już przejrzałą kobietą, a zasuszoną babinką. Pani z góry, pani Bogusława. Gnijąca w swej nienawiści, monstrialna strażniczka moralności całej klatki. Dulska, nic dodać nic ująć. Miał dobrą wymówkę. Przyszedł tu po herbatę. Ziołową. Uwierzyła. To zresztą nie miało znaczenia. Często na niego czyhała, na niegrzecznego lokatora z dołu, sąsiada, który

praktycznie się nie mył. Widząc w jakim jest obecnie stanie, nie kryła radości. *Wiesz, że posprzątałem, tam na dole* – pomyślał sobie w duchu.

– A jak ci się tu mieszka, drogi chłopcze? Ile to już? Osiem miesięcy?

– Właśnie zaczął się dziewiąty. Dziękuję, bardzo dobrze. Cieszę się, że mnie pani zaprosiła do środka.

– Przecież nie mogłeś tak tylko wpaść i wypaść, tak rzadko jestem odwiedzana.

Spojrzał na nią. Schludna spódnica w przyblakłe kwiaty ukrywała jej zmięte ciało. Gęste, siwo-brązowe, kręcone włosy sterczały z czaszki na wszystkie strony, opadając aż na sinozielony, ohydny sweter. Morda. Żywe zwłoki omotane w szmaty. Giń! Słowa pełne pogardy wypełniały umysł młodzieńca. Wiedział, że będzie jej posłuszny, jest tu gościem. Tę nieszczęsną kobietę odwiedzał jedynie jej brat, czyniąc to dokładnie co siedemnaście dni. Stary, przechodzony wąsal. Młodzieniec nie chciał zabawić tu zbyt długo. Rozmówczyni zawsze witała go gościnie, a potem opowiadała godzinami o swoim świecie. Wielkiej potędze wiary, zepsuciu ludzi wokół (ona pozostawała czysta). A pluła równomiernie na wszystko, w co kiedyś wierzył: miłość, wolność, sztukę. A on jej przytakiwał. Bał się jej. Bał się tego, że ta zgnuśniała kobieta wyrażała wszystko to, w co wierzyła z taką otwartością, bez cienia zażenowania, dumna z każdego złego słowa o obcych sobie ludziach. Ach! Musiał przestać myśleć! Przyszedł tu w jednej tylko sprawie, musiał działać. Na rozmyślenia przyjdzie czas gdy wróci do siebie, tam będzie mógł do woli pić gnój sączący się ze swojego umysłu, pozwalać mu wciekać poprzez podniebienie, aż do gardła, żołądka i krwiobiegu, aby znów powrócić do mózgu.

– Tak... – powiedział tylko po to, aby przerwać własny strumień świadomości. – Też cieszę się, że zaszedłem. Niestety, nie mam zbyt wiele czasu, dużo pracuję w domu.

– Ach tak, tak.

– Dziś jestem nieco wyczerpany, w dodatku jeszcze wczoraj miałem dziwną przygodę.

– Ach, tak, tak. Jaką?

– Nic ważnego... Na półpiętrze spotkałem jakieś dziwne... zdeformowane dziecko.

– Aaa... – wysyczała, po prostu wysyczała. – Tak, to syn tej... spod piątki z drugiego piętra. Ty nie znasz tu ludzi, ale ja tu mieszkam od trzydziestu lat. Trzydziestu lat! I nigdy nie sprawiałam problemów. Nikomu. Teraz sąsiedztwa już nie ma. Każdy sobie rządzi u siebie, a co tam, że jego wrzaski i hałasy przeszkadzają innym. Ja nigdy się nie skarżyłam, jak inni, administracji. A powinnam, a powinnam. Ile to razy, jeszcze ten twój poprzednik

chłopcze, bo ty to porządny jesteś, ile razy darł gęby, śpiewał coś. Kapelę miał, taki głupek. Na perkusji grał jak szalony, żeby to chociaż muzyka była. Ja perkusję lubię, jak byłem młoda nie raz słuchałam różnych takich zespołów z perkusją. Ale on walił w to bez opamiętania, bez żadnej melodii. No idiota po prostu, idiota! Chociaż ja ludzi nie oceniam ot tak sobie, jak inni. Ja się znam na ludziach, dlatego widzę, że ty porządny chłopak jesteś. I dziewczyn sobie nie sprowadzasz. Tak, tak. Ty sobie nie myśl, że tego nie słychać, jakby coś się działo. To słychać. A tamten to sobie sprowadzał jakieś kurwy, co tydzień inną. A tak, tak. Żebyś wiedział! A ta spod piątki też się puszczała kiedyś, a jak! Ja wszystko mówię wprost, nie taję jak inni, jak coś mi nie odpowiada to mówię. Więc tak, puszczała się, puszczała. Miała takiego swojego gacha, takiego jakby męża na próbę. Dwudziestu lat nie miała jeszcze jak z nim mieszkała. No i dwa lata tak sobie mieszkali, aż im się urodziło. Ten, ten Mateusz cały, widziałeś jak on wygląda? Kara boska, kara boska, naprawdę nie zmyślam wystarczy go zobaczyć. Rok sobie to dziecko chowali, aż on nie wytrzymał i wyszedł na dach, tu u nas. I skoczył. Boga w sercu człowiek nie miał, skoczył z dachu, zabił się, a że nasz ksiądz dobry człowiek, to go pochował tu na cmentarzu, tym co dwa przystanki dalej jest. I go w święconej ziemi pochował, a on był samobójca, ale go nasz ksiądz w poświęconej ziemi pochował. Tak. No i ta, Aneta jej na imię, pieniądze dostała. Bo to się okazało, że ten jej gach to z bogatego domu był. Wiedziała kogo brać. Szczwana. I to już dziewięć lat chowa tego swojego syna, nigdzie nie pracuje tylko co chwilę jakieś książki czyta i za te pieniądze jego żyje, bo to fortuna była. I jeszcze ma rentę na tego małego.

– Takie życie.

– A życie, życie. Żebyś wiedział. Weź sobie jeszcze ciasta na drogę.

– Nie, nie trzeba. Ja wezmę tylko herbatę i już będę uciekał pani Bogusławo, bo muszę pracę skończyć.

– Na komputerze pewnie?

– Tak.

– Tak wszyscy teraz. No idź, idź.

Młodzieniec pożegnał się raz jeszcze i wyszedł. Zszedł po schodach. Otworzył drzwi, wszedł, zamknął drzwi. Całe misterium powrotu. Wrócił do swojego mieszkania pełen strachu. Już nawet nie potrafił nienawidzić tej starej, durnej... Oddychał ciężko, głośno. Zabiłby ją, mógłby zgnieść jej ten łeb rękoma, rozwalić czaszkę czymkolwiek. I kucnąć. Płynnie oddać stolec i zmieszać go z jej mózgiem. Poczul mdłości. Nie chciał myśleć o tym

wszystkim. Zawsze starał się niczego sobie nie wyobrażać, ale te myśli mozolnie wypełzały gdzieś z jego krwi, jego limfy, gniły w mózgu. Musiał czymś się zajmować, albo powtarzać po cichu jakieś zdanie, formułkę. To je odganiało. Nie odganiało. Uciszało. Od kiedy przed ponad rokiem rzucił studia, to wszystko zdarzało mu się rzadziej. Nie musiał na co dzień przebywać wśród ludzi, był spokojniejszy. Wystarczyło przeprowadzić się do innej części miasta, zrezygnować z dostępu do sieci, pozbyć się telefonu i człowiek zniknął. Tutaj miał spokój. Wystarczyło, że po prostu leżał. Leżał godzinami nie robiąc nic, nie myśląc o niczym. Musiał nauczyć się tej sztuki, aby przetrwać. Czas płynął mu w miejscu, widział świat, ale nie musiał go dublować w swoim umyśle. Wyrzucił tę brudną kalkę, która doprowadziła go do ostrego załamania nerwowego.

Teraz był tu bezpieczny, wychodził tylko po niezbędne sprawunki. Miał pieniądze, niegdyś gromadził je na opłaty, samochód, sprzęty. Rodzina sporo mu zostawiła. A on wybrał wtedy wszystko, prawie czterdzieści tysięcy złotych, w banku. Przyniósł to tutaj, mógł w każdej chwili otworzyć szafkę i patrzeć na, stopniałą już nieco, górkę dwustuzłotówek. Wszystko zaczynało do niego wracać, znów zaczynał myśleć o tym co widzi, robi, czuje. Kopiować każdy swój ruch i mnożyć przez sto, zastanawiając się dlaczego nie wybrał wtedy żadnej z opcji, o których teraz myślał. Źle coś rozegrał. Pomylił się. Powinien to zrobić inaczej, Ale ludzie pamiętali już jego reakcję. Dlaczego nie mógł tego zmienić? Nie. Teraz to było coś innego. Nie myślał już tak jak wtedy, kiedy zdecydował się uciec od tych wszystkich ludzi i Spraw. Teraz wszystkie jego myśli krążyły koło tej istoty, wylewającego z gardła maź Mateusza. Potwora spod piątki. Dlaczego ta różowa, ciepła kobieta, Aneta, musiała na co dzień dotykać ohydy? Dlaczego piękna pani jako jedyna nie mogła po prostu cieszyć się własnym czarem i tym co czynił z ludźmi, światem? Właśnie Ona powinna być wolna, chociaż tylko Ona, nikt więcej. Młodzieniec przywołał z pamięci obraz Jej twarzy. Plama błota, fermentujące ekskrementy barw. Nic więcej. Nie mógł w pełni odtworzyć niczego z Nią związanego, prócz uczucia, które wtedy nim owładnęło. Wiedział już, że musi, w pierwszej kolejności, znów Ją zobaczyć. A potem uwolnić. Uwolnić, jakimkolwiek sposobem, od tej skazy z powykręcanyimi kończynami. Czysta, silna i piękna. Przed oczyma stanęła mu wizja niemal nagiej, oplecionej zwiewnym jedwabiem kobiety, której twarzy nie mógł dostrzec. Kroczyła w stronę źródła, po jaskrawo szarym betonie, miękkim jak trawa. Wiedział, kim była. Wiedział, co musiał zrobić. Wszystkie ohydztwa pełzające w jego umyśle umknęły przed rzeczywistością.

Zawsze zastanawiał się, czy powinien kiedykolwiek podnieść rękę na ludzi. Teraz nie musiał się o to troskać. Zwierzę w ciele człowieka, nazwane jego imieniem, jak pies, cierpiało i przysparzało cierpień. Musiał skrócić mu kark. Pamiętał scenę z dzieciństwa, gdy mając pięć lat widział konającego na drodze kota. Zwierzę miało zmiażdżone wnętrzności, nieznane koło pomknęło dokładnie przez jego środek. Jakiś mężczyzna przyszedł z łopata, aby zgarnąć na nią istotkę. Oszałały z bólu, ranny zwierz tłukł jedyną łapą, nad którą miał władzę w metalową powierzchnię. Trafił do rowu. Tam zdechł. Mężczyzna mu pomógł. A jednak to pięcioletnie dziecko chciało żeby kotek umarł od razu, żeby pan odciął mu główkę sztychem łopaty. Skrócić męki niewinnego stworzonka.

Jęk przestał płynąć wtedy z rowu dopiero po kilku minutach. Teraz młodzieniec wiedział już, że te minuty to były dni i lata dla bezowego zwierzęcia. Nie chciał być okrutny, nigdy by się na to nie zdobył. Chciał być litościwy, jak mężczyzna ze wspomnień, jednak nie popełnić jego błędu, nie dawać czasu konającemu, wyrwać te parę chwil ze szponów bólu. On będzie szybki. Uwolni tę kobietę, ten cud natury od poczwary. Zabije, szybko i bezboleśnie, to monstrum. Mateusza – istotę nazwaną jak człowiek. Rodząc się skalał łono Ideалу, teraz żyjąc zatruwa Jej życie. Ale on z nim skończy. Tak postanowił. Jak? Na to pytanie będzie musiał poszukać odpowiedzi, lecz nie teraz.

Musi najpierw dokładnie obmyślić plan. Miał wiele planów. Kiedyś je wszystkie spełni, wiedział to. Jednak nie teraz, jeszcze nie teraz, bo stary znajomy zapukał mu właśnie do duszy. Cześć, Hypnos! Młodzieniec, nie zwlekając ani chwili, położył się na podłodze.

I zasnął.

Listopad 2009

Leśny Człowiek

Tego roku, wraz z wiosną, do lasu przybył nowy mieszkaniec. Budzący się z zimowego letargu bór z wolna przyoblekał się w swój zielony strój, wypełniając powietrze aromatem wzrosłego po ustąpieniu śniegu życia. To był radosny czas, szczególnie dla dzieci z pobliskiej wioski, których śmiech niósł się daleko wśród drzew. Była ich czwórka, dwóch chłopców i dwie dziewczynki. Najstarszy liczył sobie lat trzynaście, najmłodsza osiem. Każde z nich miało kiedyś rodzeństwo, które odebrała im Zła Wojna. Ale ona już się tutaj skończyła, poszła gdzieś daleko, na Zachód, innym dzieciom zabierać braciszków i siostrzyczki. Czwórka małych ludzi mogła bawić się radośnie wśród kniei w towarzystwie własnym oraz ich nowego, niezwyklego przyjaciela.

Pierwszy spotkał go Paweł, najstarszy z grupy małych przyjaciół. Był bardzo dzielny i dobrym chłopcem, całutką zimę pomagał pani Bożenie, żonie pana leśniczego. Dwa lata temu została sama, gdy jej mąż, pan Henryk, musiał gdzieś pojechać z panami, którzy prowadzili tu wojnę. Już nie wrócił, tak jak tata Pawła. Chłopak chodził więc do lasu z paczkami od swojej mamy dla leśniczowej żony. A ona dawała mu za to całusa w czółko, a czasem trochę mięsa z leśnych zwierząt. Lubił panią Bożenę, a ona lubiła jego. Zawsze mówiła, że chciałaby mieć takiego synka jak on. Gdy przychodził, rozpromieniona ścisnęła go mocno i sadzała na swoje kolana, głaszcząc długo po głowie, ramionach i brzuchu. Była miła, chociaż czasem troszkę nachalna. Na przykład zawsze mówiła mu: „Biedactwo, taki kawał musiałeś tu iść! Napij się, skarbie, wody!”. Musiał wtedy wypić trzy, czasem cztery szklanki, a potem iść za domek leśniczego żeby to wszystko z siebie wypuścić w jasnym strumyku moczu. Pani Bożena chodziła wtedy z nim, żeby potrzytać jego siusiaka, chociaż Pawełek nie był już małym chłopcem. Dlatego też nikomu o tym nie mówił, przecież śmialiby się z niego, że jest ciągle dzieckiem. Pani Bożena też zawsze mu powtarzała z uśmiechem na ustach: „Nie mów mamie o tej wodzie, będzie zła o to, że dużo pijesz i przez to mniej jesz.”. Potem, gdy strumyk już malał, aż w końcu całkiem zniknął, Pani Bożena pomagała mu strząsać kropelki, które mogły go przecież uwierać. Robiła to czasem krócej, czasem dłużej. Lubił tę jej pomoc, a ciągle słyszał, że za kilka miesięcy, jak podrośnie, to woda może mu zacząć troszkę szkodzić i kropelki, które należy wytrząść, będzie więcej w siusiaku, a biedaczek przez to będzie aż sztywniał. Stało się to jednak szybciej. Tego pięknego, wiosennego dnia, kiedy Paweł spotkał Leśnego Człowieka, wracał od pani Bożeny, u której poczuł „wielkie szczęście”, jak to mu wytłumaczyła. I to, do czego pomogła mu dojść kobieca dłoń, mogło być jego udziałem już

ciągle. Biegł radośnie, chociaż spodenki uwierały go nieco, a swędzenie denerwowało. To był taki piękny dzień! I wtedy nagle zobaczył Go na drzewie.

Leśny Człowiek natychmiast został sekretnym przyjacielem dzieci. Odwiedzały go codziennie, aby popatrzeć na tego cudaka i porozmawiać z nim. Lubily szczerze mówić, a on uważnie słuchać. Nikt we wsi tego nie robił, nikt nigdy nie słuchał dzieci. A ten nowy mieszkaniec lasu zawsze się z nimi zgadzał, nigdy nie przerywał. Nawet nie mówił. Zresztą nie mógłby nawet tego zrobić, w końcu był zawieszony na drzewie, a nie sposób przeciąć uprząż swojego spadochronu, będąc zupełnie martwym. Leśny Człowiek wisiał tak zatem, gnijąc powoli, acz sukcesywnie. Nie szkodził dzieciom, jego rozkładające się wnętrzności nie wylewały się ze skórzanego kombinezonu pilota. Trwał tak, pieszczony podmuchami stłumionego przez drzewa wiatru, przez dwa miesiące. Potem zabrał go pan milicjant, a dzieci zostały same. Jednak szczęście nie opuściło malców, Paweł znów się popisał. Zaprowadził swoich przyjaciół do pani Bożeny, która zastąpiła im Leśnego Człowieka, rodziców jak i cały świat, wtulając ufnych, małych ludzi w swój wielki, gorący z miłości biust. A na Zachodzie wojna nadal odbierała coś cennego komuś zwykłemu, a tamtejsze dzieci wciąż spoglądały tęsknie ku niebu. Może w głębi duszy pragnęły, by z tego błękitnego jeziora opadł powoli ich własny Leśny Człowiek?

Kwiecień 2010

Dom na wzgórzu

Opowieść mknęła wśród łąk pełnych rozkwitłych, wiosennych kwiatów. Jej intensywna woń wypełniała chłodne, rześkie powietrze. Była wszędzie, tak jak i opowieść. A jednak nie trwała wiecznie, kwiaty gasły jeden po drugim, a słońce grzało coraz silniej, zaś opowieść wylegiwała się w jego jasnych promieniach, myśląc o sobie. Potem skryła się przed deszczami i chłodem pod wielkim głazem. Wyszła stamtąd dopiero, gdy szary kamień pokrył biały puch. Uciekała przed zimnem długo, wytrwale, aż wpadła do małej chaty i skuliła się na piecu obok wielkiego, białego kota w ciemne plamki. Kot spojrział na nią i skinął głową. Chciano jej tutaj. Opowieści wskoczyła zatem pod kołderkę i położyła się przy małym chłopcu. Śpiący brzdąc rozdziawił usta, a ona wskoczyła w nie cała. To był jej dom, chłopiec, przez wiele lat. W tym czasie patrzyła jak jego ciało rośnie, a umysł poznaje świat. I litery. W wieku dziesięciu lat, gdy dom nauczył się biegle czytać i pisać, a zima nie zmuszała go do pracy przy polu, opowieść pokazała siebie domowi. Potem znikła. A chłopiec, spocony i dziwnie otępiały, usiadł przy biurku o świcie, chwycił za ołówek stolarski ojca, otworzył niezgrabnie kajet i zaczął pisać.

Trzy miłości

Przed wieloma laty stał na zielonym wzgórzu wielki, drewniany dom. Był bardzo stary, a mimo to nadal służył dobrze mieszkającym w nim ludziom. A oni byli szczęśliwi przez szereg długich lat. Jedenaście lat. Mama, tata i córka. Rodzina. Nikt ich nie znał. Nikt nie chodził do domu na wzgórzu. Nikt się go nie bał. Nikt nie bał się ludzi w nim żyjących. Nikt nie chciał ich poznać. Nikogo nigdy nie poznali dobrze. Nikt nikogo nigdy niebezpiecznie nie napastował. Nie. Nie i nie. Nigdy nie był cichy, ten dom. Zawsze było w nim pełno śmiechu. Był daleko od innych domów. Stał samotnie. Wielu ludzi, wszyscy ludzie, byli czymś zajęci. Nie mieli czasu dla rodziny wiecznie zajętej przez życie. Przeżycie i życie to bracia, którzy boją się objąć i wstydzą się tego, gdy muszą być blisko siebie. Dlatego spuszczają oczy i milcząc myślą o sobie. Ludzie też myśleli o mieszkańcach; mamie, tacie i córce. Mama myślała o tacie. Tata myślał o mamie. Córka myślała o mamie i tacie. Mama i tata myśleli o córce. Córka myślała o mieszkańcach. Mama i tata nie myśleli o mieszkańcach, malowali obrazy, których nienawidziła ich córeczka. A dziewczynka myślała dla siebie i nic nie mówiła.

Rodzice byli artystami, malowali, śmiali się i kochali swój świat. Dziewczynka kochała rodziców, lubiła też ich świat. Ale od urodzenia mieszkała w domu na wzgórzu i wolała zostać

tutaj, niż codziennie iść tam. Bawiła się od rana do świtu, jeśli rodzice nie pozwalali jej zasnąć. A ona przecież lubiła spać. Często pracowała przy domu, myła wielkie, czarne podłogi, patrząc, jak cudownie lśniły w blasku słońca. Ścierała kurze, pucowała zastawę. Wiele rzeczy robiła sama i szybko nauczyła się tego, że jej praca jest tutaj całkiem sama i nigdy nie będzie miała towarzyski zabaw. Prace mamy i taty bawiły się tylko ze sobą, dziewczynka ich nie lubiła. Tak jak nie chciała malować, grać na skrzypkach kupionych przez tatę, flecie od mamy i harfie w holu. Kiedy rodzice chcieli, żeby rozwijała w sobie wielki talent, ona brała ściereczkę i sprzątała dom. Tylko wtedy rodzice się nie uśmiechali.

Pieniądze za dziwne obrazy mamy i taty starczały na życie w luksusie, tak zawsze mówiła mama. Dziewczynka jej wierzyła, chociaż nie знаła wartości tych pieniędzy. Wszystko co znała to dom, wzgórze i rodzice oraz dziewczynka z dalekiego sąsiedztwa, którą widywała bardzo rzadko. Byli wolnymi ludźmi, to było Wielkie Prawo tego domu. Dziewczyna często myślała, że wolność może być inna, taka jak inne wolności: mama w kuchni, tata w pracy. Ale nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Ich wolność była nie udomowiona, dzika. I chyba umierała, bo często trzeba było ją karmić sobą, pokazywać jej, że jest się wolnym człowiekiem, a ona źródłem tej wolności. Dlatego w upalne, letnie dni wszyscy chodzili bez ubrań, biegali po trawie krzycząc i śmiejąc się. Mama i tata często zapraszali ją do sypialni, stawiali mały krzeselko w kącie i prosili, żeby patrzyła na nich, gdy nadzy leżą na sobie i okazują sobie miłość. Kiedyś spytała ich czy i ona mogłaby okazać miłość. Speszyl się przez to pytanie dziewczynki, ale bardzo szybko zaczęli wstydzić się tylko tego, że się zakłopotali. Mama wstała i powiedziała: „Zrzuci ubranko i chodź tutaj. Jesteś wolna.”. Dziewczynka wstała z krzeselka i poszła sprzątać dom. Później nie przychodziła już patrzeć na miłość mamy i taty. Wolą myśleć o własnej miłości do nich.

Dziewczynka długo płakała w ukryciu. Miała rację, chociaż nie mogła o tym nikomu powiedzieć. Mama i tata kochali się, miłość mamy to miłość taty. Ona kochała ich. Wszyscy się kochali, były trzy miłości! Tata i mama. Ona tatę i mamę. Rodzina siebie. W zimny, jesienny dzień poszła nad strumyk i zabrała stamtąd duży, płaski kamyk. Położyła go w piwnicy i pocałowała. To był grób Trzeciej Miłości. Wiedziała, że w grobie nie ma ciała, bo już dawno musiało gdzieś zgnieć. Teraz zostały dwie miłości. Siostry. Mama i tata nadal byli w świecie, który kochali. Dziewczynka sprzątała dom i chodziła po wzgórzu. To był jej świat. Rodzice nie chcieli tu być, ona nie chciała być u nich. Oni i ona. Wiedziała, że jej świat jest silniejszy, żeby go niszczyć musieliby podpalić dom. Często się tego bała. Bardzo się bała.

Dlatego postanowiła pierwsza zaatakować. Położyła ulubiony obraz rodziców na ziemi i nasiusiała na niego. Zawołała ich. Byli wściekli, ona się śmiała. Udało się. Nie pogładzili jej po głowie, chwając za wolność, dostała lanie. Potem mama spytała, dlaczego tak się stało. Dziewczynka powiedziała, że ich wolność jest taka duża, że dla niej prawie nie ma już miejsca. Mama rozplakała się.

Po nasikaniu na obraz mama regularnie sprzątała z córką cały dom. Śmiały się, a dziewczyna musiała pokazywać mamie czym najlepiej czyści się podłogę, jak dobrze umyć szyby i dlaczego trzeba często wszystko sprzątać. Tata w tym czasie malował. Ale tylko to, co widział za oknem, malował świat dziewczynki. Mama i tata nie wchodzili już do swojego świata. Cała trójka żyła w wolności i miłości domu na wzgórzu, w krainie dziewczynki. Była bardzo szczęśliwa. Ona i oni. Znowu. Dziewczynka dopiero po roku zrozumiała, że jej woda nie smakuje kwiatom. One mogły rosnąć tylko na swojej ziemi, pijąc swoją wodę i wystawiać nagie ciała na swoje słońce. Mama i tata wędli, umierali z miłości. Dziewczynka chciała, żeby ją kochali i żyli razem z nią w rzeczywistości. Oni nienawidzili rzeczywistości i kochali dziewczynkę. Oni i ona. Razem. Dziewczynka ciągle słyszała, że miłość to najpotężniejsza siła. Zaczęła modlić się do miłości. Prosiła ją o to, żeby jej rodzina była razem w jednym świecie, już nieważne, czy w świecie dziewczynki, czy rodziców. Wtedy zachorowała.

Mama leżała obok taty, tata leżał obok mamy, dziewczynka leżała z nimi. Cała trójka pocila się pod wielką pierzyną. Nagie, mokre ciała. Puste oczy. Wszyscy byli chorzy. Wielka choroba zapędziła ich do jednego łóżka. Teraz to był ich świat. Dziewczynkę bardzo bolała głowa i kości, płakała. Przytulała ją mama, a tata obejmował je, albo wychodził i, wrzeszcząc z bólu, schodził po coś do jedzenia i picia. W środku zimy byli razem w jednym świecie, a płacząca dziewczynka potykała lzy, bardzo cicho dziękując w modlitwie Wielkiej Miłości za spełnienie marzenia o rodzinie. Pewnego dnia tatuś nie wrócił już z kuchni. W całym domu było bardzo zimno, nawet pod kołderką. Mama śpiewała jej różne piosenki i opowiadała o tym, co będzie jak wyzdrowieją. Mają dużo pieniędzy, sprzedadzą jeszcze kilka obrazów i będą mieli jeszcze więcej. Wtedy zasadzą na wzgórzu winnicę, sprowadzą ludzi i będą sprzedawać pyszne wina. Dawno temu poprzedni właściciel też tak robił. Tata będzie nadzorować ludzi, mama sprzątać dom, a dziewczynka pójdzie do szkoły. „Będziemy normalną rodziną kochanie.” Dziewczynka pokręciła noskiem i powiedziała słabym głosem: „Fajnie...”. Kochana mama. Kochany tata. Sen zapukał. Dziewczyna otworzyła. Na dole ktoś też zapukał, ale nikt mu nie otworzył. Ktoś był wytrwały, zapukał jeszcze raz. Dziewczynka

otworzyła oczy. Ktoś otworzył drzwi. Dziewczynka wstała z łóżka i wyszła z pokoju. Ktoś wszedł do domu. Dziewczynka stanęła u szczytu schodów. Ktoś patrzył na nią z dołu. Naga dziewczynka upadła na podłogę, a ubrany przybysz wbiegł po schodach. To był zły człowiek, który uratował dziewczynkę.

Zły człowiek

Zły człowiek przybył do domu na wzgórzu w zimowy wieczór. Dwa dni wcześniej tatuś nie wrócił z kuchni, dzień później mama nie wstała z łóżka. Zły człowiek zaniósł mamę i tatę na strych i powiedział, że w zimie ziemia jest za twarda, żeby kopać, a do piwnicy ich nie wsadzi, bo zepsują jedzenie. To wszystko dziewczynka usłyszała dopiero tydzień później, kiedy mogła już wstawać z łóżka. Do tego czasu leżała sobie cicho, a zły człowiek przynosił jej jedzenie i mył ją wilgotną ścierką. Przez trzy tygodnie dziewczynka wracała do zdrowia pod opieką złego człowieka, który karmił ją, mył i delikatnie przynosił do innego łóżka, gdy musiał zmienić pościel. Lubiła go. On lubił ją. Jednak ten wędrowca był złym człowiekiem, bo uratował jej życie. Dziewczynka zastanawiała się, czy Wielka Miłość ukarze go za to, co zrobił. Ukarła. W pierwszych dniach wiosny spadł ze schodów i skręcił kark. Dziewczynka myślała też o tym, czy jest winna. W końcu chciała dołączyć do świata wolności stworzonego przez Wielką Miłość dla mamy, taty i jej. To zły człowiek w tym przeszkodził. Czy spotka ją kara, tak jak jego? A może sama ma się ukarać? Ale co to by była za kara. Nie. Dziewczynka musiała czekać na karę od Wielkiej Miłości. Tymczasem wyszła na zewnątrz i zabrała ze schowka łopatę. Musiała wykopać grób dla złego człowieka.

Praca zajęła jej dwa dni. Na kopcu ziemi położyła torbę podróżną złego człowieka i jego kapelusz. Przez kilka dni próbowała wejść na strych, jednak zawsze w połowie drogi czuła na udach ciepły strumyk moczu i zawracała. Przez dwanaście lat swojego życia nigdy nie bała się rodziców tak jak teraz, a przecież tak bardzo chciała ich zobaczyć. *To pewnie kara Wielkiej Miłości* – pomyślała sobie smutno.

Minęły trzy dni od pochowania złego człowieka, a do domu przybył kolejny gość. Była nim koleżanka z sąsiedztwa, którą dziewczynka widywała bardzo rzadko. Koleżanka była starsza od dziewczynki o trzy lata i zawsze chodziła z włosami związanymi w dwa kucyki. Dziewczynka opowiedziała jej o tym, jak zachorowała, o złym człowieku, o rodzicach na strychu, o wszystkim. Koleżanka pogładziła ją po głowie, ucałowała w policzek i powiedziała, że zamieszka z nią i razem będą sprzątały dom. A jesienią pójda do rodziców dziewczynki

i przeniosą ich gdzie indziej. Dziewczynka zgodziła się i radośnie krzyknęła. Koleżanka przytuliła ją jeszcze raz i powiedziała, że wszystko będzie dobrze, a ona też nie ma rodziców. Mama umarła już bardzo dawno, a tatusia zabiła siekierą. Dziewczynka zdziwiła się trochę, ale koleżanka wytłumaczyła jej, że ona też modliła się do Wielkiej Miłości, żeby tatuś przestał traktować ją jak mamę. Chociaż teraz naprawdę była już mamą. Miłość pokazała jej we śnie składzik z drewnem. Koleżanka poszła tam rano i wbiła tatusiowi siekierę w plecy. *Wielka miłość jest naprawdę dobra, spełnia wszystkie życzenia* – pomyślała dziewczynka.

Koleżanka okazała się bardzo silna, wiedziała też dużo o jedzeniu. Powiedziała, że jedzenie z puszek i sprowadzanie wszystkiego z miasteczka jest głupie i drogie. A ogródek przy domu jest zaniedbany, a w ogóle to rodzice dziewczynki nie byli dobrymi gospodarzami. Przez dwa dni obie myślały, jak zacząć gospodarować, gdy do domu przybył trzeci gość. Miał w rękach zakrwawioną siekierę i był bardzo zdenerwowany. Zabrał wrzeszczącą koleżankę na górę, potem wrócił, cały upačkany krwią i podszedł do dziewczynki. Powiedział, że jego córka powiedziała mu o sytuacji dziewczynki, a on chce jej pomóc. „Zabił pan moją koleżankę” – powiedziała smutno dziewczynka – „To chyba kolejna kara Wielkiej Miłości”. Mężczyzna powiedział, że na miłość przyjdzie jeszcze czas, gdy dziewczynka podrośnie, a teraz on zamieszka tutaj jako jej nowy tatuś. Dziewczynka pomodliła się szybciotko w główce do Wielkiej Miłości, prosząc ją, żeby ten pan natychmiast umarł. Ale on nadal stał i patrzył na nią groźnie. A więc Wielka Miłość go tu przysłała, inaczej spełniłaby przecież prośbę dziewczynki. Mężczyzna pogłaskał po twarzy nową córeczkę, brudząc ją krwią i kazał iść pobawić się gdzieś i wrócić wieczorem, a on w tym czasie posprząta. Dziewczynka odwróciła się i ruszyła w stronę strumyka. Było jej bardzo smutno i nagle pomyślała sobie o świecie rodziców. Może im też było kiedyś tak smutno, dlatego woleli ciągle być wolni w swojej wolności i nie chcieli wolności dziewczynki i jej świata domu na wzgórzu?

Wieczorem zmęczony i bardzo blady mężczyzna nakarmił dziewczynkę i pokazał jej trzy kopce. W pierwszym zakopana była jej koleżanka, w drugim leżała mama, a w trzecim tata. Powiedział jej, że codziennie powinna przynosić kamyki ze strumienia i sypać je na ziemię, żeby groby lepiej wyglądały. Potem poprosił, żeby dziewczynka umyła mu plecy. Miał tam krwawą ranę. Powiedział, że jeden cios siekiery to za mało, żeby go zabić, ale dziewczynka widziała, że był bardzo blady i trząsł się jak tatuś, kiedy poszedł do kuchni i nie wrócił. Powiedziała mu o tym, a on pogłaskał ją po głowie i powiedział, że skurwysyny tak kończą. Położył się w łóżku mamy i taty i poprosił dziewczynkę, żeby usiadła obok niego.

Potem zaczął mówić.

Opowiedział jej mnóstwo historii o życiu; jaką wartość mają pieniądze, jak ich używać, co powinna zasiać i jak to hodować. Mówił przez wiele godzin, ucząc ją, jak ma tu żyć, żeby nie umarła z głodu, powiedział, jak ma ukrywać przed ludźmi to, że jest sierotą oraz na co ma uważać. Dziewczynka słuchała go z zapartym tchem, kiwając ze zrozumieniem głową. A więc dlatego Wielka Miłość go nie zabiła! Ktoś musiał jej o tym wszystkim opowiedzieć, teraz wszystko rozumie. „Dziękuję panu” – powiedziała, a on przytulił ją i zaczął głośno płakać.

Rano mężczyzna leżał w łóżku i stygł. Dziewczynka siedziała w kącie z podkurczonymi kolankami i masowała brzusek. Gasnące życie bardzo go osłabiło wczorajszej nocy, ale miał jeszcze dosyć siły, żeby mocno ją trzymać i powoli pokazać jej to, czego doświadczyłyby, gdyby kiedyś przyłączyła się do mamy i taty w okazywaniu miłości. Wstała, ale natychmiast znów usiadła, za bardzo ją bolało. Nie mogła się ruszyć. Czuła jakby do środka ktoś włożył jej spory, oślizgły kamyk, który, mimo że gładki, ranił ją, gdy tylko próbuje się poruszyć. W południe wydawało się jej, że kamyk jest już tak duży, że wypełnia cały jej brzusek i zahacza o żebra. Siedziała na podłodze i czuła, że całe nóżki ma we krwi. Pocieszała się tym, że to na pewno przejdzie. Mężczyzna powiedział jej bardzo dużo o tym jak przeżyć, więc nie mogła umrzeć od tego, co jej zrobił. Pomyślała o rodzicach. Czy oni naprawdę też by tak to zrobili? Może tylko by ją głaskali, tak jak zaczął to robić mężczyzna zanim zadał jej ból? Bolało. Tak bardzo ją bolało. Pomyślała sobie, że to wszystko jest takie niesprawiedliwe. Dlaczego Wielka Miłość jej nie pomogła? Nagle dziewczynka spróbowała wstać. Miała tego dość, nie chciała ciągle prosić o coś Wielkiej Miłości. Pochowała już kiedyś jedną miłość, kamyk na pewno do tej pory leży w piwnicy. Miłość może umrzeć. Ale człowiek żyje dopóki ciągle się rusza. Dziewczynka wstała i wrzeszcząc dziko z bólu zaczęła iść. Jeśli się przewróci to umrze, wygra Wielka Miłość. „Odwołuję swoją modlitwę, Miłości!” – krzyknęła. Nie chciała już być z mamą i tatą, chce zostać tutaj, w domu na wzgórzu, swoim domu, swojej wolności, swoim świecie. Była tylko małą dziewczynką, ale chciała żyć, biegać, śmiać się, płakać, krzyczeć. Nie chce kochać, nie chce miłości, modlitwy do niej ciągle kogoś uśmiercały. Dziewczynka stanęła niemal na progu domu i spojrzała w dół. Na drewnianą podłogę wciąż kapąły kropelki krwi. Umrze. Zaczęła płakać. Nadstawiła rękę i poczekała, aż spadnie na nią kilka kropel. Dotknęła je językiem. Słodkie. Słodka śmierć, pomyślała radośnie i zaśpiewała co przyszło jej na myśl:

*Mała dziewczynka
Stoi sobie na progu
Kapie z niej krew
Słodka jak cukierek
W brzuszku miała za dużo
Wsadził to jej pan
I byli jednym ciałem
Przez trochę
A potem
On umarł
A ona
Umiera*

Dziewczynka spojrzała na pełną kwiatów łąkę i zaczęła biec przed siebie, czując, jak straszny ból w brzuszku nagle gdzieś znikł. I zdziwiła się, że leży na ziemi w pachnących kwiatach i nagle znów ją boli. Słonko świeciło jej w oczy, więc je zamknęła. I umarła.

Czarny dym

Chłopczyk skończył pisać i popatrzył na kota leżącego na piecu. Pomyślał sobie o swojej mamie, zgarbionej od pracy w polu, pomarszczonej jak niewygarbowana skóra po zdjęciu z krowy. Pomyślał też o tacie strugającym wielki kawał pnia na dyszel. Napisał jeszcze w kajecie „kocham was” i wrzucił go do pieca. Opowieść nie siedziała już w głowie chłopca, czekała wśród szczap drewna, aż ktoś podłoży pod nią ogień. Wtedy odda go szybko wszystkim kawałkom umarłych drzew wokół siebie i razem zamienią się w dym. Ich ciała spopielą się, grzejąc prawdziwą rodzinę w izbie. Ci ludzie przetrwają do wiosny, a ich potomkowie będą patrzeć na swoje dzieci z miłością. Dym uleciał nad chatę i spojrzał na śpiący wszędzie wokół śnieg. Uśmiechnął się swoim czarnym obliczem i znikł rozdmuchany przez wiatr.

Maj 2010

Strażnik schodów

Nastał nowy dzień. Małe perełki kropel iskrzyły się radośnie w słonecznym blasku, a wielka jasna gwiazda wyszła zza chmur, susząc mokre miasto. Rześkie powietrze wciskało się wszędzie, gdzie tylko mogło. Okno na poddaszu pchnięte małą rączką ochoczo wpuściło do środka tego miłego gościa, a przy tym grzecznie pozbyło się jego dusznego brata, wypychając go na zewnątrz. Pokój o białych jak śnieg ścianach wypełnił przyjemny chłodek, który wstrząsnął ramionkami dziewczynki. Wakacyjny poranek bardzo ją ucieszył, nocny deszcz zmienił wszystko na lepsze. Chciała teraz wybiec szybciotko za drzwi, zbiec po schodach i wypaść na ganek, a potem dalej, prosto do ogródka. Mogłaby pobiec tam szarą ścieżką z betonu albo obok niej, deptając trawnik przed domem. Spojrzała szybko na uchylone drzwi do swojego pokoiku.

– Chyba bezpiecznie... – mruknęła zadziornie pod nosem.

A mimo to podejrzewała, że właśnie dziś będzie kolejny „ten” dzień. Wiedziała, że nie musi się bać, była przecież chroniona przez najlepszego strażnika na świecie. Długo jej pomagał i chyba nauczył ją trochę tego wszystkiego. Spodziewała się. To wszystko. Tylko on mógł wiedzieć to na pewno. I wtedy ją ostrzeże.

Tatuś szedł powoli po wytartym dywanie, sunął w kapciach do swojego celu. Tak naprawdę w ogóle nie chciał się ruszać, ale cóż mógł począć? Co pewien czas, raz na tydzień, co kilka dni, co pewien czas... Tak musiało być. Podniósł stopę i postawił ją na pierwszym stopniu. Drewno skrzypnęło, mężczyzna spojrzął w górę. U szczytu schodów leżał kocur. Czarny z białą łapą na boku, zwykły cud swojego gatunku. Kolano uniosło się, by stopa opadła, drugi stopień. I jeszcze raz, smutny marsz dla smutnego celu. Jak zawsze. Wciąż i wciąż, aż to się skończy.

W połowie drogi na szczyt – jeden błysk, mgnienie oka, przelot myśli – zwierzątko wstaje, jakby uniesione za sierść na grzbiecie. Przeciąga się, mruga. Tatuś zatrzymuje się i wzdycha. „Dobry przyjaciel” – myśli sobie. A czarny kłębek, łapka za łapką, szybko acz zgrabnie znika za rogiem.

Różowy nosek w szczelinie, wygięcie ciała w ścisku, w pokoiku jest już towarzysz. Miauknie. Miauknął. Wskakuje na łóżko i zamyka oczy, nic już nie widzi. Myje w spokoju łapki, to już go nie dotyczy. Dziewczyna siada grzecznie na stołku. Do środka wchodzi tatuś.

– Chodź skarbie... – łagodnie nakazuje.

Taty się słucha, dobrze być grzeczną. Schodzą razem po schodach, powoli, nie trzeba się spieszyć. Dziś nie będzie biegów, nie przed południem. W ogóle, albo tylko troszkę. Kto to wie? Najpierw trzeba być posłuszną, potem zabawa czeka. I poczeka, nigdy nie ma się ochoty na zabawę potem. Dziś może grać słońko, a z ogródka będzie trzeba zrezygnować. Można tam przyjść smutnym i tylko zasmucić ogródek, lepiej poczekać. Koniec schodów. Ogródek jeszcze nigdy nie widział jej smutnej, trzeba o niego dbać. Tatuś prowadzi ją korytarzem do ostatnich drzwi. Stają. Chwilka, jak zawsze. Tutaj postoją nie patrząc na siebie i wejda. Moment, tatuś naciska klamkę. Otwarte, ona wejdzie pierwsza.

Mama leży na łóżku z rurkami w rękach i gardle, śpi. Śpiewa jej maszyna, cichutko, ale to chyba źle. Powinna budzić mamę. Tatuś głaszcze policzek mamusi, a ona ciągle śpi. Już trzy wiosny, lata, jesienie i zimy.

– Mów, ona cię słyszy.

Tak tatuś każe. Tak trzeba.

– Cześć, mammo.

Łezki szczypią, cichutko wysuwają się z oczu i płyną po policzkach. Mama śpi, trzeba do niej mówić. Tatuś delikatnie głaszcze córkę po głowie, całuje w uszko i szepcze: „Cichutko.”. Teraz tu posiedzą. Minie godzinka, może dwie. Będą opowieści, wszystko na zmianę. Trochę mówienia o domu, potem o niej. Tata powie jak się jej wiedzie, spyta „Prawda?”, a ona potwierdzi i opowie to samo, co tatuś przed chwilką. A mama będzie słuchała tego wszystkiego w swoim długim śnie. Tak trzeba robić. Raz dziewczynka nie chciała iść, wtedy tatuś powiedział, że mama umrze. Potem płakał i przeprosił. Już nie musiała tu przychodzić, nie chciała. Tego nie powiedziała tacie. Zawsze, gdy po nią przychodził, była gotowa. Kilka krótkich chwilek strasznie się bała, ale gdy wchodził do jej pokoiku, już wszystko było dobrze.

Najlepszy strażnik na świecie wiedział, kiedy nadchodził ten dzień i czekał. A potem ślicznie wskakiwał przez szparę uchylonych drzwi. Dawał jej kilka tych chwilek na strach i jedną chwilkę na spokój. A potem wchodził tatuś i schodzili. Kiedy skończą dziś mówienie, to bardzo ważne budzenie śpiącej mamusi, żeby nie umarła, tatuś pójdzie do salonu popłakać, a ona cicho usiądzie na swoim łóżeczku i pogłaska śpiące stworzonko. A ono będzie bardzo szczęśliwe w tej szczęśliwej rodzinie, gdzie jest i ona, i mama, i tata, są wszyscy. A potem zniknie, by harcować przy domu. Wróci na noc do koszyka, a potem znów będzie czekać na

kolejny taki dzień, żeby położyć się na swoim posterunku. Dobrze jest mieć najlepszego strażnika na świecie!

Sierpień 2010

Śnieżynka

Mroźny wiatr hulał po opustoszałym osiedlu, pełnym trupów wysokich, szarych domów. W ich trzewiach nie mieszkały już rodziny, a ostygłe przed laty, żeliwne kaloryfery pokrywał śnieg. Tam, gdzie jeszcze ostały się jakieś szyby, szron zawzięcie szkicował swoje wzory. Malownicze było to umarłe siedlisko bloków w śnieżną, burzową noc środka zimy. Na złość tej ciemności jedno z okien błyszczało radośnie migotliwym światłem. Na czwartym piętrze, w mieszkaniu wyłożonym dywanami, pełnym mebli wydartych z kontenerów, mieszkał pewien człowiek. Choć miał długą, nieco siwą brodę i słaby wzrok, nie był po prostu stary, lecz nadmiernie starty przez koleje losu. Grzejąc się w ciepłe ustawionego tuż przy balkonowych drzwiach koksownika, bezczelnie skradzionego niegdyś wprost z ulicy, wiele myślał o otaczającym go, dziwnym świecie. To właśnie jego twierdza rzucała błyszczące wyzwanie nocy. Była latarnią, gwiazdą sprzed dwóch tysięcy lat, cennym drogowskazem, który to przyciągnął gasnące życie na próg bloku, gdzie ta mała iskierka zgasła, będąc tak blisko celu. I przykrył ją śnieg.

Rankiem mężczyzna wyszedł na zewnątrz, gdzie zatroskany spojrzał na ciało leżące przed klatką schodową. Ominął je trwożnie, idąc do sklepu, aby tam kolejną część swojego zasiłku przemienić w ryż, chleb oraz smalec. Wracając, zastał swojego gościa w tej samej pozycji, toteż najpierw zaniósł swoje zapasy na górę, a potem pośpiesznie wrócił na dół. Ostrożnie podniósł przeraźliwe zimną, mięsną formę dawnego życia. Martwa nieznajoma nie wyglądała na więcej niż dwadzieścia lat, zaś ubrana była w wysokie buty i dość długą spódniczkę, pod którą przezornie włożyła czarne, grube rajstopy, choć te mimo wszystko nie odgoniły śmierci. Pod puchatą kurtką skrywała kwiecistą bluzkę z szerokim dekoltem znacznie odsłaniającym kształtne, zsiniałe z zimna piersi. Jasne włosy przymarzły do twarzy zastygłej w sennym grymasie. Dziwny był to gość, lecz mężczyzna chętnie udzielił mu gościny. Rozpalił nawet blaszany piecyk z dumnie wycelowaną w niebo rurą, na który położył garnuszek ze świeżym śniegiem. Szybko natopił wody, nie szczędząc przy tym węgla. Na szczęście miał go dużo, całą jesień spędził wraz z podobnymi mu ludźmi w podziemnych korytarzach, gdzie wykopał sobie dość zapasów na najbliższe miesiące, na szali tego niepewnego interesu stawiając życie. Ciepło pomogło i ciało znów odzyskało sprężystość. Mężczyzna zdjął nieznajomej kurtkę, a dziewczynę ułożył na małym arabskim dywaniku, kupionym zeszłego lata u Turka stojącego przy rogu piekarni. Z szufladki wyjął grzebień, aby delikatnie rozczesać niesforne włosy swojej Śnieżynki. Wodą zmył część jej krzykliwego

makijażu, a cienką igłą z żyłką zszył usta tak zręcznie, że nie było widać znaku tej ingerencji. Kiedyś żył z szycia, chociaż wtedy wcale nie zaznawał przez to radości. Delikatnie ujął rogi dywaniku, po czym przeciągnął ciało do drugiego pokoju, w którym nie było nic prócz starej, wąskiej, wysokiej szafy. Położył mebel na ziemi, a na nim dywanik z dziewczyną. Niezbyt zgrabny był to katafalk, toteż wrócił do ogrzanego pokoju po firanki w tulipany, które planował powiesić wiosną. Zastąpił nimi dywan, przez co całość wyglądała naprawdę dostojnie, a przy tym radośnie, swojsko. Ustawił ten uroczy postument pod ścianą, nieopodal drzwi. Otworzył też na oścież okna, blokując je kawałkami wystruganych patyków, aby nie trzaskały. Zadowolony odszedł do własnych spraw, cierpliwie czekając do wieczora.

Gdy czarna, choć migocząca radośnie gwiazdami noc na dobre objęła swoją posadę, człowiek przyszedł do swojego gościa. Usiadł na krześle w progu, ustawiając blisko siebie blaszany piecyk, w którym zakrzesał ogień. Następnie wszedł do całkiem wyiębionego pokoju, aby zobaczyć jak się wiedzie jego przyjaciółce. Na szczęście u dziewczyny wszystko było w jak najlepszym porządku. Dłonie, grzecznie złożone na łonie wyglądały bardzo poetycko, a osadzony na rzęsach szron dodawał nieruchomej buzi mnóstwo uroku. Chłód też zrobił swoje i ciało zastygło niczym posążek ubrany dla zabawy w ludzki strój. Mężczyzna klepnął się w czoło, wytykając sobie nieuwagę. Szybko, choć ostrożnie, ściągnął nieznajomej buty, przyjacielsko łaskocząc twarde jak kamienie stopy. Przez chwilę układał lepiej sztywne od mrozu i śmierci ciało, aby jednocześnie trwało w pozie dostojnej, a przy tym niezbyt nużącej. Wreszcie, zadowolony z efektów swoich starań, usiadł ponownie na krześle. Wtedy zaczął czytać małą książeczkę o człowieku, który trzydzieści pięć lat prasował książki. Opowieść świetnie brzmiała tego wieczoru, a płynnie czytający mężczyzna z zadowoleniem dostrzegał u swojej martwej ślicznotki potulną stałość w odbiorze tego pięknego dzieła. Nie nużyło jej w żadnej mierze, a zręcznie zaszyte usta, jeśli popatrzyło się na nie pod pewnym kątem, wyglądały na uśmiechnięte. Przy czytaniu czas płynął nadzwyczaj szybko, aż wreszcie znużenie zmusiło gospodarza do zamknięcia drzwi pokoju gościa. Nastąpiła pora spoczynku, zarówno dla pożądanego ciepła żywych, jak i otulonych chłodem zmarłych.

Świt nie przyniósł złowrogich zmian, a spokojną noc zwieńczył piękny sen o nieznajomej, wraz z katafalkiem, opadającej wolno na dno skutego lodem jeziora, na którego dziwnie przezroczystej powierzchni stał jej nagi gospodarz. Człowiek, pokrzepiony ślicznym, nocnym widzeniem oraz smacznym śniadaniem, postanowił ponownie wyjść do sklepu. Tym razem nie zawitał po jedzenie, lecz sprawił sobie farby oraz pędzle. W drodze

powrotnej wstąpił też do wielkiego marketu, gdzie na pachnącym stoisku wybrał okazałe jabłko, płacąc za nie naprawdę sporo nieprzychylniej mu kobiecie, która mimo nienaganego uśmiechu była znacznie brzydsza niż jego Śnieżynka. Zaraz po powrocie zabrał się do malowania na ścianie swojego gościnnego pokoju pięknego, rosnącego drzewa. Tę pocieszającą pracę skończył dokładnie w chwili, gdy przez szeroko rozwarte okna do wnętrza pomieszczenia wpadały ostatnie już tego dnia promienie czerwonego słońca. Malunek wyszedł wprost wspaniale! Cudownie bujne, zielone drzewo wyglądało jak żywe. Dziwny natomiast był jego gatunek, jakby dąb o cechach jabłoni. Zadowolony ze swej pracy pozbierał farby i pędzle, ustawiając to wszystko w kącie. Odczekał jeszcze trochę, nim szara resztką dnia szerniała w noc, po czym przyniósł swój wierny koksownik, stawiając go nieopodal katafalku. Rozpalił w nim naprawdę mocno, tak iż mimo otwartych okien czuł dokuczliwe gorąco. Ignorując tę niedogodność skończył czytać, przerwana ostatniego wieczoru, książkę. Następnie wsadził piękną opowieść w płomień, a sam wyszedł na chwilę, aby wrócić z jabłkiem, nożem oraz nogą od stołu. Wgryzł się w pyszny owoc i odstawił go na krzesło, z którego podniósł nóż. Ostrożnie manewrował narzędziem przy martwym ciele, któremu ciepło znów nadało sprężystość. Rozciął ubranie nieznajomej wydobyl ją z niego, niczym z kolorowego kokonu, następnie układając na boku u podnóża drzewa, zaś nieopodal głowy kładąc nadgryziony owoc. Sam również zdjął ubranie, a nogą od stołu przewrócił koksownik na bok. Jego rozżarzone wnętrzości skwierczały rozrzucone po betonowym podłożu, gasnąc powoli. Człowiek ułożył się obok nieznajomej i przyciągnął ją ku sobie, kładąc na swej piersi. Objął w tali, zanucił kołysankę, a na koniec zmrużył powieki, czekając na sen. A ten nawiedził go szybko, niesiony wraz z siarczystym mrozem gwieździstej nocy. I zanim żarzące się radośnie kawałki koksu zgasły doszczętnie ten dobry gospodarz umarł, oddając ostatnie ciepło swojego życia pięknej, nieznajomej Śnieżynce.

Marzec 2011

Fuga a paradiso

Koniec. Definitywny i nieodwracalny. Wprawdzie można było nazwać to inaczej, na przykład rezygnacja, porzucenie, danie za wygraną, porażka. A może sukces, spełniona wizja upadku? Dla HK, było to już bez znaczenia. On tak po prostu zakończył, chociaż nie przerwał, swoje życie. Czynników było wiele, poprzez rozczarowanie, negację, stłumione aspiracje, aż po zmęczenie, gniew, a nawet nienawiść. Mimo to żaden z nich nie przeważał, po prostu istniały. To mu wystarczyło. W nieustannej walce z materią zwycięstwo umysłu było w gruncie rzeczy nieuniknione. Tak też się stało. A jego ostateczny triumf doprowadził do gruntownego przewartościowania wartości. I wyszło na to, że prócz tego Wielkiego Zwycięstwa nic więcej nie potrzeba. Cóż było robić? HK spakował przygotowane przed paroma dniami pieniądze, siedem tysięcy w banknotach po sto i dwieście złotych, do plecaka w czerwone plamki i wyszedł. Nie zamknął za sobą mieszkania, nie zabrał komórki ani noża. Zostawił też całą bieliznę, prócz tej pod swym ubraniem. A ubrał się ciepło, stosownie do warunków panujących na zewnątrz, pokazując tym samym, iż był człowiekiem roztropnym.

Zimna, pochmurna, ostatnia grudniowa noc tego roku. Taki był plener, po którym przemykał ukradkiem HK ze swoimi pieniędzmi. Jego miasto było duże, świetliste, skute mrozem. Wędrował po nim z prawdziwą przyjemnością. A cel jego wędrowki wciąż się przybliżał, choć stał w miejscu. To przecież młodzieniec szedł ku niemu. I przybył. Gdy dotarł na stację kolejową, zastał tam już kilku innych podróżnych, tak jak on oczekujących na przyjazd pociągu o dwudziestej trzeciej siedemnaście. Więc i on czekał cierpliwie. Wśród nocnej ciszy zaczął myśleć. Zrodził się w nim niepokój. Zostawiał przecież wszystko; rodzinę, znajomych, bliższych i dalszych, a nawet swój sprzęt, krzemowe maszyny: wypełniacze czasu jak i bóstwa-idole, które kochał. Był tak bardzo przywiązany do ludzi i sprzętów. Kochał, kochał, kochał. A mimo to zostawiał też miłość. Chciał tego i dokonał. Był zmieszany, przybity, rozdrażniony, podekscytowany. I było mu żal. Opuścił budynek i na peronie, przez siedem minut, czekał na pociąg, który przyjechał punktualnie. Klasnął w dłonie i mówiąc radośnie na głos:

– Idę! – wszedł.

HK był twarzą ze słupów, żywym wkładem w statystykę zaginięć, odpowiedzią na pytanie o los jednego z tych tysięcy zaginionych bez wieści. Zniknął z życia swojego świata zaszywając się w S., stając się lokatorem Domu Babci Wojtka, parterowego betonowego straszdyła nieopodal przecinającej to prowincjonalne miasteczko rzeki. Nadając sobie

wszystkie te nigdy niewypowiedziane rangi, definiował się na nowo, od rana do wieczora. Pchając niemal pusty wózek w rozległym supermarkecie o białej, kafelkowej podłodze myślał o wszystkich tych tytułach. On, HK, tolerowany lokator DC w odziedziczonym przez tego poeciara domku jego Babci, żył poza nawiasem rzeczywistości, z dala od własnego mikrokosmosu, odcięty własnymi rękoma od pępownicy łączącej go z przeszłością. Dumnie i szumnie pchał wózek z chlebem, dwoma pasztetami i cytrynową wodą mineralną w samym centrum codzienności. Kiedy kilka miesięcy po swej indywidualnej, Wielkiej Ucieczce spadł na środek rozległej areny bezkierunkowej. W tym martwym punkcie zwrotnym mógł jedynie myśleć o wieczornym gościu, który zawita dziś do jego bohemistycznego siedliska. Stając u kasy, z myślami wyrwanymi z abstrakcji, zapłacił za towary i wyszedł. Wielki uciekinier, mieszkaniec Domu Babci Wojtka, gość DC płacący częściowo za czynsz ze swoich topniejącej oszczędności, HK ruszył w stronę rzeki. Pustymi chodnikami z sympatycznych, szarych, betonowych kostek szedł z myślami w absolutnie doskonałym świecie jego boskiej manifestacji, marząc o tym, co spełnić się musi. Był skazany na sukces, choćby pławiał się w najczystszych krynicach porażki. Wierny własnej potędze marzył o alternatywach porzucanych w jego umyśle, których wspólny wątek – niebotyczny cel oczywistej sprawiedliwości dziejowej – pozwoli mu zaistnieć w literaturze. Wchodząc do swojej siedziby tęsknie spojrzął za siebie, ku pełnej ścieków, płynącej masie wody. Zamknął drzwi z uczuciem miłości do tego miejsca, ostatniego bastionu jego walki o spełnienie tego, co stać się musiało. Dziś jednak najważniejszy był nieprzybyły jeszcze gość, atrakcja wieczoru. Sny o potędze odpłynęły, a chleb był niekrojony. Był to cholernie wielki krok przewyciężający, oto aklimatyzowany w metropolii HK uniknął jej zwyczajów. Dotknął skórki bez folii, kolejnego śladu na drodze ku ostateczności, cał bliżej triumfu. Pisarz bez książki, cud codzienności, odniósł dziś kolejny sukces nagrodzony niesłyszalnymi brawami audytorium jego jaźni: sam pokroił sklepowy chleb.

Późne popołudnie wypełnione dźwiękiem fagotu roznoszącym się po okolicy. Było tylko to, nic więcej. Wojtek grał na werandzie domu zmarłej tragicznie matki jego matki. Staruszka przed laty zapisała go swojemu wnukowi, po czym zmarła, gdy ten miał lat dwadzieścia jeden. Łakomy kąsek, poeciara nie przepuścił okazji. Wszystko to, co się tu działo było wynikiem jego własnej drogi, porzucił dom, przeprowadzając się do miasta, parę kilometrów od ludzi, z którymi do tej pory mieszkał; siostry jego brata, żony jego ojca, męża jego matki. Trzy lata mieszkał tutaj spokojnie otulony nienawiścią sąsiadów, dzień za dniem

idąc na środek miasta, na tę górkę i różowy rynek, sprzedając w sklepie „muzycznym” pana Henryka płyty, dilda i piórka, zarabiał na chleb. W dwudzieste piąte urodziny na progu stanął wędrowiec, który wyjął z kieszeni plik banknotów i obwieścił, że od dziś tu mieszka. Dawny znajomy, zapomniana osoba. HK. Przyjęty pod dach zadomowił się w cztery dni, jadł byle co, kupował tyle co nic, żerował na kuchni DC. Zabronił gry na fagocie i bardzo krzyczał, gdy na początku jego wola nie była respektowana. Potem Wojtek sprzedał fagot, kupił gitarę. Grał w piwnicy, z dobrą akustyką, ale zawsze musiał być bardzo chicho, HK często wpadał w złość. Po siedmiu miesiącach mieszkania z tym dziwnym człowiekiem (w międzyczasie sprzedał gitarę i znów kupił fagot) zrozumiał, że musi go wspierać, ten wędrowiec ma bowiem odnieść sukces. Inaczej nigdy się stąd nie wyniesie. Wojtek zobaczył jak po chodniku wraca jego gość, lokator i samozwańczy gospodarz szydzący ze śmierci biednej Babci. Dziś był czwartek, dzień wizyt dziwaczego pobratymca HK. Menażeria i skacząca małpa, wszystko ku temu idzie. Niewidzialny orangutan zaśmiał się głośno i uciekł podle, a DC zamrugał i odszedł od okna. Tak, dzisiaj był ten wieczór. Rozmowy o sukcesie HK, bez prawa głosu Wojtka, tego poeciara mówiącego tylko to, co przeczytał. To było w kuchni pięć miesięcy temu, gdy przeszkodził HK w niezdarnym krojeniu chleba cytatem z Wojaczka. HK odpowiedział wtedy: „Może nie jestem, aż tak odczytany, ale mogę cię zabić nożem!”. Teraz Wojtek już nie wtrącał się, słuchał tylko co czwartek, jak w jego domu wieczorem spontanicznie powstawała przez nikogo nie spisywana literatura, żywa i barwna, pełna ignorancji i wyzwisk. Rozmowy z Markizem, kimkolwiek był ten antypatyczny menel, atrakcja wieczoru, jeden z punktów nieskończenie podobnych tygodni kalendarza przybysza z plikiem banknotów.

Gość był o czasie, ubrany w wytarte szorty, brudny podkoszulek, z narzuconym na ramiona błękitnym płaszczem instruktora BHP. Zasiadł na taborecie w kuchni, zażyczył sobie trzech kanapek i rzekł:

– Oto napisałem coś – mówiąc to, wyjął z wewnętrznej kieszeni swojego okrycia plik zlepionych czymś kartek.

Chwycił pierwszą z nich i bez zaczął, nieskładnie, choć z wielkim oddaniem, czytać:

Suka collie o jasnej sierści snuła się wśród marmurowych nagrobków starego cmentarza na obrzeżach miasta. Przysiadła przy jednym z grobów i szcęknięciem obwieściła swoją obecność w świecie gnijących pod ziemią trucheł dominującego gatunku planety.

Nieświadoma, iż tu właśnie rozpoczyna się nowy etap jej życia, spoczęła na szerokiej, betonowej wylewce okalającej prostokątny grobowiec. Zmrużyła łagodne oczy i chłonąc chciwie kojące ciepło słonecznego poranka, zasnęła.

Dzień chylił się ku upadkowi, gdy Mężczyzna wędrował po asfaltowych ścieżkach miasta martwych, porządkując wszystko to, co wymagało uporządkowania. W tej samotnej pracy, w której zastępował złożonego chorobą człowieka, liczył pozostałe do jej ukończenia dni. Zostało ich raptem kilkanaście, później wypełnione beczynnością dni powitają swojego stałego bywalca, rzucając o dekadę bardziej doświadczonego w ziemskim biegu od Chrystusa człowieka po urzędniczych gmachach. I znów wystartuje wieczna pogoń za zarobkiem, okraszona złym słowem Żony i mętym wzrokiem Syna. Szczeknięcie ucięło rozważania o kalkującej przeszłość przyszłości. Mężczyzna przystanął, urzeczony sielskim widokiem prostującej ciało suczki. Wyglądała na dojrzałą, choć w jej oczach migwały jeszcze płomyki młodzieńczego żaru. Nieznajoma śmiało podeszła bliżej, merdając bujną kitą ogona.

– Chodź, przy starej kaplicy mam trochę kanapek.

– Hau! – odparła radośnie.

Ruszyli zatem, dziwnie bliscy sobie już w chwili poznania, ku wiekowemu, ceglanemu budynkowi o kratowanych oknach z kolorowego, ciemnego szkła. Od wielu lat był on jedynie schowkiem, który wielka jak dłoń kłódka odgradzała od świata. Suty posiłek wyraźnie ożywił sympatyczną nieznajomą, która zwinięta w kącie zaglądała w oczy swojemu gospodarzowi. Choć piękne było to łagodne spojrzenie, to jego niezwykła siła zupełnie przytłaczała obiekt, na którym te szmaragdzyki skupiły swoją uwagę. Mężczyzna czuł, jak opada jego maska, a myśli kłębią się raźnie, niczym nieodgrozione od świata. Stał zatem niewzruszony, gotów tkwić tak dopóty nie usłyszy werdyktu. Ten zaś był pomyślny. Suka wstała z ziemi i pyskiem trącając bok swego gospodarza, szczerze przyznała, iż wiele jest warty. Nieśmiało usiadł przy niej, wdzięcznie gładząc spiczasty pyszczek.

– Zostań tu na noc, przyjdę rano z jakimiś smakołykami. Na dziś koniec pracy, muszę wrócić do siebie. Sympatyczna jesteś ślicznotko, ale moja żona, chociaż zła i bezbarwna, czeka – zażartował, machając obrączką.

Ruszył ku wyjściu, lecz delikatne objęcie kłów na nogawce wstrzymało go w pół kroku. Przykucnął na palcach, wierzchem dłoni muskając policzek zmartwionej suki. Ta, niewiele myśląc, postąpiła parę kroków do przodu, strącając Człowieka na posadzkę. Szorstki język legł na jego twarzy, tłumiąc w zarodku słowa „Jutro wróć!”, wnikając w rozwarte

usta. Speszona swoim gwałtownym natarciem collie już miała cofnąć się, lecz dłoń spiesznie pieszcząca jej bok zmroziła ten zamiar. Para, jak tlenu, spragniona czułości stworzeń poczuła, jak rozpalone zmysły rzucają ich na ścieżkę występku. Porzucając już wszelką rozwagę ochoczo odpowiedzieli na zew swoich ciał, czyniąc tym zadość toczącej ich żądy.

Noc pełzła ku końcowi, a Mężczyzna znów przekręcił się niespokojnie na drugi bok, tłumiąc w piersi głośne westchnienie. Wspomnienie ciepłego, wygiętego w miłosnej ekstazie grzbietu, pieszczącego jego podbrzusze miękkim, gęstym futrem uniosło kąciki spierzchłych ust, odsłaniając w triumfalnym uśmiechu drobne zęby. To był doprawdy szalony wyczyn. A potem te długie, cudownie spokojne minuty, gdy wraz z nią odpoczywał po dokonanej akcji zdrady. Wtuleni w siebie, grzani własnym żarem, dwie zagubione iskry złączone wspólnym płomieniem. Nie wiedział kim była, czuł zaś, że nie miał prawa nadać jej imienia. To by ją uprzedmiotowiło, zepchnęło do zwykłej przygody na boku, zresztą pierwszej w jego małżeńskim pożyciu. A może i ostatniej. Nagły strach ściał go w tej chwili, niczym lodowaty strumyk ciekący wprost na rozgrzane ciało, udręczony zgrozą umysł zrodził okrutne pytanie: „Czy ona będzie czekać?”. Co, jeśli ich spotkanie weźmie tylko za pikantną przygodę w swym wolnym życiu, odchodząc w nieznane, gdzie indziej szukając swojego miejsca na ziemi? Och, gdyby tylko została, dałby jej wszystko, czego by potrzebowała! Musiałby nauczyć się odgadywać ukryte za parawanem niezrozumiałego, psiego języka pragnienia. Tak wiele chciałby podarować temu płomykowi! Chętnie przyprowadziłby ją nawet tutaj, do domu. Prychnął cicho z pogardą. *Głupiec* – rzekł o sobie. Nie, ta atmosfera tylko zgasiłaby żar tej ślicznotki. Musi stworzyć dla niej nowy dom, choćby wśród cmentarnych płyt. O ile ją tam zastanie. Ostrożnie podniósł tors, zerkając ku tarczy stojącego nieopodal zegara. Dochodziła szósta, wciąż było zbyt wcześnie, aby wyjść. *Czekaj na mnie, nawet jeśli miałabyś odejść, kiedy tylko znów mnie zobaczysz, czekaj* – rzekł w myśli, trwożny, że i tu dosłysz go Żona. Nie mógłby teraz zasnąć, a jedyne, co mu pozostało to męki czekania, wypełnione wspomnieniem minionej, grzesznej rozkoszy.

Jasny poranek powitał maszerującego spiesznie Mężczyznę, który utkwiał oczy w jednym punkcie przestrzeni przed sobą. Tak uczepiony, lgnął wytrwale do cmentarnej bramy, aż jej cichy zgrzyt obwieścił wkroczenie żywego do strefy śmierci. Serce trzepotało w piersi, a słuch łowił dźwięki, czekając na ten, który wyznaczy kres nocnych mąk. Głośne, różne jak ptasi śpiew szczeknięcie, jedno, drugie, tupot łap, zgrzyt pazurków o beton. Mężczyzna stał, czując jak ulga wyrywa mu z barków wrosnięte tam, żelazne, cierniste

jarzmo strachu. Była tu. Nadbiegła radośnie, żwawo. Kto wie, może tej nocy również trapiły ją te same wątpliwości? Teraz, doczekawszy przybycia swojego kochanka, radośnie skoczyła ku niemu, kładąc łapy na jego piersi, znów czując, jak silne ramiona obejmują ją w pół, gładko podrywają do góry, a spragnione ciepła usta składają na kudłatej szyi pocałunek. Szli spiesznie oboje, noga w nogę, ku kaplicy, aby chłód początku dnia odegnąć ciepłem swoich ciał. Czas nie był im przyjazny, choć opustoszała łąka krzyży nie powitała jeszcze żywych gości z kwiatami dla zwłok, należało się spieszyć. Mężczyzna szybko cisnął w kąt roboczą teczkę i zrzucił swoje odzienie, na którym legła usłudźnie jego iskierka, lubieżnie gnąc pysk do ziemia, a kształtne pośladki wznosząc ku czekającemu na tę rozkosz kochankowi. Ten zaś, choć mocny i szybki, hamował swój zapał, delikatnie wchodząc w spragnione intruza wrota futrzanej świątyni. Ciężki oddech dwóch piersi zlał się w jeden, westchnienie człowieka, cichy pisk suki, razem te dźwięki uplotły cudny kobierzec miłości. Zmorzeni spełnieniem wyczekiwanej rozkoszy leżeli przy sobie przez chwilę, po czym szmaciana chusta zebrała pot z rozgrzanej twarzy człowieka. Otrzeptał ubranie, nakładając na siebie tę sztuczną skórę pełną zapachu pięknookiej, która użyczyła mu swych względów. Wyszli oboje z kaplicy, łapiąc w płuca ostatnie, chłodne tchnienia poranka. Dla mężczyzny rozpoczął się kolejny dzień pracy. Nakarmił nieznajomą kupionym o świcie mięsem, które przyjęła z prawdziwą wdzięcznością. Przycupnięta w cieniu drzewa ziewnęła szeroko, szczerząc ku niebu kły.

Wędrujący lunatycznie pośród nagrobków Mężczyzna czuł, jak dojrzewa w nim złość. Świadomość nieuchronnej klęski przygniatała go, odbierając dech w płucach. Wszystko co mu pozostało, to cieszyć się ciepłem nieznajomej, czekając na zerwanie owocu i wywleczenie z raju na bruk, w tłum wrzeszczących ludzi plujących pogardą, nienawistnie szkalujących jego i ją. Czekał na stan zawieszenia rzeczywistości całe swoje dorosłe życie. Teraz, jeśli tylko poszłaby za nim, mógłby odejść. Gdziekolwiek. Odebrać swój wysłużony samochód Żonie, spakować rzeczy, odejść. To byłoby sprawiedliwe, przed laty ulegając oszałamiającej żądzy skosztował jej ud. Porzucił wówczas tę, dla której miał zakuć palec w złoto. Wiążąc się jedynie z worem noszącym zrodzone z niego życie, przegrał je. Syn, nie niewarty podrzutek. Nie był jego, ten sekret wypłynął przed rokiem, tuż przed falą wymiocin zatrutego alkoholem organizmu Żony. Tak oto buszując w rzeczywistości, obłąkańczo szukając wyróżnika, odmiany, spełnił schemat.

– Hej! – krzyknął pewien, że czule, psie uszy wyłapią pełen rozpaczy zew.

Przybiegła. Dzika piękność, gotowa oddać mu się choćby tu. Już wiedział, wszystko

było jasne, klarowne, chociaż ten jeden raz. Ona pojedzie, choćby na kraniec świata, pojedzie. Odeszła bez słowa, by przykucnąć przy jednym z grobowców. Czuła, że teraz bardziej od jej piękna i ciepła, Mężczyźni potrzeba chłodu kalkulacji. Myślał. Kluczem do zdobnych bram wyzwolenia była obca krew, Syn. Starym zwyczajem, wyniesionym jeszcze z rodzinnego domu, fałszywy ojciec przeszukiwał pod nieobecność bękarta jego rozległy pokój. Magazyn obcych ludzi, dla których przytłoczony strachem, z oczyma zalepionymi cheiwością chłopak przetrzymywał koperty pełne banknotów. Mały prywatny bank wielkich osiedlowych szych. Niedawno wszystkie te listy zniknęły, zastąpione paczuszką. Samochód, opłacona synem kradzież, ona u boku. Mężczyzna uśmiechnął się do siebie radośnie. Uciekając od schematu trafił wprost w objęcia kolejnego, dziwne było to tango z rzeczywistością, lecz roztańczone nogi nie chciały już ustać w miejscu.

– No chodź – rzucił w kierunku swej kochanki, która posłusznie podążyła za nim, wesoło merdając ogonem.

Ruszyli oboje pewnym krokiem w stronę przyszłości, znajdującej się za cmentarną bramą. Szli raźnie przez kolejne chodniki pełne nieświadomych ludzi. Wkraczając na rozległy, obsiadły przez blokowiska teren Mężczyzna czuł, jak gdzieś za nim nikt nie świat. Wspiął się po schodach, przy akompaniamencie stukotu łąp o betonowe stopnie. Został puste mieszkanie, zrabował życie syna i pomknął na dół, na parking. Otworzył wysłużone drzwi dla swojej pani, samemu siadając za sterami samochodu.

Wtem pojazd pomknął ku górze, z impetem odbił się od ściany i kostka mydła upadła na podłogę, aby natychmiast wskoczyć w ręce sanitariusza. Jego towarzysz prowadził już podnieconego do granic możliwości mężczyznę ze stolcem przyklepionym do spodni ku łaźni. Tego dnia nie mógł on dalej opowiadać własnym jaźniom miłosnych historii, musiał łyknąć swoje tabletki i wypocząć troszkę. W nocy strasznie krzychał, poprzedniej też, a przecież na oddziale czasem musi być spokój. Igraszka, a wszystko w moich rękach, dopóki żywy puls przelewa się z żył na papier. Koniec!

HK z uznaniem złożył dłonie, splatając ze sobą palce i pokaszując co chwila jak opętany. Wojtek spojrział na płaczącego Markiza, który uważał przy tym, aby nie rozmazać łzami swojego dzieła. Potem DC klasnął w dłonie, krzyząc: „Oj warto, warto, warto, po trzykroć warto było urodzić się na takim pięknym świecie!”. I cały Dom Babci Wojtka wypełnił perlisty, radosny śmiech trzech chłopców.

Kwiecień 2011

Echa apokalipsy

(lata 2010 – 2012)

Zmagania z tematyką postapokaliptyczną.

Ostatnia zima

Niski, przygarbiony starzec powoli wypuszczał powietrze z ust, przyglądając się jego zmaganiom z późnojesiennym chłodem. Kłęb pary przez chwilę unosił się w mroźnym powietrzu, po czym znikł zupełnie, ustępując miejsca swojemu następcy. Mężczyzna zaniósł się głośnym, chrapliwym kaszlem, zakończonym niezdarnym wypluciem kleistej flegmy. Wciąż pokastlując, wstał z ziemi i podniósł leżący nieopodal szerniały wór. Zarzucił ciężki ładunek na plecy, po czym ruszył przed siebie, zerkając w stronę zachodzącego słońca. Dziś czeka go jeszcze godzina marszu, może dwie, jeśli chmury nieco się przerzedzą, robiąc miejsce dla księżycowej poświaty. Przeczesał ręką długie, sklejone od brudu i potu włosy. Od celu dzielił go jeszcze jeden dzień drogi. Zaledwie jeden dzień, po tych wszystkich latach niemal bezowocnej tułaczki. A mimo to czuł się zwycięzcą, w końcu niósł na plecach coś więcej niż dowód, potwierdzający jego teorię. Niósł nadzieję. Przez głowę przemknęła mu straszna myśl, iż być może nie spotka już nikogo, z kim mógłby się podzielić tą dobrą nowiną.

– Przyjacielu!

Wędrowiec zamarł. Po raz pierwszy od, jeśli jego obliczenia były poprawne, szesnastu lat słyszał ludzki głos. Obrócił się w kierunku skąd dobiegł go okrzyk i zmrużył oczy porażony blaskiem opadającego ku linii horyzontu słońca. Pośpiesznie przyłożył dłoń do brwi, czując przy tym żar bijący z czoła. Trawiąca go gorączka zaczynała niebezpiecznie przybierać na sile. Wyteżył zmacony chorobą i wiekiem wzrok, szukając na bezkresnej, półpustynnej równinie ludzkiej sylwetki. Dostrzegł zbliżającego się szybkim krokiem rosnącego mężczyznę, który już po chwili stanął obok odzianego w przetarte łachmany wędrowcy, pytając go:

– Skąd jesteś?

Odpowiedź uniemożliwił kolejny atak kaszlu, który niemal pozbawił nieszczęsnego starca tchu. Jednak, gdy tylko ponownie mógł mówić, odpowiedział skrzekliwym, nieco stłumionym głosem:

– Z miasta położonego niedaleko stąd, na wschodzie. Nazywamy je Babel.

– Biblijna nazwa.

– Owszem. Pozostało nam kilka początkowych fragmentów tej księgi. Zresztą, po co w ogóle mnie pytasz o pochodzenie? Przecież ty sam musisz...

– Nie, ja nie jestem z Babel, chociaż w ostatnim czasie przyszło mi mieszkać w jego nieszczęsnym obrębie.

Starzec obrzucił rozmówcę badawczym spojrzeniem. Chociaż był on ubrany w prosty

strój, z całą pewnością wykonany w Babel, wyglądał jakoś „inaczej”. Czy to rysy twarzy, czy też coś w jego głosie sprawiało, że na myśl od razu nasuwało się jedno słowo: „obcy”. Nonsens, ten człowiek musiał pochodzić z Babel. Rosły, dobrze zbudowany, sprawiał wrażenie wysoko postawionego w hierarchii miejskiej. Wyglądał na nie więcej niż trzydzieści lat, nie mógł więc urodzić się podczas wędrówki starca. A znajomość pochodzenia nazwy miasta dobitnie wskazywała na powiązania z inżynierami. Może to ekscentryczny syn jakiegoś zamożnego obywatela wykształcony na inżyniera?

– Jakie jest twoje imię? – spytał oschle „obcego”.

– Możesz nazywać mnie Apostołem.

– Apostołem czego?

– Nadziei.

– O nie, to ja mam nadzieję! – krzyknął dumnie starzec, zrzucając na ziemię ciężący mu na plecach ładunek. – To jest nadzieja! Węgiel! Znalazłem go! Po tych wszystkich latach poszukiwań, czytałem wiele dawnych ksiąg, składałem ich fragmenty próbowałem zrozumieć dawno wymarły język nauki...

– Wszystko na nic – przerwał bezceremonialnie Apostoł, nie okazując przy tym ani krzty zainteresowania. – Miasto nie przetrwa nadchodzącej zimy. Ludzie mogą walczyć już tylko o zbawienie.

– O czym ty bredzisz? Ja niosę im życie!

– Wegetację. Życie, stokroć doskonalsze niż wasza jego wizja, mogę zapewnić ja.

– Przeklęty głupcze! Gdyby nie mój wiek inaczej bym z tobą pogadał!

– Trzymaj swój gniew na wodzy, przyjacielu. I ruszaj w swoją bezsensowną podróż. Chciałem cię tylko przywitać. Mam nadzieję, że dostrzeżesz sens moich słów, gdy już dotrzesz na miejsce.

– Jesteś szalony – rzekł z pogardą starzec, podnosząc z ziemi swój worek.

– Ruszaj w drogę, póki choroba nie odebrała ci resztek sił. Ten świat jest już stracony, nie naprawiaj tonącego statku, lecz biegnij do szalupy.

– A gdzie u cholery widziałeś jakieś statki? I skąd w ogóle masz tyle informacji o dawnej wiedzy, jesteś inżynierem?

– Jestem Apostołem. A wy rozbitkami, którzy wbrew logice chcą przetrwać na tonącym statku, waszym świecie.

– Jeśli przetrwamy, to odbudujemy go na nowo.

– W takim razie do zobaczenia w Babel. Być może nasze drogi jeszcze się skrzyżują.

Starzec splunął z pogardą i ruszył przed siebie. Jego umysł szybko zdominowały najczarniejsze myśli. Co zastanie po dotarciu na miejsce? Czyżby miasto naprawdę upadło i po wielkiej, kanibalistycznej uczcie przy życiu pozostało jedynie kilku obłąkanych inżynierów? Kim był ten człowiek? I skąd właściwie wiedział o jego powrocie? Silny ból głowy skutecznie uniemożliwiał logiczne przeanalizowanie tych pytań. Zrzucił swój drogocenny ciężar na ziemię i legł obok niego, kuląc się w kłębek. Dziś nie przejdzie ani kroku więcej. Czując nieprzyjemne pieczenie w płucach i z trudem łapiąc oddech, powtarzał sobie w myślach, iż musi przeżyć jeszcze tę jedną, jedyną noc. Przez chwilę patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem, po czym pozwolił ciężkim powiekom opaść, odgradzając się od świata szczelną zaporą ciemności.

Miasto skończyło. To już nie była agonia, lecz toczona przez zgniliznę cięła. Rosły, barczysty mężczyzna tylko tak potrafił określić otaczającą go rzeczywistość. Jako jeden z ostatnich strażników wciąż pełniących swoje funkcje, cieszył się poważaniem obywateli i inżynierów, chociaż jego dawni towarzysze, jak i pojawiające się coraz częściej bandy bezpańskich niewolników, nie ukrywali swojej niechęci. Mijając ceglane domy o zamkniętych okiennicach czuł, jak coraz silniej narastał w nim niepokój. Zerknął na towarzyszącego mu młodzieńca, którego ochraniał. Biedak, miał szczęście w nieszczęściu urodzić się w tych czasach. Chociaż nie skończył jeszcze dwudziestu czterech lat już został mianowany na jednego z inżynierów, a przy tym przyszło mu oglądać koniec Babel.

– To będzie nasza ostatnia zima... – rzekł na głos strażnik, szybko rehabilitując się słowami – Przynajmniej wszystko na to wskazuje...

– Nie zapominaj o maszynie grzewczej Herona w Domu Zgromadzenia, przy obecnym zapasie opału przetrwamy dzięki niej dwa najgorsze miesiące.

– Skoro tak twierdzisz, inżynierze.

– To pewne. Ani ja, ani moja siostra nie zamierzamy umrzeć tej zimy.

– Mam podobne plany. Jesteśmy.

Strażnik i jego podopieczny stanęli przed drzwiami prowadzącymi do dużego, kamiennego domu. Drugie, dobudowane niedawno piętro, wskazywało wyraźnie na to, iż stoją przed twierdzą jednego z inżynierów. Tak bowiem wypadało nazywać w ostatnich

miesiącach ich domy. Zwykle dobrze strzeżone, ze zgromadzonymi zapasami na najcięższe miesiące stanowiły fortece, z których mógł wypłoszyć właściciele jedynie chłód. Ten dom wyglądał inaczej. Sprawiał wrażenie opuszczonego i dziwnie ponurego. Półotwarte okiennice i drzwi wpuszczały do środka późnojesienny chłód. Młodzieniec jako pierwszy pchnął śmiało ciężkie, drewniane drzwi i przekroczył kamienny próg, gestem nakazując, by strażnik za nim nie szedł. Wewnątrz również panował dotkliwy chłód, lecz bez wsparcia mroźnego wiatru nie dawał się już tak we znaki.

– Heronie! To ja, Prot! Żyjesz?

– Powiedzmy, że egzystuję! – dobiegła stłumiona odpowiedź właściciela posiadłości, przebywającego gdzieś na piętrze. – Wejdz na górę i znajdź pobielone drzwi!

Młody inżynier pośpiesznie wbiegł na schody i po chwili poszukiwań otworzył wskazane mu drzwi, cofając się przy tym o kilka kroków porażony mdłym, podrażniającym słuzówki zapachem. Wewnątrz niewielkiego pomieszczenia dostrzegł kilka wiader, z których miarowo parowały jakieś dziwne, blado-białe opary uciekające przez lekko uchylone okno. Przy wielkim stole zarzuconym pergaminami, siedział starszy mężczyzna z wyraźnym, chociaż starym, śladem obtarcia na szyi.

– Witaj, Procie. Wejdz szybko, szkoda marnować ciepła.

Gość pośpiesznie spełnił to żądanie, przyznając w duchu, że faktycznie temperatura w środku jest odczuwalnie wyższa od tej na korytarzu. Spojrzał na dymiące wiadra i spytał niepewnie:

– To formuła, o której wspominałeś na posiedzeniu przed miesiącem?

– Nie do końca, brak mi większości odczynników. To tylko marny substytut, którego starczy mi na najbliższy tydzień, potem, jak wszyscy, spalę większość mebli, żeby wytrzymać jeszcze trochę.

– Wiesz może, czy Dom Zgromadzenia zostanie wcześniej otwarty? Nie byłem na zesłotygodniowym posiedzeniu.

– Ja również, podobnie jak pozostała czwórka inżynierów. W ogóle dziwi mnie twoja wizyta, ja nie ruszam się z domu już od co najmniej tygodnia. Zresztą wszyscy czekają u siebie na dzień otwarcia.

– Ja również, ale musiałem do ciebie przyjść, mam ciekawe wieści.

– Musi być naprawę ważna, skoro zaryzykowałeś opuszczenie schronienia.

– Odprowadził mnie jeden ze strażników.

– Oni w ogóle jeszcze działają? Jak jest na zewnątrz?

– Pusto, bardziej niż rok temu o tej porze. Strażników na służbie zostało może ze dwóch, reszta została wynajęta przez bogatszych obywateli albo inżynierów. Widziałem kilka grupek niewolników bez nadzoru, to chyba ci z domów uboższych obywateli.

– Pewnie tak... Mnie straż niepotrzebna, nikt nie podniesie na mnie ręki, w końcu tylko ja wiem, jak uruchomić maszynę grzewczą, a przygotowania moich sług skończyłem trzy dni temu.

– Wszystkich?

– I tak nigdy nie miałem ich zbyt wielu, czego w zasadzie żałuję. Ale zakonserwowałem moje dwa tuziny w soli, z czego dwudziestkę planuję przekazać do spichlerza Domu, a sam jakoś wyżyję na czwórce. Stary już jestem, nie muszę dużo jeść.

– Powinieneś bardziej o siebie dbać, jeśli umrzesz...

– Wy również. Ale skoro i tak będę martwy, to nie zrobi mi to wielkiej różnicy. Cóż... Zawsze byłem nieco egoistyczny.

– Racja. W każdym razie, jak mówiłem, mam nowinę. I to nie byle jaką, ten skurwiel opuścił miasto!

– Jako inżynier powinieneś czynić przykład, panuj nad mową – wyrecytował beznamiętnym tonem starzec, po czym dodał: – To pewne?

– Tak, wyruszył już trzy dni temu, ponoć przez ten czas błąka się na zachodzie jakby czegoś szukał.

– Może nasz Apostoł doznał kolejnych wizji? Na przykład głos kazał mu iść na zachód, dopóki nie dojdzie do krawędzi ziemi, aż spadnie z hukiem. Bezczelny prymityw! Posiada zdumiewającą wprost wiedzę, niemal dorównującą naszej, a mimo to uwierzy we wszystko, co ujrzy we śnie, nawet gdy to jawnie przeczy temu, o czym wie.

– Ja podtrzymuję swoje twierdzenie, które zaprezentowałem wiosną. W podziemiach musiał ktoś zostać, a to potomek tych ludzi.

Mężczyzna uśmiechnął się i, z wyraźnym trudem, wstał ze swego miejsca. Podeszedł do młodzieńca, po czym klepnął go przyjacielsko w ramię, mówiąc:

– Fantastyczne, wciąż żyjesz w innym świecie. Nie ma już zgromadzeń, wniosków i teorii. Jest zima, dla większości ostatnia, oraz marne resztki opału. Przez dwa wieki od chwili opuszczenia schronów przez naszych przodków, albo jak mówi nasz drogi, nawiedzony przyjaciel, *ostatka ocalałych przed koniecznym losem* zużyliśmy niemal wszystkie naturalne

zapasy z całego regiony na budowę miasta i rozkoszne życie. Nie mamy skór na kolejne ubrania, ani nawet przekłętego drewna na opał. Żremy samych siebie jak najgorsze kreatury z ocalałych ksiąg. To koniec.

– W takim razie dlaczego się grzejesz? Dalej, wyjdź na ulicę i zamarznij!

– Może tak właśnie powinienem zrobić, przy okazji pociągając was za sobą do grobu. Dobrze, dobrze – dodał szybko, widząc pełną wściekłości twarz rozmówcy – nie słuchaj mojego biadolenia, chociaż nieźle się trzymam jestem tylko starym człowiekiem. Przeżyłem ponad pół wieku i doświadczyłem wątpliwego zaszczytu urodzić się w apogeum świetności Babel, aby teraz widzieć jego ostateczny upadek. Za szybko nasi pradziadowie wyszli ze swoich podziemnych krypt, świat nie zdążył się zregenerować na tyle, by udźwignąć ludzkie miasto z prawie dziesięcioma tysiącami mieszkańców.

– Teraz nie ma nas nawet pięciuset a i tak stoimy na skraju zagłady.

– Ale wyjdziemy z tego zwycięzcy, mój drogi Procie. Zobaczysz! Pamiętasz przekazy przodków o zagładzie? Skoro kiedyś inni ludzie przetrwali coś takiego, to nasze problemy z zimą wydają się błahe.

– Ludzkość przetrwa wszystko.

– To na pewno, ale ważne żebyśmy, ja i ty, też to przetrwali. Idź już, pilnuj siostry, teraz jest to jej potrzebne.

– Na szczęście mam jeszcze służbę.

– Na nieszczęście oni mają żołądki. Widzisz, zabiłem swoich niewolników nie tylko, żeby zrobić sobie zapasy na zimę oraz oszczędzić jedzenie, które zgromadziłem dla nich. To proste istoty, niemal zwierzęta, od małego hodowane wyłącznie do służby. A każde głodne zwierzę jest niebezpieczne.

– Chyba nigdy nie pozbawisz się swojego urazu, przecież nie każdy niewolnik jest wcieleniem zła.

– O tak... – mężczyzna dotknął bezwiednie śladu na swojej szyi. – Zdarzają się i prawdziwe anioły. Mają tylko za ostre pióra... Dość już tych rozmów, muszę dokończyć swoje zapiski. Nie jestem aż tak samolubny, niedługo skończę szczegółową dokumentację techniczną mojej maszyny grzewczej. Tym razem nie spisuję jej szyfrem, to będą życiodajne informacje, które pomogą tobie i innym inżynierom kontrolować to ustrojstwo podczas tej, jak i następnych zim. Mam bowiem brzydkie przecucie, że nie doczekam wiosny...

– Raz już wymknąłeś się śmierci, nic ci nie będzie.

– Nie umiesz dobrze skrywać uczuć, Procie. Twoja radość jest doskonale widoczna. W sumie nawet to rozumiem, i tak długo cieszyłem się myślą o tym, jak wiele ode mnie zależy. Przekażę wam dokumenty, jak tylko skończę. Teraz już idź, nie chcę tracić cennego światła, dni są coraz dotkliwiej krótsze.

– Do zobaczenia.

– Tak, tak... – mężczyzna, machnął niedbale ręką, ruszając w stronę swojego miejsca.

– Zamknij dobrze drzwi wychodząc!

Młody inżynier opuścił pomieszczenie w doskonałym nastroju. W końcu stary Heron dał sobie spokój z odgrywaniem jedyne go zbawienia dla miasta. Z planami maszyny grzewczej dostępnymi dla wszystkich skończy się jego hegemonia, jak i trwające już od wiosny nieoficjalne przywódco Zgromadzeniu Inżynierów. I to on zarzuca mu brak panowania nad sobą? On, „wielki geniusz”, który jeszcze dziesięć lat temu był na tyle niezrównoważony, żeby próbować się powiesić? I to z jak błahaego powodu: uczucia do niewolnicy! Nędzny, pyszny, stary głupiec! Prot opuścił budynek nakazując strażnikowi prowadzić się do domu.

– Masz na dziś jeszcze jakieś plany, oprócz eskortowania mnie?

– Nie, jeśli nie zgłosi się do mojego posterunku jakiś obywatel albo inżynier.

– Ja sam zajrzałem tam w zasadzie tylko przez ciekawość. Chyba nikt już nie wierzy w to, że straż wciąż działa. Chyba nie chcesz być ostatnim strażnikiem Babel, co?

– Jeśli będzie trzeba...

– Prosty z ciebie człowiek, strażniku.

– Mam mieć silne barki, nie rozum. Wy sami ustalaliście to prawo, inżynierze.

– Ustalaliśmy, ustalaliśmy... Jak wszystko w tym mieście. Nie nakazywaliśmy jednak głupoty. Jeśli nie chcesz porzucać służby, to chociaż poświęć mi dziś jeszcze trochę czasu. Chcę przygotować z tuzin niewolników, a wolę nie powierzać tego samej tylko służbie. Te wygłodzone bestie są w stanie zeżreć ukradkiem nawet surowe mięso, jeśli się ich nie przypilnuje. Później chorują i zdychają, tym samym nie dając z siebie po śmierci nic poza tłuszczem na opał.

– Zależy, ile to potrwa.

– Wystarczy, że poprzetrącasz im karki i rozczłonkujesz, resztą zajmie się moja siostra z paroma służkami. Dostaniesz za to trochę mięsa albo opału, co będziesz wolał.

– Wezmę opał.

– Jesteś sprytniejszy, niż można by sądzić. Na pewno nie chciałbyś porzucić służby i zostać w moim domu?

– Służę miastu i wszystkim jego obywatelom, wybacz inżynierze.

– Dobrze, dobrze... W takim razie wystarczy mi twoja pomoc przy wstępnym oporządzaniu tych niewolników.

Młodszy z mężczyzn przyśpieszył kroku, czując na plecach smagnięcie mroźnego wiatru. Zaklął w duchu. Nie dosyć, że zima zapowiada się sroga, to najwyraźniej w tym roku zamierza przyjść wcześniej. Przynajmniej Apostoł wyniósł się z miasta. Heron był mimo wszystko głupcem, podobnie jak reszta inżynierów, którzy zdawali się nie dostrzegać, jak poważne zagrożenie stanowił ten oblężaniec. Zbyt skupili się na tej części ocalałych ksiąg, które traktowały wyłącznie o minionej nauce. Zapomnieli o bodaj najpotężniejszej broni starego świata, którą obecnie z taką łatwością dzierżył ten fanatyk: idei.

Dziewczyna zadrżała pod uderzeniem mroźnego wiatru i szczerzej otuliła się narzuconym na plecy kocem. Poglądziła ostrożnie po powłoce brzucha, oddzielającą jej dłoń od życia, które zagnieździło się w jej łonie przed dwoma miesiącami. Zaczepnęła nieco mroźnego powietrza i szybkim krokiem podeszła do obmywającego się strażnika. Barczysty mężczyzna ścierał na wpół zakrzepłą krew z nagiego torsu, sprawiając wrażenie niepodatnego na przenikliwy ziąb królujący na zewnątrz. Widząc siostrę inżyniera, skłonił lekko głowę. Dziewczyna odpowiedziała tym samym, szybko żałując tej decyzji. A co jeśli jej ukłon zostanie uznany za szyderstwo? W końcu jako obywatelka powinna odbierać ukłon od strażnika jako zwykły objaw szacunku, nie ma obowiązku odpowiadać tym samym.

– Powiedz... – zaczęła niepewnie, szukając słów, by dokończyć pytanie. – Powiedz... Jak wam poszło?

– Dobrze, zabiłem sprawnie czternastu, twój brat zajmuje się teraz wstępnym oporządzaniem i będzie chciał cię widzieć, obywatelko.

– Pozwalam ci mnie nie tytułować. Na imię mi Nelda...

– Wiem. I wiem, że inżynierowie i obywatele nie mówią do strażników jedynie, by ich pozdrowić. Jak mogę pomóc?

– Więc... Nie wchodzi to w zakres twoich obowiązków, to jedynie prośba, której nie musisz spełnić, jeśli nie chcesz.

- Mam zdecydować? – spytał mężczyzna z nutką niepokoju w głosie.
 - Tak. Wiesz, że spodziewam się dziecka. Jednak w tej sytuacji...
 - Powinno urodzić się latem a, o ile wiem, twój brat zebrał dość żywności dla siebie, ciebie, dziecka i kilku służących.
 - Tak, to prawda. Mimo wszystko...
 - Jeśli prosisz o pomoc w pozbyciu się dziecka, muszę odmówić. To życie obywatela, a moim zadaniem jest chronić każde takie życie.
 - Masz za zadanie chronić każdego obywatela i inżyniera od chwili narodzin do śmierci, nieprawdaż? A to się jeszcze nie urodziło.
 - Racja.
 - Widzisz. Dlatego możesz sam zdecydować. Wszyscy wiedzą, że twoja służąca zajmuje się ważeniem takich wywarów.
 - Gdyby wiedzieli o tym inżynierowie, już by nie żyła.
 - Zgoda, nie wszyscy. Ale zawsze dowiadują się o tym zainteresowane kobiety. Takie jak ja. Nie mogę sama do niej iść, brat nie wypuszcza mnie z domu od kiedy... To zaczęło we mnie rosnać...
 - Więc przychodząc jutro po moją zapłatę za dzisiejszą pomoc, mógłbym przynieść ci wywar, tak?
 - Jesteś bystry, jak na strażnika.
 - Czasem pomaga mi to w pracy, czasem przeszkadza.
 - A więc?
 - Nie dam teraz odpowiedzi.
 - Ale zastanowisz się nad tym, dobrze? Proszę tylko o to.
 - Jak powiedziałem, teraz nie dam mojej odpowiedzi. Jutro przyjdę po opał z miksturą, albo bez niej.
 - Zgoda.
- Głośny krzyk Prota „*Nelda, chodź tu!*” brutalnie przerwał dalszą konwersację. Młody inżynier stojąc w progu, zawołał do zakładającego swoje ubranie strażnika:
- Przyjdź jutro z rana, teraz możesz wracać do swoich obowiązków, ale raz jeszcze radzę ci je porzucić i zostać moim ochroniarzem.
 - Wybacz, ale nie skorzystam, inżynierze. Nawet jeśli będę ostatnim strażnikiem, to ktoś w końcu musi nim być.

– Rób, co chcesz. A ty – zwrócił się do siostry – nie stercz tak na mrozie, przecież zaszkożysz małemu.

– Mmm... – mruknęła dziewczyna, znikając wewnątrz budynku.

Rosły mężczyzna w milczeniu obserwował, jak zamykają się drzwi do domu Prota, po czym ruszył przed siebie. Musiał dokończyć patrolowanie ulic, bandy bezpańskich niewolników w ostatnich dniach stawały się coraz bardziej kłopotliwe. Na szczęście te wychudzone pokraki nie stanowiły w zasadzie realnego zagrożenia, polowały bardziej na siebie nawzajem niż na obywateli, chociaż zdarzały się przykre wyjątki. Jeśli mu się poszczęści, może trafi na jedną z takich grup. Przetrażenie ich chudych karków to dziecinna zabawa, a mimo wygłodzenia każdy z nich miał na sobie dosyć mięsa na kilka porządnych posiłków. I pozostała sprawa prośby tej biedaczki. Chyba każe zdecydować swojej Grenie, w końcu ona robi te przekłete napary, ale przecież to i tak on musiałby odpowiedzieć za zabicie obywatela. Jest strażnikiem, zabijając jednego z tych, których ma chronić byłby znów niczym. Chociaż mógłby się bronić prawem o ochronie od urodzenia do śmierci, tak jak powiedziała mu Nelda. Biedna dziewczyna. Chociaż jest siostrą inżyniera, więc właściwie nie powinna narzekać. Jej dziecko będzie miało zapewnione dostatnie życie, Prot zawsze się nią opiekował. Oddaje własną żywność dla siostry i jej dziecka, wszyscy wiedzą jak dbał o swoich rodziców nim zmarli. To dobry człowiek, inżynier. Co on pomyśli, jeśli Nelda pozbędzie się dziecka? Na pewno odkryje, kto za tym stoi i będzie chciał się zemścić. Mężczyzna poczuł, że zaczyna ogarniać go strach. Czy decydując w tej sprawie postąpi słusznie? Czy jego decyzja nie będzie oznaczać buntu? Nie chce być renegatem, jest strażnikiem. Żyje już prawie trzydzieści lat w mieście i nigdy nie zawiódł. Czasem jest nawet chwalony, chociaż przez ponad dwadzieścia lat służby tylko siedem osób spytało go o imię. A mimo to teraz stawiają go w takiej sytuacji. Dlaczego każą mu decydować?! Dziewczyna mogła przecież nie ulegać! Wiedziała, co może się jej przytrafić. Popełniła błąd, a on musi za niego odpowiadać. Zawsze on, zawsze strażnik. Decyzja... Nagle zatrzymał się i wrzasnął na cały głos. Jego długi, potężny ryk odbijał się echem pośród opustoszałych ulic Babel. Kilkanaście minut później dotarł do swojej strażnicy, skąd wyruszył, aby sprawdzić, co dzieje się w innych. Tego dnia odkrył, iż młody inżynier miał rację. Był ostatnim strażnikiem wyludnionego miasta.

Starzec uporczywie szedł przed siebie, co rusz zataczając się na boki. Dawno już zapadł zmierzch, lecz teraz nie mógł dać za wygraną. Wrócił, znów był w Babel! Jeszcze tylko kilka kroków i dotrze do domu swojego brata. Ciekawe, czy on jeszcze żyje? Czy ktokolwiek jeszcze żyje? Wkroczył do miasta niezatrzymywany przez nikogo, również mijane domy wyglądały na opuszczone. A mimo tego był pewien, że wszystkie te lata, cały jego wysiłek, nie mógł po prostu pójść na marne. Ostatkiem sił zaczął walić pięściami w drzwi, które, jak mu się wydawało, należały do jego brata.

– Bracie, to ja, Amon!! – krzyczał skrzekliwym, pełnym bólu głosem. – Wróciłem! Mam węgiel... Mam... Ekhg...

Potężny atak kaszlu powalił go na kolana, na moment całkowicie uniemożliwiając jakąkolwiek próbę złapania oddechu. Wycieńczony wędrowiec wsparł się na drzwiach, a te otworzyły się, na skutek czego nieszczęśnik boleśnie uderzył o posadzkę. Po chwili poczuł, jak ktoś zdejmuje mu z pleców jego drogocenny ciężar i podnosi z ziemi. Resztkami sił zmusił się od otwarcia oczu. Ujrzał przed sobą zarys jakiejś twarzy. Nie był jednak w stanie rozpoznać do kogo należała. Jedyne źródłem światła w korytarzu była księżycowa poświata wpadająca ukośnie do środka przez rozwarte drzwi. Ktoś, kto pomógł mu wstać znajdował się poza jej zasięgiem.

– Heron? – wymamrotał starzec, wisząc w ramionach wybawcy.

– Tak, bracie. Tak...

Inżynier objął czule zwiędnięte ciało swego gościa.

– Nigdy nie myślałem, że jeszcze cię zobaczę. Bracie! Znalazłeś to!

– Mówiłem wam... Znalazłem...

– Chodźmy na górę, tylko tam mogę zapewnić ci nieco ciepła! Zaraz przyniosę coś do zjedzenia.

– Węgiel... Weź go...

– Zaraz po niego wrócę, trzymaj się. Musisz przeżyć jeszcze tę noc!

– Powtarzam to sobie... od... bardzo dawna...

Starzec poczuł jak resztki sił zaczynają odpływać z jego ciała wraz ze świadomością. Nim stracił przytomności pomyślał o tym, że to była już naprawdę ostatnia noc, którą musiał jeszcze przeżyć.

Heron pośpiesznie wniósł bezwładne ciało brata na górę, po chwili wracając po jego

cenny ładunek. Nie tracąc ani chwili, zakrzesał w ostyglým od dawna kominku ogień, dorzucając co chwilę nowe kawałki drewna. Po chwili wahania wrzucił jeszcze kilkanaście kart pozółkłego pergaminu zawierających jego starsze projekty. Gdy tylko płomień zaczął łapczywie trawić wysuszone szczapy, mężczyzna otworzył okno i wylał na zewnątrz zawartość trzech wiader. Wiedział, że szkodliwe opary z jego substancji grzewczej byłyby nie do zniesienia dla wycieńczonego organizmu. Zamknął okno i przykląkł przy jednej z szafek szukając czegoś zawzięcie. Nagle przerwał swoją krzątanie, aby sprawdzić stan brata. Na szczęście starzec jeszcze żył. Inżynier w pośpiechu wrócił do przeszukiwania pomieszczenia, aby po chwili zwieńczyć swe starania sukcesem. Wydobył mały, skórzany woreczek i położył go ostrożnie na stole. Potrzebował jeszcze dwóch kwadransów na przyniesienie aparatury, odmierzenie składników i sporządzenie narkotyku, który sztucznie przywróciłby starcowi siły, wyczerpując go przy tym do reszty. Miał nadzieję, że nieszczęśnik zdoła wyjawić miejsce, gdzie udało mu się zdobyć węgiel. Inżynier poczuł szybsze bicie serca. Znowu zostałby uznany za zbawcę miasta. O ile jego maszyna grzewcza w Domu Zgromadzeń, z braku wystarczającej ilości opału, straciła nieco na znaczeniu, to informacja o złożu węgla była wprost bezcenna.

– Trzymaj się bracie... – powiedział bardziej do siebie niż nieprzytomnego starca.

Inżynier wiedział, że teraz w jego rękach jest życie nie tylko Amona, ale i całego miasta. Za wszelką cenę musiał podtrzymać tę nadzieję, spodziewając się, iż w najbliższym czasie, aby tego dokonać, przyjdzie mu poświęcić coś więcej, niż brata.

Ostatni strażnik Babel nie mógł zasnąć. W ciemności jednoizbowego domostwa, które od lat zamieszkiwał, wyraźnie słyszał urywany oddech swojej niewolnicy. A więc staruszka również nie spała. Mężczyzna przewrócił się na drugi bok, próbując skryć swoje ciało pod przetartym, przesiąkniętym fetorem niemytego ciała kocem. Wprawdzie zdecydował się nie zajmować się sprawą Neldy, lecz kusilo go, aby porozmawiać o tym z kobietą. Posiadanie stałej służącej, nie licząc kupowanych od kilku lat niewolników w charakterze zapasów na zimę, pochłaniało sporą część jego skromnego wynagrodzenia. A mimo to nie potrafił zrezygnować z tego drobnego luksusu. Gdy tylko przed piętnastoma laty ujrzał tę szpetną kobietę, postanowił kupić ją i za wszelką cenę zatrzymać przy sobie jak najdłużej. Rzecz jasna przez dłuższy czas korzystał z jej, w zasadzie wątpliwych, wdzięków, ale nie to tak

bardzo go do niej przykuło.

– Grena?

– Tak, panie?

Uwielbiał to, sposób w jaki do niego mówiła. Bez cienia pogardy, czy krnąbrności. Pan. Właściwie była to jego jedyna przyjemność w życiu, „być czyimś panem”. Wiedział, że w każdej chwili mógł pozwolić wiernej służącej wyjść z kąta i ogrzać się na jego posłaniu. Chyba tak właśnie zrobi, ale najpierw chciał chwilę porozmawiać.

– Zajmujesz się usuwaniem niechcianych dzieci, nieprawdaż?

– Tak. Znam działanie niektórych ziół. Wychowałam się w domu inżyniera nim zostałam sprzedana, wiesz o tym.

– Dlaczego to robisz?

– Pomagam tym kobietom, a one mi się odwdzięczają.

– O tak... Nie raz przyniosłaś do domu kęs porządnej stawy. Pamiętasz jeszcze, jak smakował chleb?

– Już od dwóch lat nie upieczono żadnego. Ale doskonale pamiętam ten smak...

– Mów, czy to jedyny powód? Robiłaś to tylko dla zysku? Nie myślałaś, że w ten sposób zabijałaś nienarodzonych obywateli?

– Prawo tego nie zakazuje, panie. Poza tym sprawiało mi to przyjemność. Przez całe życie byłam niczym, tylko ty, panie, traktowałeś mnie dobrze. Bardzo dobrze. Pomagając przy poronieniach wywierałam zemstę na obywatelach. Przez moment byłam dla nich ważną osobą. Liczyłam się. Ty nigdy nie chciałeś być ważniejszy, niż obywatel, panie?

– Nie myślałem o tym. Nigdy w ten sposób. Chodź tu, połóż się obok.

– Posłanie jest małe, oboje zmarzniemy. Nie chcę odbierać ci ciepła, panie.

– Nie martw się, wiele potrafię wytrzymać. Ty nie. Jesteś już stara, a chciałbym cię mieć jeszcze następnej zimy.

– A ja chciałabym, żebyś jej doczekał, panie.

Staruszka posłusznie wypełzła ze swojego kąta, wchodząc na niedbałe posłanie. Poczowała przyjemne ciepło bijące z ciała strażnika. Zamknęła oczy próbując przypomnieć sobie lata, gdy była młodsza i interesowała swego pana jako kobieta. Zrobił dla niej tak wiele, więcej niż sam się domyślał.

– Panie?

– Tak?

- Dlaczego pytałeś mnie o moje umiejętności? Czyżbyś ich potrzebował?
- Nie ja. Poproszono mnie o pomoc. Nelda chce pozbyć się swojego dziecka.
- Nie dziwię się tej biedaczce... Jeśli chcesz, mogę podarować jej kilka ziół.

Odmierzyłabym porcję skoro świt, gdy wpadnie tu nieco słońca.

– Mógłbym narazić się inżynierowi.

– Nie mnie decydować, panie.

– A gdybym ci kazał?

– Chętnie spełniłabym prośbę tej dziewczyny. Ona jedyna zasługiwałaby na moje zioła. Nie chce zabić tego dziecka dla oszczędności, albo uniknięcia obowiązków. W końcu takie maleństwo dorastałoby sobie i kiedyś poznało prawdę, o tym skąd się wzięło. A raczej w jakich okolicznościach je zrobiono.

– Jesteś mądrą kobietą.

– Dziękuję ci, panie.

– Ale mimo wszystko odmówię jej pomocy. Skażę tym jednego obywatela, na razie nienarodzonego, na podłe życie. To będzie moja zemsta, Greno. Zasługuję na nią.

– Tak panie, zasługujesz na wszystko.

Staruszka poczuła ciepłą dłoń, która przeczesала jej włosy, po czym delikatnie objęła w pasie i przysunęła do źródła kojącego żaru.

– Przytul się, moja stara, pocziwa Greno. Jeszcze trochę i otworzą Dom Zgromadzenia. A wtedy będziemy się grzać w ciepłe maszyny Herona.

– Dopóki nie zabraknie dla niej opału.

– O tak... Śpij Greno, śpij...

Mężczyzna pogładził po głowie sędziwą służącą i poczuł jak ogarnia go senność. Zasnął szybko, czując przyjemny dotyk ludzkiego ciała na piersi. Nie wiedział jeszcze, iż następnego ranka obudzi się zziębnięty tuląc ostygłe zwłoki.

Przez otwarte drzwi do wnętrza pozbawionego okien pomieszczenia wdzierało się światło dnia wraz z jego chłodem. Już od dłuższego czasu pięciu inżynierów uważnie słuchało słów swego towarzysza, który z powagą wygłaszał przygotowane tej nocy orędzie. Co rusz jeden ze słuchaczy wymieniał znaczące spojrzenia z innym, albo spoglądał w głąb wypełnionego kłocami drewna oraz kośćmi pomieszczenia. Gdy Heron skończył przemawiać,

przez dłuższą chwilę panowała uciążliwa cisza, przerywana nieśmiałymi chrząknięciami, bądź pokasływaniem. W końcu prelegent nie wytrzymał i sam zabrał głos jako pierwszy:

– Więc?

– Wieści są zbawcze, ale – przemówił niepewnie jeden z inżynierów – nazbyt spóźnione. Nawet gdybyśmy wcielili w życie nasz wcześniejszy plan i tej zimy spalili wszystko to, co można w Babel spalić to i tak do wiosny z naszej szóstki, osiemdziesięciu trzech obywateli oraz prawie czterystu niewolników zostanie przypuszczalnie mniej niż pięćdziesiąt osób. W dodatku twój brat nie żyje. Mówisz, że przekazał ci dokładne instrukcje i bez trudu trafisz do złóż węgla, ale jaką możesz nam dać na to gwarancję?

– To tylko miesiąc drogi stąd, mówiłem wam już, że Amon większość tych lat spędził na poszukiwaniu informacji w krypcie niż szukanie samego złoza.

– To wielki wysiłek, zbudować kopalnię. Nawet jeśli w tamtym regionie istotnie znajdują się większe zapasy naturalne, to...

– Wiecie do czego zmierzam – przerwał mu Heron lodowatym tonem. – Jeśli nie macie odwagi powiedzieć tego wprost, ja to zrobię. Proponuję abyśmy opuścili Babel i niezwłocznie ruszyli w stronę złóż. Zabierzemy ze sobą jedzenie i opał. Śnieg nie powinien spaść wcześniej niż za tydzień, może nawet później. W okolicach złóż jest sporo jaskiń, w których moglibyśmy zamieszkać. Wystarczy, że utworzymy tam osadę i przetrwamy jeden jedyny rok, później wrócimy z potężnymi zapasami węgla, a z czasem zbudujemy stały trakt od kopali do Babel.

– To miasto zbudowaliśmy dzięki instrukcji pozostawionej nam przez przodków. Pamiętasz, co wraz ze szczątkami dawnego świata i jego wiedzy nam przekazali? Nigdy, przenigdy nie możemy opuścić miasta, aby zacząć wszystko od początku. Stalibyśmy się wtedy zwykłymi barbarzyńcami, dzikimi, a scheda świata sprzed katastrofy zostałaby ostatecznie zaprzepaszczone. A ty chcesz, abyśmy mieszkali w jaskiniach! Jak zwierzęta!

– Nie polegaj tak na wiedzy praojców, swoim przedwczesnym wyjściem z krypty pokazali, jak mało potrafią być przewidujący!

– Myślę... – wtrącił się do dyskusji Prot – że powinniśmy rozważyć pomysł opuszczenia miasta albo rozdzielić się i pozostawić trzech inżynierów tutaj, razem z częścią obywateli i niewolników. Druga grupa poszłaby ku złożom. Jedna z tych społeczności na pewno ma szansę na przetrwanie.

– Jest inna droga! – zakrzyknął mężczyzna, który wszedł bezceremonialnie do

pomieszczenia, pozdrawiając wszystkim skinieniem głowy.

Inżynierowie w milczeniu spoglądali na Apostoła, który z pobłażliwym uśmiechem na ustach wodził wzrokiem po twarzach zebranych.

– A więc radzicie jak przetrwać? Iść tam, zostać tu, rozdzielić się... Nie pojmujecie, że błędem waszych przodków nie było przedwczesne wyjście z ich podziemnej krypty, lecz to, iż w ogóle tam weszli. Nie da się przeżyć końca świata. On trwa do tej pory, a zakończy się już niebawem, w chwili gdy ostatni człowiek wróci do prochu tej nieszczęsnej ziemi. Ukorzcie się grzesznicy i proście o przebaczenie, a będzie wam dane go dostąpić. Oddajcie swe życia w ręce tego, który wam je ofiarował, a on przygarnie was pod swoje skrzydła. I zbawi.

– To brednie dobre dla niewolników! – wrzasnął Prot.

– Idź precz, fanatyku! – zawtórował młodemu towarzyszkowi Heron. – Nie przeszkadzaj nam w radzeniu nad sprawami naprawdę istotnymi!

Pozostali inżynierowie również wyrazili swoje oburzenie, lecz w o wiele mniej żywiołowy sposób. Wyczuwalne było, że w gruncie rzeczy nie chcieli podejmować dyskusji. Nie chcieli robić niczego i sam fakt wyrwania ich o poranku z ciepłych domów uważali za coś nader niestosownego. Przeżyli już wiele zim, od paru lat wciąż martwiąc się, że ta, która nadchodzi, będzie ostatnią.

– Wszyscy zawiedli, cała ludzkość zawiodła – kontynuował swój wywód mężczyzna, nie zważając na negatywne reakcje słuchaczy – a to doprowadziło ją do upadku. Nie istnieje już ludzkość, pozostał już tylko zbiór jednostek. Wy. A moje słowa są dla każdego z was szansą. Dołączcie do sprawiedliwych i porzućcie swój bluźnierczy opór przeciw woli potężniejszej niż wasza. Zjedzcie swój ostatni wielki posiłek, ogrzejcie się ciepłem zgromadzonego drewna i pozwólcie wsiąknąć krwi w ziemię, odejdźcie cicho, spokojnie, we śnie. Nie w strachu przed pożarciem przez własnych bliskich, nie w przerażającym chłdzie bez radosnego blasku ognia na twarzy.

Mężczyzna mówiąc, szedł w stronę najbliższego stosu drewna. Położył obie dłonie na jednej z grubych szczap, po czym odwrócił się do słuchaczy ze słowami:

– Mówicie ciągle, że tylko bredzę i jestem szalony. Dobrze wiecie, nieraz czytaliście fragmenty ocalałych ksiąg i innych pism sprzed zagłady, że kiedyś było podobnie. Wielu było takich jak ja i wielu takich jak wy. Mówiących i tych, którzy nie słuchali. I nadszedł koniec, gniew... Gniew boży!

– Łiesz! Ludzie sami zniszczyli świat! – wrzasnął Prot, waląc wściekle pięścią

w otwartą dłoń. – Nasza technika nas spopielila! To my! My! My sami to zrobiliśmy! Przystań lgać, ty oszczerco! Sam jesteś uczony, sam na pewno, nie wiem jak i gdzie, czytałeś wiele z pism! Świat zginął przez nas, nie istniało nic potężniejszego niż my i tylko my mogliśmy się unicestwić! I zrobiliśmy to!

– Byliście narzędziami! – Apostoł szybkim krokiem podszedł do drzwi, krzyząc przy tym: – Ludzie byli dziełem rąk, tych samych rąk, które roztrzaskały swój twór, widząc jego haniebne skazy!

– Syk! – krzyknął niespodziewanie Heron. – Słyszycie?

Wszyscy spojrzeli na inżyniera, po czym skierowali wzrok w stronę zapasów drewna, skąd dobiegał głośny syk połączony z ciemną strużką dymu wydobywającą się ze szczapy, na której przed momentem położył dłoń Apostoł.

– Chory skurwiel zakradł się tu wcześniej i podłożył ładunek! – wrzasnął na całe gardło wściekły Prot. – On poznał recepturę prochu!

Mężczyźni spojrzeli w panice w stronę drzwi, lecz Apostoła już nie było. Wszyscy rzucili ku wyjściu walcząc zaciekle o pierwszeństwo w opuszczeniu budynku, wewnątrz którego, już po niecałej minucie, doszło do pierwszej eksplozji. Dała ona początek jeszcze trzem kolejnym, w efekcie czego rozszalały ogień już w parę minut objął większość zapasów drewna oraz poważnie naruszył konstrukcję ceglanego magazynu. Szóstka mężczyzn z przerażeniem patrzyła jak chciwy żywioł błyskawicznie pochłania zgromadzoną w jednym miejscu szansę na ocalenie. W jednej chwili każdy z mężczyzn pomyślał o tym samym: gdzie była straż? Jak ten obłąkany fanatyk, będący przy tym prawdziwym geniuszem, był w stanie zakraść się tu wcześniej, podłożyć ładunki, aby móc odegrać dzisiejszy spektakl? Odpowiedź szybko nasunęła się sama. Rosłych stróżów porządku można było zastać w każdym domu co bogatszych obywateli, dwóch z inżynierów też utrzymywało paru ludzi do ochrony.

– To... – głos uwiązał Heronowi w gardle w momencie, gdy mężczyzna poczuł na swych policzkach łzy.

To był ich koniec. Kimkolwiek był człowiek przedstawiający się jako Apostoł, w tej chwili mógł pogratulować sobie pełnego sukcesu. Od chwili założenia Babel nikt nie popełnił w jego obrębie tak bestialskiej zbrodni. Tego poranka zamordowano nadzieję.

Prot spoglądał bezmyślnie przed siebie, siedząc na lodowatej posadzce pokoju mieszczącego się w nie ogrzewanej już części swojego domu. Do zmierzchu zostało nie więcej niż godzina, a przynajmniej taki wniosek wysnuł na podstawie wpadającego przez otwarte okno światła. Czuł, że chłód zaatakował mu wszystkie stawy, lecz nie miał najmniejszego zamiaru ruszać się z miejsca. Za kilka dni w całym domu i tak zapanuje przeraźliwy ziąb. Nie odezwał się ani słowem, gdy do pomieszczenia weszła cicho jego brzemenna siostra i, kładąc uprzednio koc, usiadła obok niego. Po chwili wahania podniósł niezdarnie zeszywniałą dłoń i pogładził dziewczynę po głowie.

– Nie siedź tu, zaszkożysz sobie i dziecku – wymamrotał.

– Mhm... – odparła bez przekonania Nelda. – Chodź, mamy jeszcze opału na tydzień, nie marznij tutaj.

– Wiem, wiem... Wiem dużo... Jestem inżynierem...

– Wstawaj już!

– Po co? Nic już nie można zrobić. Ja nic nie mogę zrobić...

– A ja? Co ze mną?

Młodzieniec spojrział rozmówczyni w oczy, po czym powoli przeniósł wzrok na jej brzuch. Pogładził delikatnie widoczną już krągłość.

– Racja, muszę o was zadbać. Widzisz, to co się dzisiaj stało uderzyło mnie ze szczególną siłą. Ten fanatyk użył do swego planu materiału wybuchowego, substancji, która po zetknięciu z ogniem może wyrządzić wiele szkód, rozumiesz?

– Tak.

– Od lat każdy z nas, inżynierów, pracował nad czymś takim. Nad choćby eksperymentalną ilością. A on tak po prostu użył kilku, albo i kilkunastu kilogramów. Jest od nas mądrzejszy. To wszystko. Po prostu umie więcej od nas... Zabrał mi nadzieję i moją godność inżyniera.

– A ja? I to... To co noszę... w sobie...

– Tak... Mam jeszcze was, ale bez opału i tak wszyscy niedługo umrzemy. Chodź, przytul się.

Objął delikatnie dziewczynę i przysunął do siebie. Pogładził ją niedbale po karku, by następnie wsunąć dłoń pod fałdy jej ubrania. Nelda zadrżała nieznacznie czując mocny uścisk zamykający się na jej piersi. Spróbowała nieco się odsunąć, lecz nacisk natychmiast się

zwiększył, zaczynając sprawiać ból. Posłusznie znieruchomiała, poddając się pieścizotom.

– Wiesz... – wyszczał jej do ucha Prot – skoro zbliżają się wielkie mrozy, chyba czas, żebyśmy zrezygnowali z osobnej sypialni dla ciebie, co, siostrzyczko?

– Tak...

– Wiesz, jak bardzo cię kocham. Będę dbał o ciebie i nasze dziecko, aż do samego końca, słyszysz?

– Wiem to, ale...

– Cicho, leż, ogrzej mnie.

– Chodźmy do ciepła.

– Ty jesteś ciepła.

– Przestań...

Młody inżynier zerwał się gwałtownie, brutalnie odtrącając przy tym dziewczynę. Spojrzał na nią z triumfalnym uśmiechem na ustach i powiedział łagodnym tonem:

– No już, moja mała, biedna siostrzyczko. Chodź, pójdziemy do domu... Tam bardziej się... ogrzejemy...

Dziewczyna mimowolnie wzdrygnęła się, unikając przy tym spojrzenia brata. Zaczęła powoli podnosić się z ziemi, złożyła swój koc, jednocześnie panicznie próbując wymyślić jakąś wymówkę. W ciągu ostatnich dwóch lat, które minęły od śmierci ich matki często znajdowała dobre preteksty. Niestety, gdy Prot w pełni poczuł, jak wielką władzę daje mu urząd inżyniera, zrezygnował z podchodów i otwarcie zaczął spełniać swoje pragnienia. Kazirodztwo z jakiegoś powodu było surowo zakazane przez przodków, więc prawo było po jej stronie, ale któż odważyłby się sądzić inżyniera?

– Czekaj! Przypomniałam sobie coś! – niemal wrzasnęła, czując jak oblewa ją zimny pot. – Pamiętam, jak raz ukarałam jedną ze służących za wymykanie się w nocy, powiedziała mi wtedy, że była posłuchać Apostoła. Może do tej pory spotyka się gdzieś z niewolnikami.

– Dawaj ją – warknął sucho Prot. – Żyje jeszcze?

– Tak, zaraz ją przyślę – powiedziała dziewczyna, czując przyśpieszone bicie serca.

A więc udało się, za cenę życia tej nieszczęsnej służki, dziś uniknie swojego losu.

– Wydobędę od niej wszystkie informacje, być może zaprowadzi mnie do tego przeklętego fanatyka. A teraz chodź – mówiąc to złapał dłoń siostry – szybko się uwiniemy z naszymi sprawami.

– Uważaj na dziecko... – wychrypiała niemrawo dziewczyna, czując jak po policzkach

spływają jej ciepłe łzy.

Oblizwała wargi, do których dotarł gorzki płyn ciekący z jej serca i bezwładnie poddała się bratu, który obejmując jej tors w pól wyprowadził ją z chłodnego pomieszczenia. Miała tylko nadzieję, że szybko wyładuje swój gniew. Domyślała się, iż tym razem młodzieniec będzie o wiele bardziej brutalny niż zazwyczaj. Najwidoczniej myśl o możliwości wywarcia zemsty na Apostole dodała mu sił do życia. I bicia. I pieprzenia. Rżnięcia... Ciche do tej pory kwilenie prowadzonej niczym jeniec dziewczyny gwałtownie przekształciło się w pełen rozpacz szloch.

Heron, podobnie jak kilkadziesiąt zebranych w pobliżu osób, grzał się od ognia trawiącego magazyn zapasów. Zmierzch był bliski, a żywioł nie miał zamiaru zelżeć. Swego czasu mężczyzna rozmyślał nad projektem pompy ciśnieniowej, która mogłaby skutecznie wspierać wszelkiego rodzaju akcje gaszenia pożarów. Cóż... Wiosną wydawało mu się, że priorytetem jest zakończenie prac nad maszyną grzewczą, w końcu od tego zależało ich przeżycie. Teraz pojął, iż kluczem były surowce, a nie ich wykorzystanie, gdyby tylko zawczasu... Z teoretycznych rozważań, doskonałego sposobu na ucieczkę od rzeczywistości, wyrwał go nagle głos Prota.

– Wiem, gdzie on jest! A raczej będzie!

Mężczyzna obrócił się w stronę przybysza i zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem. Młodzieniec nie miał na sobie wierzchniego okrycia, więc najwidoczniej miał ważny powód, żeby wyjść w domowym ubraniu bezpośrednio na zewnątrz. Zdyszany, z umazanymi skrzepłą krwią rękoma, spoglądał błyszczącymi niezdrowo oczyma na rozmówcę.

– Dowiedziałem się – stwierdził, unosząc zakrwawione ręce – od niewolnicy o potajemnych kazaniach. Apostoł spotyka się z tymi zwierzętami od chwili gdy tu przybył, rzecz jasna ostatnimi czasy rzadziej i w większej tajemnicy.

– Chcesz go zabić?

– Oczywiście! A ty nie?

– Nie. Chce go złapać. Złapać i wydusić z niego wszystko co wie, każdą informację, każdy sekret. Dziwię się, że o tym nie pomyślałeś zaślepiony żądzą mordy, mój młody przyjacielu.

– Gadaj zdrów i tak wszystkich nas czeka śmierć...

– Nie! Nie wszystkich! – wrzasnął Heron, po czym dokończył cicho – ja nie umrę, o nie! Zbyt wiele się dowiedziałem przez całe swoje życie, mam jeszcze wiele pomysłów do opisanego, badań do przeprowadzenia. Chcę złapać Apostoła, zebrać grupkę obywateli i namówić inżynierów do podróży ku złożom węgla. W obecnej sytuacji przyjdzie nam przetrwać tam dwa do trzech lat. Po tym okresie względnej wegetacji wrócimy tu z zapasami i zaczniemy realizować mój pomysł dotyczący otworzenia stałego szlaku transportowego z kopalni do Babel...

– Mrzonki! – przerwał mu wściekle Prot. – To wszystko mrzonki, ty stary głupcze! Nie widzisz, co się stało? To koniec, przegraliśmy. Chcę tylko zemsty!

– A Nelda?

– Chcesz tę sukę? Proszę bardzo! I tak po naszej dzisiejszej zabawie pewnie poroni. Ja tej nocy idę odplacić Apostołowi za wszystko!

– On zabije cię w mgnieniu oka. Prot! Spójrz na siebie! Jesteś przecież inżynierem. Dla nas zdobywano pożywienie, chroniono nas i stawiano na piedestale. Przez pierwsze trzydzieści lat mojego życia tak o mnie dbano, że nawet się nie skaleczyłem! Myślisz, że miałbyś szansę w walce z kimś takim jak on? Kimś, kto przeżył poza miastem tak wiele lat?

– Zdobędę jakąś broń.

– Niby jak? Niemal cały zapas metalu, w tym wszelka broń, został przetopiony, żeby stworzyć moją maszynę grzewczą. I co weźmiesz? Drewnianą pałkę? I niby jak ją ukryjesz? Podejrzewam, iż zgromadzą wokół siebie wielu niewolników, nawet się tam nie zbliżysz. Myśl, Prot, jesteś inżynierem! Myśl rozsądnie!

– Nie cię szlag, stary głupcze... – wysyczał wściekle młodzieniec.

Zamachnął się, by wymierzyć cios, lecz mężczyzna był szybszy. Powalił przeciwnika silnym uderzeniem kolana w brzuch, po czym kopnął kilkakrotnie leżącego, dysząc przy tym ciężko. Na koniec splunął z pogardą i odszedł spieszonym krokiem w stronę swego domu. Młodzieniec wstał dopiero po dłuższej chwili, spoglądając wrogo na stojących najbliżej ludzi. Kilku obywateli wymieniło ze sobą ukradkiem parę uwag. Prot poczuł, jak ogarnia go wściekłość. Żałował, że nie może jej wyładować na Neldzie, lecz niestety dziewczyna przez najbliższe dni będzie bezużyteczna. Znów popsuł swoją ulubioną zabawkę. Zemsta na Heronie też niczego, prócz dodatkowych problemów, nie przyniesie. Pozostała sprawa Apostoła. Gdyby tylko przebrał się w szmaty niewolnika i jakoś zakradł się na spotkanie... Nagle na jego twarz powrócił uśmiech. Dlaczego od razu nie pomyślał o swojej ciotce? Ona na pewno

nie oddała swojego noża. Od dziecka mu pomagała, jej pierwszej zwierzył się ze swoich chorobliwych pragnień, to ona doradziła mu obranie drogi inżyniera, jako sposób na zdobycie siostry. Przekazała też kilka przydatnych ziół, dzięki którym wydatnie skrócił żywot rodziców. Zawdzięczał jej wszystko, chociaż musiał regularnie płacić za protekcję swoim ciałem. Ruszył szybkim krokiem, przypominając sobie, że od dłuższego czasu nie odwiedzał już krewnej. Zapewne staruszka ucieszy się na jego widok. I zażąda, jak zawsze, zapłaty. Jednak najważniejsze, to zdobyć nóż, wtedy pozbycie się Apostoła będzie o wiele prostsze. A kto wie, może od razu odpłaci ciotce za jej wieloletnią, „bezinteresowną”, pomoc?

Gładki czubek przesadnie wypolerowanego ostrza niezwykle powoli przesuwał się po zmarzniętym ciele. Szare, chytre oczy bystro wodziły za każdym jego ruchem, rozbłyskając lekko za każdym razem, gdy naciśnięte zbyt mocno zostawiało delikatny ślad na podrażnionej skórze. Staruszka pewną, zważywszy na swój wiek, ręką wodziła narzędziem po nagim ciele stojącej nieruchomo niewolnicy. Właśnie skończyła zataczać drobne okręgi wokół jej zeszywniałych z zimna sutków ze słowami:

– Mogłabym ci je odciąć, chciałabyś?

– Nie, pani.

– Wiem, że nie... Jesteś piękna, bardzo piękna... To by cię oszpeciło. A może

– mówiąc to nachyliła się nieco dotykając jednej z brodawek drżącymi z podniecenia ustami

– a może mogłabym je odgryźć, co?

– Mogłabyś, pani. Możesz wszystko.

– To prawda, to prawda.

Staruszka wyprostowała się, jednocześnie delikatnie muskając policzek dziewczyny tępą stroną ostrza. Była bardzo ostrożna, nie chciała jej oszpecić. Uwielbiała swoją zabawę, a kolejne dziewczyny które do niej zatrudniała również miały z tego nie lada korzyści. W końcu mogły jeść za darmo, do ich obowiązków należało jedynie stać nieruchomo przez kilkanaście minut, kilka razy w tygodniu. Oczywiście z początku się bały, lecz szybko przyzwyczajały się do jej gry. Były piękne, niemal tak piękne jak ona kiedyś. Mogła je podziwiać, drażnić ich nerwy widząc, jak powoli jej małe tortury zaczynały stawać się dla nich prawdziwą rozkoszą. Nie raz doprowadzała je swoim nożem do ekstazy. Dysząc ciężko patrzyły na nią z uwielbieniem, próbując przy tym za wszelką cenę wciąż pozostać

nieruchome, zgodnie z jej rozkazem. Niektórym z nich pozwalała zostać ze sobą na noc. Cudowne zabawki, dyszące z rozkoszy piękności. Też kiedyś taka była... Piękna. Spojrzała na cienką, zasuszoną skórę pokrywającą jej dłonie. Ten czas jednak dawno przeminął. Była już stara. Te młode, jędrne suki dostarczały jej wiele przyjemności, lecz ostatecznie i tak zawsze przychodził czas, gdy nie mogła się już dłużej oszukiwać. Podczas samotnych, zimnych nocy dotykała swojego zniszczonego czasem ciała. Wtedy zarzynała jedną z tych cudownych ślicznotek. Długo i boleśnie. Niszczyła je, tak jak kolejne lata niszczyły ją samą.

– Dosyć – stwierdziła kategorycznie. Możesz odejść, jutro – sękata dłoń staruszki na moment zatrzymała się przy łonie dziewczyny – dasz mi więcej przyjemności.

– Tak, pani.

Niewolnica oddaliła się pośpiesznie, ocierając ukradkiem pot skroplony na twarzy. Wychodząc z pomieszczenia minęła jakiegoś mężczyznę, który rzucił jej krótkie, pełne pogardy spojrzenie. Prot śmiało wkroczył do małego pokoiku, do którego wraz z ostatnimi promieniami słońca wpełzał ukradkiem chłód. Zamknął ostrożnie okno, spoglądając z dezaprobatą na staruszkę.

– Masz szyby, dlaczego zawsze otwierasz te przeklęte okna, ciociu?

– Nie zawsze było mnie stać na luksusy takie jak szkło. Wiele lat miałam tylko zwykłe okiennice, jak inni. Znasz mnie, uwielbiam swoje nawyki z młodości.

– Cóż, zapewne ci o niej przypominają.

Kobieta obrzuciła gościa nieprzyjemnym spojrzeniem, mówiąc oschle:

– Czego chcesz?

– Drobnej pomocy.

– Jak zawsze.

– Nigdy nie dostałem jej za darmo.

– O tak, mój drogi siostrzeńcu. Musiałeś się bardzo namęczyć, biedaczku.

– Już wtedy byłaś stara, a mój kutas...

– Nie bądź wulgarny, inżynierze!

– ... przypominał ci o straconej młodości. Nie mam czasu na cze gadki, chcę pożyczyć twój nóż.

– Kpisz!

– Potrzebuję go! Chcę zabić Apostoła, nie dam rady bez jakiejś skutecznej broni.

– Jeśli on zabije ciebie, stracę go na zawsze. Wiesz, ile dla mnie znaczy...

– Nie zabije mnie.

– Jesteś pewny siebie, jak zawsze! A jednak doskonale pamiętam, jak skomlałeś o radę i wyplakiwałeś się u mnie, opowiadając o swoich chorych chuciach.

– O tak! Byłaś na tyle wspaniałomyślna, żeby wykorzystywać mnie w zamian za każde swoje dobre słowo!

– Biedaczek... Kwiczałeś z rozkoszy, kiedy pozwalałam ci pieprzyć mnie jak szalony! Mnie posmakowałeś jako pierwszej, to ja musiałam wydawać swój majątek, żebyś zaczął nauki u Herona! Wszystko zawdzięczasz mnie!

– Myślisz, że sprawiało mi przyjemność wchodzenie w ten zasuszony worek pełen kości? Napawałaś mnie obrzydzeniem, od kiedy pierwszy raz musiałem zostać u ciebie na noc!

– Och wybacz mi, wielki inżynierze, że bez pomocy starej, paskudnej cioteczki byłbyś teraz nikim! Nikim! Ja zaspokoilaam twoje potrzeby i chore ambicje, ty zaspakajales mnie. To czysty układ, który w dodatku zerwałeś, gdy tylko poczułeś władzę!

– Szkoda mi czasu na kłótnie, daj mi nóż!

– Zapomnij.

Prot pośpiesznie zrzucił z siebie ubranie, mówiąc z pogardą:

– Chcesz mnie? Bierz!

Staruszka obrzuciła jego ciało krótkim, pożądlwym spojrzeniem. Mężczyzna zbliżył się szybko, spoglądając prosto w rozpalone oczy kobiety. Delikatnie ujął ją za dłoń, po czym skierował ją w stronę swojego przyrodzenia. Widział jak nieznacznie przymknęła powieki czekając, aż jej palce osiągną celu. Młody inżynier błyskawicznie wykorzystał tę chwilę chwytając ją za drugi nadgarstek, uważając przy tym na dzierzony w tej dłoni nóż. Z impetem rzucił się ku ścianie, uderzając w nią ciałem zaskoczonej kobiety. Ogłuszona uderzeniem, natychmiast wypuściła oręż. Prot podniósł go z ziemi, po czym aż po rękajeść zatopił w ciele nieszczęsnej kobiety, tuż pod mostkiem. Wyjął gwałtownym ruchem ostrze, pozwalając ciału bezwładnie osunąć się na ziemię. Ubierając się, rzucił krótko:

– Może to pchnięcie w końcu cię zaspokoi, ścierwo.

– Gghhh... – wysyczała ranna, wypluwając niezdarnie napływającą do ust krew.

– Ty... życzylabym... zee... byś... dożył starości... i poczuł... co ja... ale... ty zdechniesz szybko...

– Żegnaj.

Mężczyzna splunął z pogardą, po czym pośpiesznie opuścił dom krewnej, ukrywając

starannie swój cenny łup. Tymczasem przy konającej kobiecie klęczała już jej niewolnica, drżącymi rękoma głaszcząc umierającą po głowie. Zrozpaczona, szeptała jej do uszu:

– Jesteś piękna pani, najpiękniejsza! Piękna, piękna, piękna...

Po suchej, pomarszczonej skórze policzków popłynęły łzy, a z drżących ust wydobył się ledwie słyszalny szept:

– Jesteśmy... tylko kwiatami... skarbie... zerwane... wędniemy...

Dziewczyna z przerażeniem spojrzała w puste, pozbawione życia oczy swej pani. A więc teraz była wolna? Skuliła się w kącie, poprawiając niedawno przywdziane ubranie. Została tu sama, mogła korzystać ze zgromadzonych zapasów i przetrwać tu tydzień, może nawet dwa. Bezwiednie przesunęła dłonią po policzku, jeszcze przed kilkunastu minutami drażnionym przyjemnie przez ostrze obłąkanej staruszki. Łkając cicho niewolnica zaczęła myśleć, co właściwie ma począć ze swoją wolnością.

Noc okazała się znacznie chłodniejsza, niż to sobie wyobrażał młody inżynier. Już od bardzo dawna nie musiał opuszczać swojego domu po zmierzchu, w dodatku w tak lichym ubraniu. Wyglądał jak typowy niewolnik i przy odrobinie szczęścia, jeśli będzie pozostawał z dala od jakiegokolwiek źródła światła, nie powinien zostać rozpoznany. Dochodziła północ, gdy ostrożnie zbliżał się do widocznych w oddali zabudowań. Prowizoryczne, ceglane baraki stanowiły pierwsze budynki wzniesione przez ich przodków nim przystąpili do budowy Babel. Do niedawna służyły okresowo jako magazyny, ale gdy przed dwoma laty pozbawiono je wszystkich łatwopalnych elementów podczas akcji odzyskiwania surowców, pozostały tylko reliktem przeszłości. Prot przeklinał się w myśli. Przecież już dawno powinien wpaść na to, że takie miejsce może stanowić dla Apostoła idealną siedzibę. Chłód stawał się dla pałającego żądzą mordy młodzieńca nie do zniesienia, więc zaniechał wszelkiej ostrożności i szybkim krokiem ruszył ku zabudowaniom.

Na miejscu, o dziwo, nie zastał nikogo, spenetrował uważnie wszystkie budynki, czując przy tym narastające, nieprzyjemnie drętwienie w okolicach wszystkich stawów.

– Dziś nie nauczam.

Prot obrócił się, błyskawicznie dobywając noża. Kilka metrów dalej, wsparty bez troski o mur, stał Apostoł z przyjaznym, chociaż w pewien sposób irytującym uśmiechem zastygłym na ustach.

– Niewolnicy stanowią bardziej zżytą społeczność niż przypuszczasz, młody inżynierze. Wiedziałem, że dziś planujesz mnie zabić. Wprawdzie nie spodziewałem się tego, iż uda ci się zdobyć broń, ale na szczęście sam zrezygnowałeś z elementu zaskoczenia dobywając jej przedwcześnie.

– Nie bądź taki pewny siebie, fanatyku!

– Nie wierzę zbyt w własne siły, lecz polegam na wsparciu udzielonego mi z innego źródła.

– Skończ tę farsę. Chcę wiedzieć kim jesteś...

–... nim cię zabiję, tak? Jesteś banalny, mój drogi Procie. Zawsze postrzegałem cię jako rozkapryszonego dzieciaka, który nie potrafi zapanować nad własnym ciałem.

– Skąd znałeś skład chemiczny materiału wybuchowego?

– Mądrość – tu mężczyzna zadął nieznacznie głowę spoglądając ku zasnutemu ciemnymi chmurami nieboskłonowi – z góry.

Prot zacisnął mocniej palce na rękojeści noża, czując jak ogarnia go wściekłość. Ten przeklęty głupiec śmiał z niego drwić! Musi jak najszybciej zranić go na tyle, by mężczyzna nie stanowił już zagrożenia. Potem zabierze go do siebie i wyciągnie wszystkie potrzebne informacje, cięcie za cięciem wysączy z Apostoła wszystko...

– Podnieciłeś się? Sądząc po wyrazie twojej twarzy wnioskuję, iż albo wyobrażasz sobie coś skrajnie lubieżnego, albo zbrodniczego. W twoim wypadku oba te aspekty stymulują cię w tym samym stopniu, czyż tak? Mam rację? – spytał pobłażliwym, przesadnie troskliwym tonem Apostoł.

– Zabije cię, ty chora kreaturo!

– Nie wątpię, że spróbujesz. Moje zadanie jest niebezpieczne, mam obnażać wasze słabości i wskazywać drogę ich pokonania. Gdy mieszkańcy tego miasta ostatecznie odrzucą od siebie wszystkie zwodnicze miraże i pokusy zrozumieją istotę swego położenia. Każdy jeden oddech człowieka, który żyje po skończeniu świata jest bluźnierstwem! A ty bluźnisz ponad to uleganiem własnej chuci. Zgwałciłeś, i czynisz to nadal, własną siostrę.

– I co z tego? Apostole, ja żyję w nowym świecie, a ty należysz do starego i tak jak on ulegniesz zagładzie. Ja cię zgładzę. Tymi rękoma. To ludzie tacy jak ja zbudowali to miasto, nie bali się opuścić podziemnego grobowca i zacząć wszystko od nowa. Jestem pewien, że kilku zostało w podziemiach a ty jesteś ich bezpośrednim potokiem, tak?

– Nadal nic nie rozumiesz, moje pochodzenie nie ma znaczenia.

– To ty nic nie rozumiesz! Chcesz, żebyśmy się po prostu poddali? My, ludzie? Byliśmy, jesteście i będziemy dominującym gatunkiem na tej planecie. Przetrwaliśmy prawdziwą zagładę, a ten twój koniec świata nigdy się nie wydarzył. Ten świat jest nasz i dopóki my żyjemy nie możesz mówić o jego końcu! Walczysz przeciwko naturze, własnemu gatunkowi! I dlatego musisz umrzeć.

– Chcesz mojej śmierci, bo przeszkadza ci moja osoba. Już samo to, że wiem więcej od ciebie sprawia, że mnie nienawidzisz. Nie próbuj podbudowywać się wielkimi słowami przyjacielu. Nawet najpiękniejsze, to zawsze słowa. Jesteś opętany żądzami i ślepą wiarą we własne możliwości. Nie jesteś nawet w stanie myśleć o porażce, dlatego jej widmo, w postaci mojej osoby, wywołuje u ciebie tak gwałtowne uczucia. Kogo nienawidzisz? Mnie? Siebie? Tego co robisz? Dominujący gatunku, zniszczyłeś niemal wszystko! Nad czym chcesz dominować? Nad tą trawą pod naszymi stopami? Nad minerałami?

– Dostyc tej rozmowy, nie przekonamy się wzajemnie do niczego.

– Nie chce cię przekonać, lecz poinformować. Jestem Apostołem, moim zadaniem jest przekazywanie informacji, nie wcielanie ich w życie.

– Wspaniale! Przyjąłem do wiadomości! Mam położyć się na ziemi i umrzeć.

– Masz zrezygnować z daremnego oporu i błagać o przebaczenie. Błagać! Ukorz się, a twoje winy zostaną przebaczone i ponownie uzyskasz szansę na zbawienie.

– Widzę, że mamy skrajnie różne metody, ale cel ten sam, Apostole. Obaj nie akceptujemy rzeczywistości. Ty próbujesz zastąpić ją inną, ja nauczyłem się kontrolować tę.

Rozmówcy spojrzeli na siebie z wrogością, czekając, aż któryś z nich pierwszy zaatakuje. Apostoł uważnie przyglądał się ostrzu przeciwnika. Musiał być ostrożny, bardzo ostrożny. Prot wprawdzie nie wyglądał na doświadczonego wojownika, jednak był młodszy i w dodatku przyszedł tu niedawno, przenikliwy ziaęb nie zdążył dać mu się we znaki w takim stopniu jak koczującemu tu od prawie trzech godzin mężczyźnie. Gwałtowny atak całkowicie zaskoczył młodzieńca, który w panice machnął na odlew trzymanym kurczowo orężem. Ta desperacka obrona, o dziwo, przyniosła jednak pożądany efekt. Zraniony w przedramię mężczyzna zatrzymał się na moment, rozpaczliwie rozmyślając nad kolejnym posunięciem. Nagle na jego twarz powrócił wyraz błogiego spokoju. Drżącym głosem stwierdził:

– Ta krew przypomniała mi, że żyję tylko dla mojej misji. Raniony, w pierwszej chwili pomyślałem o ucieczce, ratowaniu się. Ale zostanę, zbawię cię choćby kosztem własnego życia. Proszę!

Mówiąc to Apostoł rozłożył szeroko ręce pokazując, że jest gotów przyjąć kolejny cios. Prot natychmiast zaatakował, wbijając ostrze głęboko we wnętrzności przeciwnika. Natychmiast wyszarpnął je i odskoczył, spodziewając się kontrataku. Tymczasem mężczyzna nadal stał nieruchomo, z trudem maskując cierpienie. Młodzieniec uśmiechnął się szeroko.

– To jakieś poświęcenie? Dasz mi się zabić, żebym ja dostał zbawienia?

– Niezupełnie, przyjacielu.

Apostoł, z nadludzką mogłoby się wydawać szybkością, ruszył na zaskoczonego Prota, chwytając go za nadgarstek dłoni, w której dzierżył zakrwawiony nóż. Jednym, pewnym uderzeniem w skroń pozbawił przeciwnika przytomności. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył młody inżynier nim pochłonęła go ciemność, był ryczący z bólu Apostoł, który z całych sił przyciskał obie ręce do rany na swoim brzuchu. Później wszystko ucichło, ustępując pola błogiej nieświadomości.

Prot w pierwszej chwili po odzyskaniu świadomości zorientował się, iż w usta ma wsadzony knebel, a ponadto związane mu ręce. Zaraz po tym poczuł, że jest nagi. Widać jego ubranie zostało użyte do sporządzenia więzów. Musiał myśleć logicznie. Musiał przetrwać! Powoli otworzył oczy. Nad nim klęczał nienaturalnie blady Apostoł, dzierżąc w dłoni jego nóż. Mężczyzna zakomunikował cichym, pozbawionym dawnej mocy głosem:

– Byłeś grzesznikiem, przyjacielu. Piłeś z... zatrutej studni. Zbawię cię... Nie będziesz więcej... poił się jadem... Odetnę... cię od źródła grzechu... Odetnę – tu podniósł demonstracyjnie nóż – to, co cię nieustannie kala – dokończył kierując ostrze w stronę krocza swojego więźnia.

Prot, pomimo knebla, wrzeszczał z całych sił. Kawałek szmaty nie był w stanie w pełni powstrzymać przeraźliwego krzyku, który, mimo iż mocno stłumiony, wypełnił okolicę. Trwał jeszcze długo po tym jak mężczyzna skończył swoim zabiegiem zbawiać więźnia. Okrzyk bólu szybko tracił na sile i po kilku minutach stanowił już tylko niemal niesłyszalne zawodzenie. Apostoł wstał, rzucając zbędne mu już narzędzie na ziemię. Czuł się słaby, bardzo słaby. Ból wzmagał się z każdym jego krokiem. Nagle poczuł jak upada, uderzając twarzą w ziemię. Znalazł jeszcze dość sił, aby odwrócić się na plecy. Spoglądał na czarną chmurę odcinającą go od upragnionego widoku gwiazd.

– Nawet gdy idę... chodzę... doliną głębokiego cienia... – wyszeptał. – Ech... Nie pamiętam... dalej...

Chciał kiedyś przeczytać tę księgę w całości, lecz przez lata poszukiwań udało mu się

odnaleźć jedynie kilkanaście fragmentów, przy okazji trafiając na niezliczone, pozbawione dlań wartości dzieła naukowe, które mimo tego przeczytał. Czyżby jego misja miała dobiec tutaj końca? Zrobił przecież wszystko to, co ujrzał i usłyszał w snach. A teraz prowadzący go od lat głos milczał. Dlaczego? Czy zawiódł? Nie, to niemożliwe. Bez zapasów Babel upadnie, a ludzkość przeminie. Wrócą do swego Wielkiego Ojca, którego chwałę opiewać będzie czysta, odrodzona planeta.

– Spraw chociaż... żeby tak nie bolało... Nie... nie mogę o to prosić...

Resztkami sił wpatrywał się w płynącą powoli, czarną masę oddzielającą go od nieboskłonu. Dziś byłaby jasna noc, gdyby nie te przeklęte chmury. Musiał jedynie poczekać, aż przepłyną dalej. Tak bardzo chciał po raz ostatni zobaczyć te cudne, migające w ciemności diamenty. Gwiazdy, płonące olbrzymy.

– Więcej światła... – wybełkotał, pamiętając, że podczas swej wędrówki trafił na te słowa w jednej z setek na wpół zniszczonych ksiąg.

Gdy jedna z ciemnych brył, pchnięta silnym podmuchem lodowatego wichru, przesunęła się ku zachodowi, tworząc lukę dla jasnych promieni sierpowatego księżyca, jego blask padł na nieruchomego mężczyznę. Leżał na wznak pośrodku pustkowi, z pozbawionymi wyrazu, martwymi oczyma utkwionymi gdzieś w rozgwieżdżonym niebie ponad nim. Skrzące się na szklistej powierzchni gałek ocznych światło przybyło tu za późno. Po drugiej stronie galaretowatego narządu panował już bowiem gęsty mrok śmierci.

Heron z niepokojem obserwował ciemnoszare chmury pokrywające niebo. Już od trzech dni intensywnie przygotowywał się do wymarszu w towarzystwie dwóch innych inżynierów oraz trzydziestu obywateli wraz ze służbą i strażnikami. Od kiedy rozeszła się wieść o śmierci Apostoła i Prota, plan wymarszu i założenia czasowej kolonii przy złożach węgla znalazł poparcie wśród przeważającej części społeczności Babel. Bez defetystycznych wizji tajemniczego fanatyka ludzie znów odważyli się podjąć walkę o przetrwanie. Szkoda tylko, że pogoda tak gwałtownie przyspieszyła przygotowania do wymarszu, wplatając weń nutkę hysterii. Nagle do pomieszczenia wszedł jeden ze strażników. Inżynier przypomniał sobie, że przed kilkoma dniami towarzyszył on Protowi jako jego tymczasowy ochroniarz.

– Czego chcesz? – burknął gniewnie. – Przygotowania do wymarszu już skończone?

– Kończą się. Przyszedłem coś powiedzieć.

– To mów, byle szybko.

– Gdy patrolowałem ulice Babel, byłem ostatnim strażnikiem miasta i dużo myślałem. O mojej zmarłej służącej, o Apostole i inżynierze Procie, i o tobie. Później, gdy zebrałeś ludzi, żeby powiedzieć im o swoim pomysle, porozmawiałem z innymi strażnikami. A oni przyznali mi rację. Spodobał się im MÓJ pomysł.

– Jaki? O czym ty bredzisz?!

– Mówię o moim pomysle, żeby w kolonii strażnicy ustalali prawa razem z inżynierami, a obywatele i niewolnicy będą pracować. Obywatele przy pracach, gdzie trzeba więcej myśleć, niewolnicy mogą po prostu kopać i dźwigać.

– Bzdura – zaśmiał się mężczyzna. – Nie bój się, nie będziemy zmuszać was, strażników, do ciężkich prac. Od tego, jak sam powiedziałaś, będziemy mieć niewolników. Nie musisz martwić się...

– Już – mężczyzna zawiesił głos, szukając odpowiedniego słowa, po czym dokończył – zaakceptowano mój pomysł. Jest dobry. I będzie spełniony. Jesteśmy od was może i głupszy, ale za to silniejsi. Chcę, żeby codziennie mówiono mi po imieniu i mnie szanowano. Tak jak ciebie, inżynierze. Tak właśnie zdecydowałem.

Heron w milczeniu słuchał swego rozmówcy, z przerażeniem uzmysławiając sobie, że ten ma rację. Strażnicy od zawsze dostawali mnóstwo zapasów od miasta, byli najlepiej odżywionymi i najzdrowszymi spośród mieszkańców Babel. Do tej pory wybierano najgłupsze i najsilniejsze spośród niewolniczych dzieci, aby skutecznie wyszkolić ich do przyszłych obowiązków. Jednak nikt nie pomyślał o tym, iż nawet najgłupszy człowiek w końcu może się czegoś nauczyć.

– Inżynierze! Zgadzasz się z moim pomysłem i pójdziesz go ogłosić?

– A powinienem?

– Wy zawsze mogliście decydować o wielu sprawach. Zdecyduj więc. Ale tym razem, jeśli się pomylisz, będziesz płacić za swój błąd.

– Wiem. Zresztą, nie mam też nic przeciwko twojemu pomysłowi! W końcu kto teraz miałby odwagę go nie poprzeć?

– Pewnie jacyś odważni ludzie...

Przez moment zapanowała niezręczna cisza, którą przerwał inżynier, stwierdzając:

– Zwołaj obywateli i inżynierów. Przekażę im nowiny.

– Dobrze. Wiedziałem, że mnie posłuchasz.

– Skąd ta pewność?

– Bo wszyscy odważni ludzie, których znałem, już nie żyją.

Rosły mężczyzna zostawił swego rozmówcę z jego myślami. Heron nie wpadł w przesadne przerażenie, czy też rozpacz. Właściwie był zaskoczony własną reakcją. Po prostu pogodził się z całkowitym przeobrażeniem hierarchii społecznej Babel. Dotknął śladu przeszłości zdobiącego szybę. Kiedyś, raz w całym swoim życiu, był chyba odważny. Tak mu się przynajmniej wydawało.

– Teraz oni będą rządzić – wymamrotał – to wszystko.

Podszedł powoli do okna i pewnym ruchem stłukł szybę, natychmiast czując przyjemne pieczenie w rozciętej dłoni. Przez powstałą szparę do środka dostawał się lodowaty wiatr, chłodząc jego ranę. Spojrzał na nią z politowaniem i ruszył śpiesznie na poszukiwanie wody, żeby ją przemyć. W rozmowie z Protem skłamał, do tej pory nigdy nie widział własnej krwi, chroniący go przed rzeczywistością klosz władzy był na to zbyt szczelny.

– Żywy, mądry tchórz – mruknął z dezaprobatą, spoglądając na swoje zniekształcone odbicie w tafli wody.

Pozostać przy życiu, właściwie tylko to miało znaczenia, czyż nie? Chciał przetrwać tę zimę, a potem następną, i kolejną, aż do tej prawdziwie ostatniej.

I to wszystko.

Styczeń 2010

Zwycięzca

Zdezelowane, blaszane megafony niedbale przytwierdzone do betonowych ścian wypluwały z siebie doniosły, chóralny śpiew. Mężczyźni śpiewali nad wyraz uroczyście, zniekształconymi głosami płynącymi ze zniszczonej płyty.

– Wyroków bożych, pańskich... wyroków bożych... wyrok... wyrok... wyrok...

W szarym, pozbawionym okien pomieszczeniu zdenerwowany, siwy mężczyzna brutalnie podniósł igłę patefonu i po chwili, już znacznie delikatniej, opuścił ją na powierzchnię płyty. Z małego głośnika nad prostym biurkiem znów popłynął śpiew, sącząc się poprzez sieć podobnych urządzeń zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz podziemnego kompleksu. Dyrygent tej nieistniejącej orkiestry uśmiechnął się triumfalnie, rzucając siedzącej naprzeciw, sędziwej kobiecie pełne radości oświadczenie:

– No! I działa! A jak zdechnie, to wymienię. Mam jeszcze parę nowiutkich płyt.

– I na co to... – odparła bez entuzjazmu.

– A dlaczego, do cholery, nie?!

– Mikołaj, ty na stare lata całkiem już zdurniałeś.

– A idź w cholerę, muzykę zagłuszasz.

– Już nie śpiewają.

Istotnie, pieśń dobiegła końca, a małe pomieszczenie wypełniał jedynie przeciągły szum. Mężczyzna wyłączył aparaturę i do oznaczonego wyblakłą karteczką „Góra” gniazda podpiął mikrofon. Odchrząknął teatralnie i włączył urządzenie, natychmiast wrzeszcząc wprost do jego siateczki:

– Dzień dobry powierchnio! Dziś mamy dwieście czterdziesty dzień roku, godzinę piętnastą. Za kwadrans otworzymy windy, niech wasi przedstawiciele przygotowują się do zjazdu i odebrania pakietów żywnościowych. Przypominam, że kartek zniszczonych albo pokrytych antyrządowymi bazgrołami nie przyjmujemy.

Mikołaj Siergiejewicz Gawryłow wyłączył mikrofon i rzucił żonie wyzywające:

– Ha! Dostają żarcie i sprzęt, więc będą ochoczo słuchali wszystkiego, co im będę puszczał. Ta pieśń to już dla nich symbol!

– Rzeczywiście. Dzwonek na obiad.

– Zachowaj te reakcyjne uwagi dla siebie.

– Boże drogi... – kobieta machnęła ręką i odprowadzona okrzykiem „Trwam na tym stanowisku już całe dekady!”, wyszła z pomieszczenia.

Ruszyła przez szary, ponury korytarz oświetlony blado lampami, aby po chwili dotrzeć do liczącego kilka odnóg rozgałęzienia. Wybrała na oślep jedną z dróg i po chwili stanęła przed przerdzewiałymi, rozsuwanymi drzwiami. Nacisnęła, mocno już wytarty, gumowy przycisk otwierający windę. Z cichym westchnieniem przekroczyła próg jasno oświetlonej, przypominającej nieco klatkę, kabiny. Tablica rozdzielcza oferowała tylko dwie możliwości – „górze” i „dół”. Po chwili maszyna niosła swą jedyną pasażerkę do jej ulubionego miejsca w ponurym kompleksie. Drzwi rozsunęły się z sykiem, a słoneczny blask oślepił na moment Ninę, która przysłaniając rękoma oczy, wyszła na zewnątrz. Wsparta o metalową barierkę zaczerpnęła haust świeżego powietrza. Lekki, przyjemny podmuch bryzy sprawił, iż pokryte zmarszczkami policzki uniosły się, a rozchylone w uśmiechu wargi ukazały szereg nieco pożółkłych zębów.

Kilkadziesiąt metrów pod nią, u stóp wysokiej, betonowej wieży kłębił się tłum ludzi, których gwar dochodził aż na szczyt tej dziwacznej budowli. Staruszka rzuciła niedbale spojrzenie na zdezelowany, przytroczony do barierki licznik promieniowania. Wskazówka aparatu wskazywała nieco wyższy niż zazwyczaj stopień skażenia. *Być może nowe pokłady radioaktywności przyniosła ta przyjemna bryza* – pomyślała. Upięła niesforny kosmyk siwych włosów i wyjęła z kabury zabytkowy rewolwer. Zadbana broń przyjemnie błyszczała w słońcu. Sprawnym ruchem nadgarstka kobieta wysunęła na zewnątrz pusty bęben i drżącymi dłońmi wprowadziła nabój do jednej z komór. Płynnym ruchem zatrzasnęła mechanizm i energicznie zakręciła bębniem, po czym odbezpieczyła broń. Nie patrząc już na nią wydobyla z przedniej kieszeni pomięte zdjęcie przedstawiające młodą, śliczną dziewczynę w mundurze. Przez dłuższą chwilę dokładnie oglądała ten doskonale sobie znany obraz. W końcu schowała wyblakłą pamiątkę minionej urody do przegródki na sercu, jednocześnie przystawiając lufę do skroni. Po chwili namysłu ustawiła ją pod podbródkiem i szepcząc coś cicho pociągnęła za spust.

Młody mężczyzna szedł powoli przez opustoszałą równinę, klepiąc przyjacielsko kark wołu. Zwierzę leniwie ciągnęło drewniany wóz, na którym leżała czarna, metalowa skrzynia połyskując w popołudniowym słońcu. W powietrzu unosił się zapach morza, a gdzieś nad wędrowcem zapiszczała mewa. Ten spojrział tęsknie na swój ładunek prosząc:

– No Larysa, jeszcze trochę.

Silnym uderzeniem w zad zmusił zwierzę do większego wysiłku. Mająca w oddali sylwetka sławetnej Szarej Wieży wciąż była odległa, a nie miał zamiaru nocować poza murami podziemnej twierdzy. Przypuszczał, że prędzej skończyłyby mu się cenne naboje do przewieszzonego przez plecy sztucera, niż miejscowych opuściłaby ochota na pożarcie jego „wierzchowca”. Rzecz jasna, jeśli uda mu się uzyskać azyl w „niezdobytej warowni szalonego Gawryłowa” jak określali to miejsce wszelkiej maści wędrowcy.

– Hej! – czyjś krzyk zwrócił uwagę podróżnika, który rozejrzał się bacznie wokół, próbując namierzyć jego źródło.

Zmierzająca od strony morza sylwetka szybko urosła i nabrała kształtów, w końcu przybierając postać chudego, niezwykle wysokiego mężczyzny, który stanął kilkanaście metrów od celującego w niego nieznajomego. Spojrzał na pasące się zwierzę, po czym przeniósł wzrok na lufę broni i przyjacielsko oświadczył:

– Mówisz z obcym akcentem, skąd jesteś? Mów mi Maksymilian, tak w ogóle.

– Kim jesteś?

– Można powiedzieć, że celnikiem. A w każdym razie mam za zadanie dowiadywać się czegoś o każdym przyjeźdźnym. Mam nawet ze sobą stosowne dokumenty i ołówek!

– Dokumenty?

– Za tymi pagórkami, tam za tobą, zaczyna się strefa kontroli wytyczona przez Mikołaja Siergiejewicza Gawryłowa. Nie widziałeś znaków?

– Te betonowe słupy?

– A tak, przyjacielu, te betonowe słupy. Parę kilometrów stąd stoi nasza poczciwa Odessa, a raczej to, co z niej zostało. Nikt ci tam niczego nie da za darmo, więc jeśli chcesz dostać jakiś prowiant to musisz iść do Gawryłowa. A bez tych papierów imigracyjnych nikt cię tam nie wpuści.

– A jeśli mam swoją żywość?

– Zrób staremu wariatowi przyjemność, ja ci ten cały papier sam wypełnię. Gdyby nie on, to miasto nigdy nie podniosłoby się z gruzów. Więc ludzie znoszą jego drobne dziwactwa.

– No dobra. Czego ci tam trzeba?

– Podaj imię, nazwisko, narodowość, pochodzenie i cel wizyty.

– Wiktor Horton, Anglik, Londyn. Starczy?

– Mi tak. Cel wizyty?

– Szukam paru części i myślę, że tutaj je znajdę.

– No i wszystko. Idę do wieży, a ty pokręć się tu trochę, przed wieczorem nie masz po co tam iść. Dziś parzysty dzień, Gawryłow wydaje konserwy.

– Za darmo?

– O tak, w tym ich podziemnym światku jest miejsca i zapasów na tysiące ludzi na całe dziesięciolecie, a mieszka tam tylko on, żona i ze dwudziestu żołnierzy. A wszystko zaminowane, więc nie ma nawet jak tego odbić. Ale daje ludziom żarcie i części, więc jakoś to trwa. Przy odrobinie szczęścia dostaniesz wizę na dół, stary uwielbia słuchać opowieści ze świata. Bywaj.

Dziwaczny „celnik” odbiegł pośpiesznie, zostawiając swojego rozmówcę samego. Ten zaś powoli wyprzągnął obojętnego na wszystko woła i ostrożnie położył dłonie na swoim ładunku. Przynajmniej wszystkie zasłyszane po drodze pogłoski o rozkwicie Odessy były prawdziwe. A zatem istniała realna szansa, że właśnie tu znajduje się ostateczny cel wieloletniej wędrówki samotnego mężczyzny.

Przestronne pomieszczenie wypełnione książkami, równo ułożonymi na pokracznie wyglądających, metalowych półkach tonęło w mroku, który prysnął, gwałtownie przebity strumieniami blado-błękitnego światła. Nina Gawryłow odruchowo poprawiła rewolwer noszony w skórzanej kaburze przy pasie i nieśpiesznie zlustrowała wzrokiem swoją bibliotekę. Dziś nie miała nastroju do czytania. W ogóle nie miała ochoty na nic, jak zawsze po kolejnym nieudanym „losowaniu” na szczycie wieży. Tym razem spędziła na górze co najmniej cztery godziny, pogrążona w ponurych rozmyślaniach. Czuła, że teraz potrzebuje jedynie odpoczynku. Zgasiła światło i zasunęła toporne, metalowe drzwi. Niemrawo ruszyła betonowym korytarzem przed siebie, gdy nagle z małych głośniczków popłynął podekscytowany głos jej męża:

– Nina, Nina, chodź szybko do mojego biura! Mamy gościa!

Staruszka przez moment nie zrozumiała tego komunikatu, lecz nagle dotarło do niej każde słowo. Pośpiesznie maszerowała do znienawidzonego „biura”, małej ohydnej kanciapy, gdzie Mikołaj od wielu lat spędzał większą część dnia zajęty czytaniem raportów z rozwoju i odbudowy Odessy. Piszący bezbarwne ogłoszenia i wydzielający mieszkańcom niezbędne im części prostych maszyn zapomniał o wszystkim innym. A przynajmniej o niej. Natomiast ona musiała trwać przy nim, z wolna również obojętniejąc na wszystko. Gdy dotarła na miejsce, zobaczyła jakiegoś rosnącego mężczyznę, a w jej umyśle zakwitło dawno już nieużywane imię tego przybysza.

– Ach witaj, Maksymilianie – rzuciła miękkim, przyjaznym głosem.

Coraz więcej trudu sprawiało jej takie mówienie. Stare gardło skłaniało ją raczej do beznamiętnego, ochryplego tonu. Mimo to rozpaczliwie próbowała trzymać fason.

– Mój drogi Maksiu w końcu spełnił swój obowiązek, zbliża się tu do nas jakiś cudzoziemiec – obwieścił dumnie Gawryłow.

– Kiedy będzie? – spytała autentycznie zaintrygowana kobieta.

– Koło wieczora.

– Pojadę do niego.

– To nierozważne.

– Mam już tyle lat, że nierozważne jest nawet wstawanie z łóżka. Ty tu sobie siedź.

Chodź, Maksik.

Podstarzały celnik przez moment wahał się, co rusz spoglądając to na Gawryłową, to na jego małżonkę. W końcu usłużnie stanął obok niej przepaszając spuszczając wzrok.

– A idźcie w cholerę, tylko wróć przed kolacją. O...

– Dwudziestej, chyba już trzydzieści lat jemy o dwudziestej.

– Durna baba – rzucił mężczyzna, gdy odgłos kroków na korytarzu był wystarczająco odległy.

Czy jej tu źle? Żarcia w bród, ciepła woda, książki, nawet stary projektor. Wprawdzie podziemny kompleks rzeczywiście był obskurny, ale w końcu to wojskowy magazyn, więc nie będzie wyglądał jak kwiaciarnia, czy inne babskie cholerstwo. Powoli, ospale, podniósł się ze swojego fotela i z czułością nastawił gramofon, odłączając go uprzednio od zewnętrznej sieci. Chóralny śpiew zalał małe pomieszczenie, a stary mężczyzna przysiadł na blacie biurka i zaczął cicho nucić.

Staruszka szybko musiała zrezygnować z energicznego marszu. Z trudem łapiąc powietrze zwolniła do tempa spacerowego, mocno wczepiona w ramię wyrozumiałego Maksymiliana, Bóg jeden wiedział jak mu tam dalej było. Wściekła na samą siebie myślała o przytroczonym do pasa rewolwerze. Powinna naładować cały bęben, albo po prostu skoczyć z tej cholernej wieży. Szybko odgoniła te myśli. Była potrzebna Mikołajowi. Jedyne, co mogła robić, to swoje potajemne losowania, ostatnia niewiadoma w jej idealnie zaplanowanym, podziemnym życiu. Bardzo rzadko miała okazję po prostu wyjść na powierzchnię tak jak teraz i wędrować po okolicy. Właściwie mogła to robić bez przeszkód, lecz zawsze brakowało jej motywacji. Nie chciała spacerować sama, nigdy nie była typem

samotnika, chociaż los uparcie przymuszał ją do zaakceptowania takiego właśnie modelu życia. Z czasem to wszystko straciło na znaczeniu, bo ona przywykła już do wygodnej, podziemnej egzystencji.

– To on? – spytała wskazując odległą, niewyraźną plamę, która sprawiała wrażenie jakby była w ruchu.

– Tak, jedzie do nas.

– Na czym? Nie widzę stąd – wycedziła gorzko przez zęby.

– Ma wóz z wołem, a na nim jakąś skrzynię.

– Ach tak. Zatrzymajmy się na chwilę.

Kobieta usiadła na ziemi zagłębiając dłonie w bujnej trawie. Zapomniała już jak naprawdę pięknie było życie poza złotą klatką, w której trzymała ją już chyba nie miłość, a zwykle, starcze przywiązanie. Oddychała głęboko przypominając sobie męża, który co kilka dni gorączkowo sprawdzał, czy wszystkie, zresztą od lat całkowicie zbędne, filtry działają i „radioaktywne opary” nie przedostają się do wnętrza jego twierdzy. Głupiec zdziwaczały na starość. Starość... Wstała, nieco zbyt gwałtownie, z ziemi i zawyrokowała gniewnie:

– Chodźmy.

Miała skrytą nadzieję, że przybysz będzie kimś młodym, tak dawno nie widziała młodej twarzy. Ciekawe, co słyhać w wielkim świecie? Jak gdzie indziej ludzie radzą sobie z tym wszystkim? Musi pamiętać, żeby nie dręczyć go zbyt pytaniami. Pewnie jest teraz zmęczony, nazajutrz z pewnością będzie bardziej rozmowny. O czym to wspominał Maksiu? Ach tak, nieznajomy, Wiktor, Wiktor jakiś tam, szuka tu części. Mikołaj na pewno mu pomoże. Przy całym swoim dziwactwie prędzej oddałby obcemu ostatnią rację żywności, niż miał samemu się najeść. Wszystko już mu się mieszało. Przeszłość, fikcja, prawda, wszystko. Dobrze, że chociaż ją pamiętał. I może nawet coś jeszcze do niej czuł.

Wiktor Horton był mężczyzną w sile wieku, dobrze zbudowanym, opalonym, z długimi, brązowymi włosami związanymi z tyłu jakimś brudnym sznurkiem. Staruszka chciwie wpatrywała się w jego ostre rysy, porównując je z dawną sylwetką męża. Porównanie wypadało na niekorzyść tego ostatniego, ale jakie to miało teraz znaczenie?

– Więc będę mógł wejść? To znaczy otrzymam wizę? – upewnił się podróżnik.

– Tym się nie przejmuj kochany, wejdiesz bez problemu. W końcu będziesz ze mną.

Byli już prawie na przedpolach wieży, a do tej pory Nina więcej opowiedziała o sobie niż zadała nieznajomemu pytań. Czowała, że jej głos szybko słabnie, chciała więc szybko

zakończyć, przynajmniej na trochę, konwersację.

– Niczym się nie martw, w naszej twierdzy mamy wszystko, chociaż to paskudne miejsce. W sensie estetyki, bo wygód tam pod dostatkiem. Zjesz sobie porządnie, weźmiesz ciepły prysznic. Mój mąż jest trochę ekscentryczny, ale całkowicie niegroźny. Kiedyś, gdy to wszystko się zaczynało, mieliśmy grupę rekonstrukcyjną. Udawaliśmy dawno minioną epokę, taki uskok od nowoczesności. Teraz każdy zabiłby za cokolwiek z kołami zębatymi, a my wtedy przebieraliśmy się w stroje sprzed ponad stu lat, odtwarzaliśmy czerwonych i białych, wojna domowa w Rosji. My graliśmy czerwonych. Toczyliśmy właśnie „bitwę”, gdy dotarły wieści o prawdziwej wojnie, a potem spadły pociski. Mikołaj przeprowadził naszą grupę prawie trzy tysiące kilometrów, aż tutaj, do schronu. Jego ojciec był komendantem, ale zamknął się tutaj sam, nikogo nie wpuszczał. Odessa w tym czasie już spłonęła. Kiedy przyszliśmy wpuścił nas, przez kilka dni objaśniał działanie wszystkiego, a potem strzelił sobie w łeb. No i żyliśmy sobie pod ziemią przez wiele lat, aż pojawili się tu pierwsi osadnicy. Mikołaj im pomagał i pomaga do tej pory, tak zżył się ze swoją rolą „komisarza”, że właściwie już nie gra, chyba bierze to wszystko za prawdę, nawet czas inaczej liczy. Wszystkie te nasze rekwizyty przyniesione ze sobą traktuje jak jakieś artefakty. I...

– Ale chyba jest tu lubiany, w końcu wydaje żywność – stwierdził wędrowiec, widząc, że jego rozmówcy z trudem hamuje łzy, opowiadając o pogłębiającym się zdziwaczeniu męża.

– O tak! Każdy ma go za starego wariata, ale gdyby nie wydzielane przez niego zapasy, Odessa nigdy nie stanęłaby na nogi, albo ludzie wszystko zużyliby od razu. No, jesteśmy na miejscu.

Trzyosobowa grupa stanęła przed sporej wielkości betonowym hangarem, pośrodku którego wyrastała szeroka platforma zdolna zwieźć na dół co najmniej setkę osób. Stało przy niej kilku mężczyzn z karabinami i czerwonymi opaskami na ramionach, którzy zbierali kartki, trzymane przez tłoczących się wokół nich ludzi. Staruszka ruszyła pierwsza, a strażnicy uklonili się jej uprzejmie. Natomiast miejscowi natychmiast wbili wzrok zarówno w nieznanego, jak i jego wóz.

– No, jedźcie na dół, ja jeszcze trochę pospaceruję – zawyrokowała kobieta, oddalając się w stronę wyjścia.

Jeden z mężczyzn z opaską również stanął na platformie i trzymając w obu dłoniach pliki kartek, nakazał włączenie windy, krzycząc przy tym do ludzi:

– Ci z żywnością dostaną przydziały dzisiaj, reszta przyjść po zamówione towary jutro koło południa. I pamiętać że bez pokwitowań odbioru kartek z urzędu w porcie nie wydajemy zamówionych rzeczy!

Platforma sunęła na dół, wywołując wyraźne podenerwowanie u nieszczęsnego zwierzęcia, które natychmiast zaczął uspokajać jego, co prawda również niespokojny, właściciel. Spytał przy tym towarzyszącego mu celnika:

– Jak to wszystko działa? Chodzi mi o miasto i ten magazyn.

– Normalnie. W mieście jest biuro, gdzie można, za pokwitowaniem, brać zezwolenia. Ktoś przychodzi do nas z takim zezwoleniem, my je zabieramy, na dole sprawdzamy czy jest jego pokwitowanie i wydajemy rzeczy. W ten sposób on ma to, co chciał, a do nas wraca zezwolenie. Na każdego człowieka jest przydział żywności, co dwa dni, a raz w tygodniu może też zamawiać jakieś części. Norma jest tak zawyżona, że z jednego takiego przydziału wystarczy żarcia i rzeczy na dwudziestu ludzi, więc nie przychodzi do nas każdy mieszkaniec Odessy tylko przedstawiciele poszczególnych domów.

– Od kiedy to trwa?

– Od samego początku. Część z nas wyszła z tych podziemi, jak pojawili się nowi ludzie i pomaga sporządzać listy tego, co potrzeba w mieście, mają jeden z katalogów tego, co tu jest zgromadzone.

– I to się sprawdza?

– Oczywiście, że nie. Teraz przychodzą głównie kupcy, którzy mają układy z naszymi. Biorą towar i go sprzedają w mieście. A potem oczywiście muszą się nam odpowiednio odwdzięczyć.

– Co na to Gawryłow?

– Nic, nie wie o tym. Żyje w swoim świecie.

– I nie boisz się o tym wszystkim opowiadać mnie, obcemu?

– A co ty możesz? Nawet jak mu o tym powiesz, to stary ci nie uwierzy, bo weźmie cię za szpiega albo sabotażystę.

Platforma stanęła w obszernej, choć niskiej podziemnej hali oświetlonej neonami. Maksymilian stwierdził na koniec:

– Większość tych, co przyszło z Mikołajem i Niną już poumierało, teraz rządzi tu już drugie pokolenie. A staruszkowie mają po prostu poważanie.

– A ty, kim jesteś?

– Po prostu każdy wie, że trzeba być dla mnie miłym. To się zwyczajnie opłaca. Tobie też radzę to zapamiętać.

– W porządku. Co z moim wozem?

– Nie bój się, zostaw wszystko tutaj, broń też. Pójdiesz do Gawryłowa, pogadasz trochę i stary da ci wszystko, co chcesz. Wyglądasz mi na bystrego faceta, jeśli chcesz tu zostać mogę załatwić ci jakąś robotę. Dobrze strzelasz?

– Jak dotąd żyję, więc chyba wystarczająco.

– No tak... Dobra, chodź za mną.

Wiktor niechętnie zdjął broń i położył ją na czarnej skrzyni, której na odchodne rzucił jeszcze przeciągłe, czułe spojrzenie. Poznał dziesiątki miejsc takich jak to, gdzie wszystko sprowadzało się do skomplikowanych relacji. Ktoś spoza sieci tych powiązań zawsze był bezcennym sprzymierzeńcem, którego należy rozpieszczać. A potem przyjacielsko zlecić mu przewieźć „coś”, unieszkodliwić „kogoś”, zapłacić sowicie i wyprawić jak najszybciej w dalszą drogę, a czasem wysłać kogoś za nim, spróbować uciszyć. Dziesiątki miejsc, lata podróży. Wszystko przebiegało tak samo, zmieniały się tylko twarze, nazwy i krajobraz. Ale nie tym razem. Mężczyzna maszerując za swoim przewodnikiem po ponurych korytarzach podziemnego kompleksu czuł, że osiągnął kres swojej tułaczki. Uda mu się zrealizować cel swojej podróży tutaj albo nigdzie.

Siedzący za biurkiem, starszy mężczyzna od dłuższego czasu mierzył wzrokiem swojego rozmówcę. Wymianę grzeczności mieli już za sobą, nadszedł czas na konkrety. Wiktor, już od chwili przekroczenia progu małego „biura”, bacznie obserwował zachowanie gospodarza. Sędziwy „komisarz” sprawiał wrażenie znacznie bardziej bystrego i trzeźwo myślącego niż chcieliby jego podwładni. A może była to tylko gra? Zresztą wszystkie pozy i słowa Gawryłowa sprawiały wrażenie nieco sztucznych i wystudiowanych.

– A więc? – przerwał niezręczną ciszę starszy z mężczyzn. – Podróżujesz sobie po całym kontynencie w poszukiwaniu czegoś i masz zamiar znaleźć to właśnie tu?

– Tak. Dowiedziałem się, że w tej placówce wiele lat temu prowadzono eksperymenty ze stałym generatorem pulsacyjnym. A skoro tak, to musi być gdzieś głęboko pod ziemią i wciąż produkować energię.

– Spora wiedza jak na kogoś w twoim wieku!

– Siedem lat temu byłem jeszcze członkiem personelu badawczego w podziemiach Londynu, ale odkryła nas miejscowa ludność i wszystko rozkradła, cały sprzęt.

– I chcesz tu kontynuować swoje eksperymenty?

– Nie. Chcę tu tylko coś przechować, coś co nie wymaga dużo energii, ale potrzebuje stałego jej dopływu przez dłuższy czas. A twój generator pulsacyjny może jej dostarczać przez okres co najmniej kilku tysięcy lat.

– Tak... Owszem, mam tu generator, dobrze zabezpieczony. Skoro orientujesz się w tych sprawach, to wiesz, jakiego sprzętu byłoby trzeba, żeby otworzyć pomieszczenie ochronne. Do jego ścian są podpięte ekrany przechwytyjące, więc uzyskujemy akurat tyle energii, żeby zasilać całą twierdzę. Ludzie w Odessie muszą sobie radzić sami, zresztą mają prymitywną elektrownię wodną, jeśli dobrze pamiętam.

– Nie znasz kodu do pomieszczenia?

– Oczywiście, że znam. Dlatego ktokolwiek jeszcze liczy się tutaj ze starym wariatem Gawryłowem, czy jak tam mnie nazywają. Chcą się tam dostać, moc generatora w parę lat pomogłaby zrobić z Odessy metropolię, a w magazynach jest dość, bezużytecznej bez zastrzyków bezcennej energii elektrycznej, broni kinetyczno-dźwiękowej. Karabiny, działka samobieżne. Arsenał wystarczający, żeby stworzyć małą armię i podbić wszystko dookoła. A wojna to ostatnia rzecz, jakiej potrzeba w tym regionie.

– Wystarczy, że otworzysz pomieszczenie na chwilę, tylko tam wejść.

– Nie ma szans, żeby ktoś nie dowiedział się o tym, że tam pójde. Od lat tylko na to czekają. Jestem stary, nie zależy mi na życiu, więc nie mogą mnie w żaden sposób zastraszyć. Przykro mi, nie mogę ci pomóc. Zostań tu przez kilka dni, odpocznij, nabierz sił. Możesz też osiedlić się w Odessie.

– Przemyślę to.

Podróżnik opuścił pomieszczenie, żegnając się serdecznie ze swoim gospodarzem. Wracając ponurym korytarzem, skinieniem głowy przywitał czekającego na rozdrożu Maksymiliana. Wyraźnie słyszał czyjąś obecność pod drzwiami podczas ich rozmowy. Był zatem pewien, że mężczyzna będzie tu na niego czekał, zapewne z „interesującą propozycją”. Nie chcąc niepotrzebnie przedłużać całkowicie jasnej sprawy, zapytał cicho:

– Słyszałeś wszystko?

– Tak. Pewnie miałeś już takie sytuacje, ty pomożesz mi, a ja tobie.

– Pomogę ci zdobyć ten kod, a właściwie władzę, bo najwyraźniej wszystko rozbija się o to. Ty podepniesz moje urządzenie.

– Co to?

– Sarkofag. W środku jest zamrożone ciało.

– Ktoś bliski?

– Powiedzmy. Możesz sam zbadać pobór energii, naprawdę nie jest zbyt wysoki. Po prostu chcę, żeby to w spokoju przeleżało się parę mileniów.

– Dość ekscentryczne, ale nie mam nic przeciwko. Zrobi się to tak, żeby nikt inny o tym nie wiedział, tylko my dwaj. Po jakimś czasie każdy będzie brał to po prostu za część generatora. A kod od starego może wydobyć tylko jego żona. Dobrowolnie, albo użyta jako karta przetargowa.

– Rozumiem. Dlaczego nikt tego nie spróbował? Sentymenty?

– Jeśli *ktos* zacząłby tu prawdziwe rządy od zamachu stanu, to prędzej czy później inny *ktos* usunąłby i jego. Z tego, co wiem tylko ja chcę tu tak dużych zmian. Ale w gruncie rzeczy ludzie zaakceptowałyby je bez oporów, oczywiście gdyby nie musieli sobie brudzić rąk. Jeśli dobrze to rozegrasz, cicho, to może nawet nikt nie zorientuje się, co zaszło i prawdę wyjawię już po spokojnej śmierci starego.

– Chyba mogę już uchodzić za eksperta od rozwalania zastanych struktur. Gdzie mogę znaleźć staruszkę?

– Najlepiej dziś, około zachodu słońca, zwykle wyjeżdża wtedy sama na szczyt wieży. Nosi ze sobą rewolwer, ale z tego co wiem jest nienaładowany, w pasie nawet nie ma naboju. Chodź, pokażę ci gdzie możesz się umyć i coś zjeść, odpoczniesz trochę. Doprowadzę cię do windy jadącej na szczyt wieży, kiedy będzie trzeba.

Mężczyźni ruszyli przed siebie, milcząc. Tymczasem w swoim małym obskurnym gabinecie Mikołaj Siergiejewicz Gawryłow wpatrywał się w ekran pośrodku biurka, zazwyczaj zakryty kawałkiem czerwonej tkaniny przyłożonej plikiem gramofonowych płyt. Małe kamery, wyposażone w czułe mikrofony od lat były dla niego nieocenionym źródłem informacji. Wszystkie ukryte w małych głośniczkach, rozlokowanych po całym schronie, z których co pewien czas puszczał swoje „rewolucyjne pieśni”, aby w ten sposób usprawiedliwić konieczność ich istnienia. Genialny system, który wraz z kilkoma, dawno już zmarłymi, przyjaciółmi wprowadził „na wszelki wypadek” niedługo po zasiedleniu betonowej twierdzy. Wysunął szufladę i wyjął z niej mały, poręczny pistolet. Wybrał z pudełka kilkanaście naboju i załadował broń, chowając ją następnie do kieszeni munduru. Czuł, jak rosnące podekscytowanie stopniowo wyrywa go ze szpon marazmu. Schyłek tego dnia zapowiadał się nad wyraz interesująco!

Sędziwa kobieta z zaciekawieniem przyglądała się zamkniętym drzwiom windy, którą ktoś wezwał na dół. To było niespotykane, od lat nikt, poza nią, tutaj nie przychodził. Szczyt wieży pomiarowej zawsze był „jej miejscem”. Po kilkunastu sekundach nerwowego oczekiwania na przyjazd windy, stanął przed nią przybyły dzisiejszego popołudnia wędrowiec. *No tak, kto inny mógłby tu przyjechać?* – zbeształa się w myśli.

– Czego potrzebujesz? – spytała przyjaźnie.

– Chcę dostać się do generatora.

– Nie znam kodu. Tylko mój mąż może ci pomóc. A skoro jesteś tu, to najwyraźniej tego nie chce. Myślę, że nie ma sensu, żebym pytała o cel twojej prośby. Masz już przygotowane małe wystąpienie, co?

– Tak – mężczyzna uśmiechnął się ironicznie.

– Najpierw powiedz mi tylko jedną rzecz, jak sobie radzą ludzie, ludzkość?

– Dobrze. Większa część ludzi żyje normalnie na wsiach, mają patrole, coś na kształt lokalnej, ochotniczej milicji. W miastach jest niebezpiecznie, ale jakoś to idzie do przodu. Po prostu wszystko zwolniło tempo. Podróżowałam bez zegarka, daty ustalając już po przybyciu do jakiejś osady. Po tych latach tułaczki mam wrażenie, jakbym wędrował przez całe życie i widział wszystko.

– Pamiętam jak to się zaczynało. Początkowy strach ludzi przed nuklearną zagładą, a potem informacje, że nieliczne użyte taktycznie pociski jądrowe służą tylko jako zapalniki dla nowych bomb. Podpalanie powietrza, kto właściwie na to wpadł?

– Pewnie ktoś dobrze opłacany. Ostatecznie takie rozwiązanie było o wiele bardziej wyniszczające. Trzy, cztery pociski w jednym regionie, połączone pole rażeń i nowa eksplozja. Powietrze płonące jak sucha trawa i rozprzestrzeniające się we wszystkich kierunkach płomienie, wciągające tlen spoza obszaru eksplozji jak wir.

– Na początku, zanim wszystko się posypało, widziałam jedną z relacji w telewizji. Boże, jakie to było wtedy piękne! I pomyśleć, że w sumie spadło tylko kilkadziesiąt pocisków i ludzie na całym świecie nagle zaczęli się zabijać. Chyba każdy skrycie czekał na taki sygnał. Armagedon zwalniający od wszystkiego, od bycia człowiekiem.

– W Anglii, i pewnie na całym świecie, najbogatsi ludzie chcieli to jakoś przetrwać. Urodziłem się w takim miejscu. To było wielkie, podziemne miasto. A w nim, w ustronnych miejscach, stało kilkaset kabin hibernacyjnych. To byli wszyscy sponsorzy tego miejsca.

Zamrozili się, płacąc naukowcom grube miliardy za podtrzymywanie ich życia. Z tego sfinansowano nasze miasto. Chcieli się obudzić już po wszystkim, w nowym świecie. Ale ktoś w końcu znalazł do nas drogę, wdarli się ludzie z powierzchni.

– Kolejna apokalipsa?

– Tak, nasza mała, prywatna zagłada. Miałem wtedy może ze dwadzieścia lat, jakoś uciekłem. Tułałem się po świecie, uczyłem jak żyć. Potem wróciłem do ruin i znalazłem jedną nieuszkodzoną kapsułę z zamrożoną na kość dziewczyną. Nazwałem ją Larysa, po mojej matce, która, nawiasem mówiąc, była Rosjanką.

– I świetnie nauczyła pana języka.

– O tak. System podtrzymywania życia już dawno padł, działało tylko chłodzenie cząsteczkowe, więc na szczęście nie musiałem martwić się zdobywaniem jakichś substancji. Potrzeba mi tylko energii. Zabrałem sarkofag ze sobą i po prostu ruszyłem. Jego wewnętrzne generatory i bez zasilania pociągną jeszcze może ze trzy lata. A ja chcę, żeby to martwe piękno przetrwało znacznie dłużej. Może nawet całe milenia. Dlatego potrzebuję dostępu do generatora. Ta lodowa trumna nadawała sens mojemu życiu, była celem. A teraz chcę po prostu gdzieś odpocząć, zacząć znów liczyć czas. Widzieć w tym sens.

– Idealna opowieść po zachodzie słońca, gdy zapada zmierzch. Poruszająca odyseja w imię wiecznego piękna, wiecznej młodości.

– I nic dla ciebie nie znaczy.

– To nie tak. Naprawdę cieszę się, że mogłam ją usłyszeć, chociaż od pewnego czasu już wszystko we mnie umarło. Chcesz coś na stałe podpiąć do generatora i jakkolwiek to dla ciebie ważne, prawie święte, mnie nie obchodzi. Pomogę ci, bo jestem starą kobietą z miłą twarzą, która powinna pomagać w takich chwilach, nie z powodu tej historii. A teraz pozwól mi dokończyć ten wieczór po swojemu, chociaż do tej pory nie zdarzało mi się losować dwukrotnie w ciągu jednego dnia.

Sprawnym ruchem wydobyla z kabury swoją broń i zakręciła bębniem jednocześnie przystawiając lufę do skroni. Odbezpieczyła ją i pociągnęła za spust, dokładnie w momencie, gdy jej rozmówca chwycił za jej nadgarstek, szarpiąc go ku sobie. Rewolwer z głośnym hukem wypluł z siebie kulę, która ledwie o milimetry minęła swój cel. Wyrwany z pomarszczonej dłoni poszybował za barierkę. Przestraszona kobieta stała nieruchoma, czując jeszcze przyjemny zapach prochu. Dziś by się jej udało, dziś był ten dzień.

– Chodźmy – wychrypiała starczym, matowym głosem.

Przebudzony wystrzałem Gawryłow zerwał się na równe nogi, natychmiast czując ostry zawrót głowy. Świeże powietrze, które wywołało jego drzemkę, teraz go otrzeźwiło. Wiedział, że obcy najprawdopodobniej spróbuje przekonać, w ten lub inny sposób, jego żonę do współpracy właśnie tutaj, na szczycie wieży. Dlatego zaczął się wcześniej, aby ostatecznie, jak idiota, po prostu zasnąć. Dobył broni i wyłonił się zza rogu. Wyraźnie speszony spoglądał na spokojną Ninę i towarzyszącego jej przybysza. Kobieta machnęła niedbale ręką, mówiąc:

– Mikołaj, Mikołaj, co ty wyprawiasz. Oddaj to.

Mężczyzna posłusznie oddał broń, zaś staruszka niespodziewanie pocałowała go w policzek, stwierdzając:

– Pomóż temu Anglikowi, to dobry człowiek. I wybacz mi.

Cofnęła się o krok i w momencie, gdy dzwonek obwieścił przybycie widny, włożyła broń do ust i nacisnęła spust. Głośny huk poprzedził upadek bezwładnego ciała i pełen rozpaczony krzyk Gawryłowa. Wiktor stał nieruchomo, myśląc już tylko o tym, żeby ten incydent nie przekreślił jego planów. Ostrożnie schylił się i wyjął z bezwładnej, martwej dłoni broń. Lepiej było, żeby staruszek nie miał teraz przy sobie czegoś takiego. Przejęty „komisarz” nawet nie zauważył, jak przybysz ukrywa w kieszeni jego pistolet. Łkając, potrząsał bezwładnym ciałem, mamrocząc ciągle „Nina, Nina...”.

– Zwieźmy ją na dół – zawyrokował młodszy z mężczyzn.

Staruszek kiwnął głową i niemrawo pomógł w przeniesieniu ciała do środka jasno oświetlonej kabiny. Po chwili drzwi zamknęły się, a zgrzyt mechanizmu oznajmił początek długiej drogi na dół.

– Z windy nikt nie korzysta poza Niną, nikt jej tu nie znajdzie – stwierdził niespodziewanie owdowiały starzec. – Chodź, zanieśmy twoje pudło do generatora teraz, natychmiast. Póki mam jeszcze ochotę oddychać...

Gdy winda dojechała na dół, mężczyźni, nie oglądając się za siebie, opuścili kabinę i w ciszy ruszyli betonowym korytarzem. Wiktor nerwowo zagryzł wargi, czując jak przez plecy przebiega mu dreszcz. Każdy krok przybliżał go do zwieńczenia celu jego wieloletniej podróży. Dla ponurego, podziemnego kompleksu oznaczało to początek końca.

W dość obszernym, stosunkowo słabo oświetlonym pomieszczeniu słychać było

miarowy szum pracujących wytrwale maszyn. Ze stojących w kątach, mechanicznych gigantów wychodziło tysiące poskręcanych kabli, zakończonych małymi, owalnymi talerzami podpiętymi do betonowej ściany, za którą mieściła się pierwsza warstwa pomieszczenia ochronnego. Bezpośrednio do niego prowadziły małe, wyposażone w zaminowany, elektroniczny zamek szyfrowy, drzwi. Wyglądały jak wrota jakiegoś sejfu i właściwie tym właśnie były. Wiktor z rosnącym niepokojem spoglądał w korytarz za swoimi plecami. Gdy wraz z sędziwym „komisarzem” nieśli sarkofag, co chwilę trafiali na wpatrzonych w nich żołnierzy. Z całą pewnością Maksymilian wiedział już, co się święci i prawdopodobnie był już w drodze do tego pomieszczenia. Rozwój wypadków na pewno nie przypadnie mu do gustu, w końcu Anglik nie zdobył kodu, lecz jedynie skłonił starca do otwarcia pomieszczenia ochronnego. Myśl o tym sprawiła, że mężczyzna spojrzawszy zniecierpliwiony w stronę odpoczywającego Gawryłowa.

– Możesz już to otworzyć? – rzucił zniecierpliwionym, lekko poirytowanym tonem.

– Spokojnie, spokojnie.

Mężczyzna leniwie podniósł się z podłogi i niespiesznie wklepał kombinację cyfr. Odczekał chwilę, a następnie w kilku miejscach dotknął powierzchni wrót, które dopiero wtedy cofnęły się nieznacznie. Nim ostatecznie się uniosły, przez chwilę słychać było syk powietrza, gdy system wyrównywał różnice ciśnień.

– Gotowe, wnieśmy tam skrzynię.

Mężczyźni podnieśli sarkofag i weszli do ciasnego, liczącego kilka metrów i oświetlonego czerwonym światłem korytarza. Na jego końcu znajdowała się metalowa ściana z małą wnęką, w której umieszczona była czarna płytka. Idący przodem Gawryłow ostrożnie przykucnął, odkładając przód kapsuły na podłogę. Stał przed kolejnym zamkiem, muskając w kilku sobie tylko znanych miejscach powierzchnię tego dziwnego czytnika. Ściana przed nimi drgnęła, a kolejny, tym razem znacznie dłuższy odgłos wsysanego powietrza na moment przytłumił wszystkie inne dźwięki. W końcu cała, długa na kilka metrów groź zapadła się w podłogę, niczym gigantyczny, odsunięty właśnie skobel. Silne błękitne światło wypełniło cały korytarz. Mężczyźni ponownie podnieśli połyskującą, czarną skrzynię i wnieśli ją do obszernej hali, wewnątrz której stał wysoki na ponad dwadzieścia metrów sześcian. Jego powierzchnia przypominała nieco szkło, chociaż intensywny blask nie pozwalał wpatrywać się w nią zbyt długo. Dziwny, niemal niesłyszalny dźwięk dudnił nieprzyjemnie w uszach i płucach.

– Ja wychodzę, ty spokojnie uruchom swoją zabawkę – wymamrotał Rosjanin.

Wiktor odczekał chwilę, aby następnie podważyć delikatnie stosunkowo cienkie wieko, które uniosło się nieznacznie ku górze. Z wnętrza sarkofagu dobiegł mechaniczny głos:

– *Użyj swojego hasła.*

– Mewamegiddo.

– *Głos rozpoznany, hasło potwierdzone.*

Wieko z sykiem podniosło się ku górze, odsłaniając wnętrze sarkofagu. Mężczyzna z czułością wpatrywał się w swoje dziedzictwo. Powód, dla którego pojawił się na tym umarłym świecie. Wewnątrz pozbawionej obudowy ramy, do biegnących ukośnie pręseł z tworzywa sztucznego przytwierdzone były liczne obwody scalone spięte ze sobą luźno zwisającymi kablami. Pośrodku tego miedziano-krzemowego labiryntu spoczywał niewielkich rozmiarów ekranik, wyposażony w kilka przycisków. Od dziecka obserwował, jak jego ojciec całymi dniami śleczął nad stołem zawalonym elektroniką bądź dokumentami. W małym, podziemnym, odcięty od świata laboratorium, w którym dorastał, liczyło się tylko ta maszyna, „Wyzwalacz”. Szczytowe osiągnięcie niedocenionego przed wojną fizyka, genialnego samouka, iskry, która zapali świat. Wszystkie określenia, które nadawał sobie ojciec mężczyzny, odżyły w jego pamięci. Pamiętał też czułość starca, gdy podjął jego dzieło. Dumę bijącą z osłabłych już oczu, które obserwowały, jak zagłębiany w dokumentacji syn dokańczał dzieło życia swojego ojca. Nie pamiętając matki, młody chłopak powoli stawał się nie tyle cieniem ojca, co nim samym. Nawet imię otrzymał po swoim pierwowzorze. Wiktor Zwycięzca. Mężczyzna wydobył z wnętrza sarkofagu zwinięty kabel zwieńczony dziwną przyssawką i przyłożył go do powierzchni generatora. Macka przylgnęła do lśniącej powierzchni, a martwy dotąd ekran wewnątrz fikcyjnej trumny rozblęsnął zielonkawym blaskiem. Urządzenie zaczęło skanować swój cel, a jego współtwórca poczuł, jak oblewa go pot. Przez cały ten czas podążał za snem, który teraz z wolna spełniał się na jego oczach. Poczul na barkach ciężar wszystkich lat, które zajęło mu dokończenie powierzonego dzieła. I ostatnie siedem lat tułaczki w poszukiwaniu miejsca takiego jak to, podczas których wszystkich wokół, i siebie samego, oszukiwał niemal baśniową historią zamrożonego, wiecznego piękna. Choć w pewnym sensie był szczery, faktycznie niósł w swoim pancernym sarkofagu uszpioną śmierć.

– Skończyłeś? – spytał stojący w korytarzu Gawryłow.

Zza jego pleców dobiegł zniecierpliwiony głos Maksymiliana, żądający:

– Szybciej, wychodźcie!

Pytający wzrok „komisarza” padał na mackę i teraz przeniósł się na twarz Wiktora. Podróżnik u kresu swej drogi w pierwszym odruchu chciał zamknąć wieko, lecz zamiast tego sięgnął po schowany w kieszeni pistolet. Wyjął broń, odbezpieczył i przez ułamek sekundy celując niedbale, wypalił. Kula ugodziła w bok zaskoczonego Rosjanina, który osunął się z jękiem na ziemię.

– Niech nikt tu nie wchodzi, bo zabiję Gawryłowa i nigdy nie poznacie kodu! Dajcie mi pół godziny! – wrzasnął desperacko Wiktor.

– Za trzy minuty wszystkie przejścia zamkną się automatycznie – wychrypiął ranny.

Uzbrojony mężczyzna ostrożnie wszedł do tunelu i chwycił za kołnierz jęczącego z bólu zakładnika, ciągnąc go w stronę generatora. Na zewnątrz stał wściekły Maksymilian, który niezbyt pewnym głosem ostrzegł:

– Stary ma rację, lada chwila przejścia się zamkną i będziesz tam uwięziony na amen!

Wiktor przystanął i przestał na moment celować we wleczony przez siebie zakładnika, kierując broń ku celnikowi. Lufa z hukiem wypuła z siebie kilka pocisków, które gładko utkwily w jego piersi. Zaskoczony Maksymilian zwałił się na posadzkę.

Po chwili błąd Gawryłow leżał już oparty o wewnętrzną ścianę pomieszczenia ochronnego i lunatycznie wpatrywał się w jasny blask generatora. Nie słychać było żadnych ludzkich głosów, tylko szum pracującej wewnątrz sarkofagu maszyny oraz dziwaczny odgłos generatora. Wszystko wskazywało na to, że niedoszły władca „Szarej Wieży” przyszedł tutaj sam i u progu spełnienia swoich snów znalazł śmierć. Paradoksalnie zwycięzcę tej rozgrywki, Wiktora, czekał ten sam los.

– Naprawdę nie podałem pełnego kodu, to wszystko zamknie się za mniej niż minutę.

– Tym lepiej!

Sekundy ciągnęły się nieprzyjemnie, aż wszystkie dźwięki przytłumił na moment zgrzyt pracujących mechanizmów, które odcinały wnętrze pomieszczenia ochronnego od świata. Rosjanin westchnął przeciągle i z wyrzutem oznajmił:

– Co za parszywa śmierć.

– To nie potrwa długo, za mniej więcej godzinę Wyzwalacz zakończy swoją pracę. A wtedy wypuści impuls dezintegrujący spójność jądra wewnątrz generatora.

– Idioto, chcesz to wysadzić?! Maszyna sama zniszczy swoje sekcje, a ostateczny wybuch nie rozwali nawet tego pomieszczenia.

– Oczywiście, ale nie jestem głupi, mój ojciec też nie był. Przed wojną pracował wraz z setkami podobnych mu naukowców niższego szczebla. To właśnie praca tych wszystkich genialnych mrówek budowała wielkość znanych, precudownych uczonych. Znał te przekłete generatory od podszewki! W czasie wojny schronił się w jednym z laboratoriów rządowych razem z moją matką.

– Sam?

– Tylko z nami.

– No to gratuluję. Z tego, co opowiadał mi mój ojciec, takie laboratoria mogły służyć nawet i stu ludziom, a po zamknięciu otworzyć je można było tylko od wewnątrz. Twój staruszek po prostu skazał na śmierć wszystkich swoich towarzyszy, żeby uwić sobie przytulne gniazdko.

– Widać nie byli warci życia w tym miejscu. Trzydzieści lat budował to urządzenie, zanim osłabł na tyle, że nie był w stanie nawet wstać z łóżka. Potem przez dziesięć lat kontynuowałem jego pracę, a kolejne siedem spędziłem na szukaniu generatora, który byłby umieszczony w podziemiach, jak ten tutaj. I znalazłem.

– Brawo! Może lepiej wpakuj mi kulę w łeb, zamiast zadręczać tymi wspominkami.

– Nie możesz tego zrozumieć.

– Rozumiem bardzo dobrze. Większą część życia spędziłeś z szaleńcem, który z różnych dupereli składał, zresztą pewnie nieskuteczną, maszynę do wysadzania generatorów. Nic dziwnego, że też postanowiłeś wysadzać generatory.

– A kpij do woli, stary durniu. Wyzwalacz naruszy strukturę jądra w ten sposób, że zredukuje ono rytm do jednego powtórzenia. A wtedy cała energia natychmiast wypromieniuje w jednym pulsie. I to ukierunkowanym. Wszystko pójdzie w dół. Jeśli znasz się, chociaż w minimalnym stopniu, na generatorach to zrozumiesz teraz, o co nam chodziło.

– Wyzwolenie strumienia energii. To jest...

Ranny, pobladły mężczyzna zamilkł, wściekle zaciskając wargi. Widząc to, Wiktor oznajmił triumfalnie:

– Widzisz! W końcu to przy pracach nad pierwszym generatorem, jako efekt uboczny, odkryto zasady wykorzystane później do konstrukcji wyzwalanych jądrowo bomb zapalających. Teraz sam generator posłuży jako broń!

– Ty popierdolony fanatyku, chcesz zdestabilizować jądro ziemi!

– Teraz ja ci mogę bić brawo Jeden dokładnie skierowany strumień energii bez trudu

przebiję dolną, najsłabszą warstwę tego pomieszczenia. W końcu budowano je tak, aby nie wy dostało się na powierzchnię.

– Zniszczysz tym cały świat!

– Bzdura, tylko go zmienię. Kontynenty trochę powędrują, klimat poszaleje i za kilkanaście tysięcy lat wszystko się ustabilizuje.

– Po co? Po co?! Teraz, kiedy ludzie zaczynają jakoś sobie radzić, chcesz wszystko zaprzepaścić! Masz się za boga?!

Rosjanin podniósł się z miejsca, lecz kolejna kula, tym razem wymierzona w udo, powaliła go ponownie na ziemię.

– Spokojnie staruszk.

Wiktor wystrzelił jeszcze kilkakrotnie, nim suchy szczęk mechanizmów wewnątrz pistoletu oznajmił koniec naboarów. Spoglądał na nieruchome ciało swojego rozmówcy, teraz nie było już możliwości zakłócenia jego planu przez czynniki zewnętrzne. Spojrzał na ekran maszyny, który wyświetlał procentowy stan prowadzonej analizy. Zostało jeszcze trzydzieści siedem procent. To było jego własne dziecko, użyte zamiast powolnego badania rytmu zastosowanego przez jego ojca. Chociaż ostatecznie wszystko, co stworzył i tak zawdzięczał przekazanej mu wiedzy oraz pozostawionym notatkom. Mężczyzna usiadł naprzeciw sarkofagu i z uwagą oglądał świetlne refleksy na jego czarnej powierzchni. Nie znał nawet swojego nazwiska, przybrał je dopiero podczas wędrówki z „Larysą”. Nie był również nazywany „junioem”, ojciec mówił do niego tylko po imieniu, którego nigdy nie zdrabniał. Dwóch Zwycięzców, jedna całość, choć rozdzielona na dwa elementy. Nareszcie nastał czas odpoczynku. Po siedmiu długich latach tułania się po zwyrodniałym, opustoszałym świecie wypełnionym kanibalistycznymi ucztami, orgiami, negującym wszystko. Paradoksalnie to właśnie tutaj, w jedynym stabilnym miejscu, gdzie ludzie naprawdę zaczynali od nowa, znalazł klucz do zagłady. Cała ta sytuacja przypominała mu zdarzenie sprzed dwóch lat, kiedy wycieńczony, umierający z pragnienia, z połamanymi nogami leżał na dnie jakiegoś parowu oparty o swój beczenny ładunek i tonął we własnych majakach. Wyobrażał sobie twarz nigdy nieistniejącej, pogrążonej w martwym, lodowym śnie cudnej Larysy, z którą podróżował po świecie. Jego prawdziwa Larysa, matka, zniknęła, gdy miał ledwie kilka lat. Ojciec nigdy o niej nie mówił, a pytania zbywał milczeniem. Była jego własną mrówką w drodze do ostatecznego sukcesu. Mężczyzna wstał i nerwowo okrążył kilkakrotnie generator, sprawdzając na koniec postęp skanowania. Równe sto procent. Wystarczyło

potwierdzić, aby zmienić oblicze świata. I tak czekała go tu śmierć w zapomnieniu. Gdyby maszyna nie zadziałała, to może z czasem różni wędrowcy złączyliby ze sobą strzępy zasłyszanych opowieści. Powstałby dziwny poemat o człowieku, który przeszedł dziesiątki tysięcy kilometrów w imię unieśmiertelnienia piękna. Tak wiele razy powtarzał historię o zamarłej Larysie, sprawdzał każdy trop wiodący do kolejnych miejsc, gdzie ponoć wciąż działały generatory. Setki nocy spędził na potajnym łkaniu, chcąc samemu uwierzyć w to, tak piękne, kłamstwo o celu swojej podróży. Martwe, zastygłe Piękno. A teraz, na szczycie życia, u wrót spełnienia marzeń, musiał skoczyć w otchłań. Potwierdzić zadanie Wyzwalacza. Trafna nazwa dla tej maszyny, która go Wyzwoli. Serce dudniło mu jak oszalone, oto sam jeden stanął na dachu świata z mocą zmian w ręku. Dotknął ekranu, który mignął przyjaźnie i zgasł. Maszyna zamruczała przeciągle, a czarna powierzchnia ponownie rozblęła na zielono, ukazując liczbę czternaście, natychmiast zastąpioną przez jej poprzedniczkę. Wiktor odliczał na głos, patrząc oczyma wyobraźni na cały podległy mu glob, który miał ulec Zmianie. Jeśli maszyna zadziała...

Kwiecień 2011

Kroniki zagłady

Wygłodniały, skundlony wilezur ujadł zajadle, czując, podobnie jak reszta otaczających go stworzeń, wyraźny zapach pokarmu. Rozszczekany kordon oszalałych z głodu psów szczelnie otaczał stojący samotnie blaszany garaż. Na jego dachu siedział mężczyzna, nerwowo ścierając z twarzy irytujące strużki potu. Westchnął żałością i, ściskając swój przedarty, lecz wciąż sprawny plecak, spoglądał w bezchmurne niebo, z którego lał się niemiłosierny żar. W geście bezsilności zacisnął pięści tak silnie, aż poczuł ból. Rozgrzana blacha parzyła go, zmuszając do częstej zmiany pozycji, a oblegająca jego schronienie sfora doprowadzała do szaleństwa. Kiedy dzisiejszego ranka natrafił na spory zapas zgromadzonego przez kogoś prowiantu nie posiadał się ze szczęścia. Wśród wszelkiej maści puszek znalazł też kilka porcji suszonego mięsa, co wkrótce doprowadziło go do obecnej sytuacji. Raz jeszcze spojrzął z wyrzutem w stronę stojącego nieopodal samochodu, którym poruszał się od kilku ostatnich tygodni. Kiedy dostrzegł nadciągającą sforę zdecydował się pochopnie na bieg w kierunku najbliższego bezpiecznego punktu, zamiast pełnię sił spożytkować na próbę dotarcia do swojego pojazdu. Teraz, uwięziony na dachu coraz gorętszego garażu, niemal pozbawiony zapasów wody musiał czekać cierpliwie na odejście prześladowców, lub oddać wygłodniałym zwierzętom życiodajne zapasy. Leniwym ruchem sięgnął do plecaka, wydobywając zeń, mocno już wysłużoną, krótkofalówkę znaną w jednym z radiowozów. Penetrując to miasteczko już kilkakrotnie spotkał się z dużymi, wykonanymi czerwoną farbą napisami informującymi o częstotliwości, na której, podobno, ktoś nasłuchuje. Dotychczasowe kontakty z innymi ocalałymi nie przyniosły mu wiele dobrego, lecz w obecnej chwili nie mógł pozwolić sobie na luksus oczekiwania na rozwój sytuacji. Przewinął aparat na wymagany kanał i, ochryplym od nieużywania głosem spytał:

– Czy ktoś mnie słyszy? Odbiór!

Jednolity szum stanowił jedyną odpowiedź na to pytanie. Mężczyzna zaklął gniewnie, próbując jeszcze kilkakrotnie, w różnych odstępach czasowych, nawiązać kontakt. Dopiero siódma próba przyniosła oczekiwany rezultat. Po drugiej stronie odezwał się jakiś mężczyzna, który wolno cedząc słowa spytał:

– Kim jesteś? – głos nieznanego był leniwy i cichy, lecz było w nim również coś nieuchwytnie niepokojącego.

– Nareszcie! Słuchaj, jestem tu uwięziony, to znaczy jest jakiś plac i...

– Kim jesteś?

- Nazywam się...
- Nie o to pytam. Jaki był twój zawód przed zdarzeniem.
- Masz na myśli katastrofę?
- Czekam na odpowiedź, nie pytanie.
- Byłem dziennikarzem, początkującym, raczej amatorem.

Rozmówca wydał z siebie coś, co można było zinterpretować jako gniewny pomruk, lub zwyczajne westchnięcie. Przez dłużą chwilę w słuchawce słychać było jedynie miarowy szum, przerywany niespodziewanie zdecydowanym oświadczeniem:

- W porządku, dziennikarzu. Czego ode mnie potrzebujesz?
- Pomocy! Jestem na środku jakiegoś parkingu, czy czymś w tym rodzaju. Siedzę na dachu blaszanego garażu, jedynego tutaj. Wokół mnie zgromadziła się wataha zgłodniałych psów, nie mogę zejść!
- Czy nieopodal znajduje się stacja benzynowa z żółtą elewacją?
- Tak!
- Rozumiem. Czekaj tam, pojawię się niedługo. Bez odbioru.

Mężczyzna odłożył krótkofalówkę i westchnął z ulgą. Nagle upał stał się mniej nieznośny, a ujadanie psów jakby ucichło. Nadzieja na ocalenie, niczym łyk świeżej wody, pozwoliła samotnemu wędrowcy zebrać wewnętrzne siły. Nie miał bowiem żadnych wątpliwości, że chociaż wkrótce jego sytuacja ulegnie zmianie, to niekoniecznie będzie oznaczało to jej polepszenia. Ostrożnie zmienił ułożenie swojego ciała na rozgrzanej blasze i wydobyl z plecaka swój najcenniejszy skarb. Ostrożnie otworzył niezwykle gruby, kratkowany zeszyt, niemal w całości pokryty drobnym pismem. Z uśmiechem samozadowolenia zaczął czytać swoje notatki, kronikę wydarzeń od czasu katastrofy, aż do dnia bieżącego. Lektura pozwoliła uciec myślą od otaczającej go rzeczywistości. Przynajmniej na jakiś czas.

- Żyjesz jeszcze, dziennikarzu? – zaszumiała niespodziewanie krótkofalówka, wrywając mężczyznę z bezpiecznego świata wspomnień.
- Tak, tak.
- Co czytasz?
- Skąd wiesz, że czytam?

Odległy odgłos wystrzału poprzedził skowyt zranionego zwierzęcia. Przez chwilę w sforze zapanowało lekkie zamieszanie, lecz zapach świeżej krwi szybko zjednoczył

zwierzęta, które łapczywie rzuciły się na rannego towarzysza.

– Widzisz? Mogę pozbyć się twojego problemu. Albo ciebie. Ulokowałem się wewnątrz opuszczonego bloku, jakieś trzysta metrów dalej, dokładnie na wprost wejścia do garażu. I, jak zauważyłeś, jestem dobrym strzelcem.

– Czego chcesz?

– To bezcelowe pytanie. Czegokolwiek bym od ciebie chciał, mogę to mieć. Wystarczy, że cię zastrzelę. Jedyne, czego oczekuję, to rozmowa. Co czytasz?

– Mój pamiętnik. Chociaż to raczej rodzaj reportażu, tak myślę. Nazywam to kronikami zagłady.

– Kroniki zagłady? Do tej pory żałuję, że nie zacząłem spisywać czegoś takiego, gdy to wszystko się zaczęło. Przeczytaj mi kilka fragmentów, wybierz je na chybił trafił.

Mężczyzna westchnął ciężko, kartkując swoje notatki. Przez następny kwadrans spokojnie spełniał zachcianki nieznanego, odczytując kolejne fragmenty, aż w końcu człowiek, od którego zależało jego życie oświadczył poirytowany:

– Dość. To było... Dobrze. Zbyt dobre. Widzisz, ja sam lubiłem sobie od czasu do czasu coś popisać przed katastrofą, ale moje dzieła... nie zostały docenione.

– Pomożesz mi?

– Nie mogę pozwolić, by w tym mieście ktoś pisał lepiej niż ja. Widzisz, umysł artysty jest bardzo zaborczy. Zawrzyjmy układ. Spal notes, a zabiję te psy i pozwolę ci odejść z zapasami, które właściwie skradłeś z jednego z moich schowków.

– Co? Nie mam przy sobie...

– Za długo żyjesz żebyś ruszył się gdziekolwiek bez źródła ognia, wiem to. Po prostu spal ten notes.

– Nie.

– Odezwę się za dwie godziny. Bez odbioru.

Mężczyzna powstrzymał się od ciśnięciem krótkofalówką, wyładowując gniew na blasze. Niczym dziecko, oszalałe z bezsilności, walił nogami i rękami w dach garażu, krzycząc wściekle. Przez chwilę myślał nawet, że w ten sposób odstraszy otaczającego go psy, lecz te zaczęły jedynie głośnieją ujadać. Ten facet mógł zażądać od niego dosłownie wszystkiego, nawet notatnika. Teraz oddałby go bez wahania. Ale był czas, gdy ryzykował życie dla tego przedmiotu, a nawet zdarzyło mu się zabić dwie, w tym jedną w zasadzie niewinną, osoby aby tylko zagwarantować bezpieczeństwo swojej „kronice”. Dlatego nie mógł tak po prostu

zniszczyć cząstki siebie, ostatniego łącznika ze starym światem. Nauczył się już, że jego życie jest cenniejsze niż jakikolwiek przedmiot, ale nie byłby w stanie zrezygnować z notesu w ten sposób. Nigdy! Wiedział, że jego upór jest bezsensowny, a wręcz dziecinny, ale między innymi dlatego wciąż jeszcze żył. Był uparty. I nie akceptował porażek, nie ważne, czy w grę wchodziło przygotowanie kolacji, czy nierówna walka z napastnikami. Jego psychika, w dodatku wypaczona wydarzeniami ostatnich lat, nie pozwalała mu na rezygnację. Raz jeszcze dał upust swojej złości poprzez wrzask i, skulony w kłębek, na próżno starał się zająć czymś myśli.

Dwie godziny ciągnęły się w nieskończoność. Słyszał jak psy z wolna odchodzą. Po chwili jeden z nich zawrócił, ciągnąc za sobą całą sforę. Wiedział, że te zwierzęta nie ustąpią. Podobnie jak on, walczyły o swoje życie. Mokry od potu mężczyzna miarowo pocierał, miejscami lekko już poparzone, ciało, raz jeszcze zmieniając pozycję na rozgrzanej blasze. Poczul jak po policzkach spływają mu ciężkie, ciepłe łzy. Podjął decyzję. Chciał żyć. Niezgrabnie sięgnął po krótkofalówkę i wymamrotał do mikrofonu:

– Jesteś tam?

– Namysliłeś się już, dziennikarzu?

– Tak. Może po prostu zostawię ci ten zeszyt? Masz broń, przecież mógłbyś...

– Nie. Masz go spalić, chcę widzieć, jak niszczysz swoje dzieło.

– Sam byłeś kiedyś... pisarzem. Powinieneś wiedzieć jakie to trudne.

– Nie próbuj mnie przekonać. Dla wielu byłem tylko kolejnym grafomanem. Nigdy nie zostałem prawdziwym pisarzem, a przynajmniej nie takim, który żyłby z tego co chce, a nie musi, napisać.

– W tej branży to niemożliwe.

– Wszystko jest możliwe. Ludzie nie wierzyli kiedyś, że świat się skończy. A jednak to się stało. Wykończyło nas nasze drogie słońeczko, wystarczyła jedna, duża burza magnetyczna i nasze małe mózgi paliły się jak zapałki. Mamy masę szczęścia, że żyjemy. Nie zmarnuj tego.

– Zgoda. Zgoda ty gnoju, spalę ten notatnik! Widzisz? Wyciągam zapałki!

– Cóż... Nie spodziewałem się takiej decyzji.

– Ja też nie. Po prostu... tak bardzo chcę żyć. Widzisz, już odpalam...

Głośny strzał zaskoczył mężczyznę na dachu garażu. Z jeszcze większym niedowierzaniem spojrzął na, poszerzającą się, krwawą plamę pośrodku piersi. Spróbował

wstać, lecz natychmiast upadł, niebezpiecznie blisko krawędzi dachu. Z głośnika krótkofalówki dobiegł go pełen żalu głos:

– Naprawdę nie chciałem cię zabijać. Myślałem, że będziesz gotów umrzeć dla swojego dzieła, jak bohater. Nawet w takiej sytuacji wciąż nie ma na świecie bohaterów, ciągle tylko ludzie i ludzie.

Kolejny strzał rozbił czaszkę uwięzionego na dachu wędrowcy, którego ciałem wstrząsnęła seria skurczów, w wyniku których zsunął się na dół. Radosne piski psów zwiastowały ich rychłą ucztę.

Mężczyzna siedzący na balkonie opustoszałego bloku wyłączył krótkofalówkę i zabezpieczył broń.

– Szkoda – wymamrotał do siebie – naprawdę szkoda, miałeś świetny styl. Zostawię twój notatnik tam gdzie jest, może ktoś kiedyś wyjdzie na ten dach. Dziś, za tydzień, za sto lat. Tymczasem opiszę cię, twoją ostatnią przygodę, nieznajomy.

Z tymi słowami mężczyzna wyjął z workowatego, ręcznie uszytego plecaka duży notes, z kartkami osadzonymi na sprężynie. Zwilżył ustami krótki, dobrze zatemperowany ołówek i po chwili namysłu zaczął spisywać pierwsze zdanie powstającej w jego umyśle opowieści:

Wygłodniały, skundlony wilczur ujadł zajadle, czując, podobnie jak reszta otaczających go stworzeń, wyraźny zapach pokarmu.

Lipiec 2012

Dimetylotryptamina

(2011)

Dimetylotryptamina (DMT) – organiczny związek chemiczny, dwumetylowa pochodna tryptaminy, psychodeliczna substancja psychoaktywna.

Rewers

Głuchy warkot pracującego pełną mocą silnika wypełniał wnętrze skody. Samochód wytrwale piał się pod górę, otoczony ze wszystkich stron kurtynami śniegu, który sypał nieprzerwanie od ponad dwóch godzin. Skulony za kierownicą mężczyzna zerknął do tyłu. Suka collie grzecznie leżała na okrytym kapą siedzeniu, leniwie wpatrzona w drzwi. Uciążliwa jazda trwała jeszcze kilkanaście minut, nim auto ugrzęzło w śniegu pokrywającym cały, niemal pusty parking przed piętrowym pensjonatem. Kierowca opuścił postereunek, który zajmował przez ostatnie siedem godzin i pokonując odrętwienie nóg, ruszył ku tyłowi pojazdu. Wydobyl z bagażnika sporą, skórzaną walizkę, następnie otworzył drzwi swojej pasażerce. Zwierzę niechętnie opuściło nagrzane schronienie, ruszając za swoim panem w stronę drewnianego budynku. Para gości z ulgą przekroczyła próg *Zakłętego łowcy*, zostawiając za sobą szalejącą zamieć. Niedługo miał zapaść zmierzch, nadchodziła pierwsza noc ich wspólnej ucieczki.

Świeża, barwna pościel otulała nagiego mężczyznę, który delikatnie gładził bok skulonej obok suczki. Puszyste futro pachniało brzoskwiniami, chociaż jego właścicielka wciąż wydawała się mieć pretensje o urządzoną jej niedawno kąpiel.

– Wyglądasz prześlicznie – szepnął do ucha obrażonej collie.

Zwierzę jakby złagodniało, cichym popiskiwaniami dopominając się dalszych pieszczot. Mężczyzna figlarnie pstryknął ucho swojej partnerki, jednocześnie gładząc jej podbrzusze. Przez myśl przeszedł mu wyraz twarzy jego żony, kiedy dzisiejszego ranka zastała go w podobnej pozycji, zajętego zmysłową zabawą ze swoją kochanką. Kobieta nawet nie krzychała, po prostu kazała mu założyć ubranie i odjechać, zniknąć razem z collie. *Kiedy wrócę z pracy ma cię tu nie być, zwyrodnialcu!* – takie były jej ostatnie słowa, zanim trzasnęła gniewnie drzwiami, biegnąc do swojej gównianej, biurowej roboty. Biedaczka, nigdy nie potrafiła dać mu niczego poza swoim, dość zgrabnym, ciałem. Nie mieli wspólnych zainteresowań ani tematów do rozmów. Zwykle, gdy wpatrzeni w obraz wyświetlony na czterdziestocalowym, plazmowym gigancie milczeli, jego przyszła kochanka siedziała skulona u ich stóp. Właściwie nie wiedział, kiedy zaczął inaczej patrzeć na kudłatą domowniczkę, niemal zastępującą dziecko, na które rzecz jasna „nie mogli sobie pozwolić ze względu na koszty”. Do tej pory była to pamiątka z początku związku, kiedy po raz drugi stanął na ślubnym kobiercu, łudząc się, iż tym razem zazna więcej szczęścia. Po pięciu latach sympatyczna suczka zaczęła go pociągać bardziej niż własna, snobistyczna żona. Doskonale

pamiętał ten dzień, kiedy pewnego popołudnia wyszedł nago spod prysznic i przysiadł na sofie, odbierając telefon od natrętnego klienta, dopytującego się, kiedy ukończy tłumaczenie jakiegoś artykułu. Znudzone samotnością zwierzę wskoczyło wtedy na mebel, następnie bezceremonialnie kładąc się na jego kolanach. Ciepłe, okryte delikatnym futerkiem podbrzusze podrażniło jego zmysły. Był przerażony, gdy odkładając telefon czuł wyraźny wzwód. Zrzucił z siebie suczkę, która przysiadła na przednich łapach, być może po prostu chcąc się przeciągnąć. Poczul przyjemne drganie w kroczu na wspomnienie tamtej chwili, kiedy błyskawicznie przyklękał i, chwytając boki nieco zaskoczonej collie, wszedł w nią ostrożnie, po kilku chwilach czując większe podniecenie, niż w trakcie poprzedniego i obecnego małżeństwa. Szybko skończył, przy akompaniamencie różnych popiskiwań wyraźnie zadowolonej partnerki. Naszła go wówczas absurdalna, choć w zasadzie prawdziwa myśl. Przecież przez te wszystkie lata bacznie pilnowali swojego pupilka, żaden pies nigdy nie posiadał ich suczki. Dopiero on był pierwszym, który zakosztował uroków jej kształtnego ciała. Przeszłość umknęła, ustępując miejsca przepełnionej żądzą terażniejszości. Odrzucił kołdrę, delikatnym ruchem dłoni skłaniając partnerkę do zajęcia ich ulubionej i, jak dowiedział się z jakiejś książki o psach, najbezpieczniejszej dla niej pozycji. Szybko wszedł w rozochoczoną kochankę, która najwyraźniej zapomniała już o swoich dąsach, ochoczo dając swojemu panu to, co i jej sprawiało nie lada przyjemność. Twardość członka penetrującego wrota jej futrzanej świątyni utwierdziła ją w przekonaniu, iż minie trochę czasu nim poczuje w sobie lepki, ciepły dowód miłości swojego pana.

Światło poranka wlało się do pomieszczenia przez odsunięte rolety, przyjemnie grzejąc twarz śpiącego mężczyzny oraz pyszczek wtulonej w jego bok collie. Świt zastał wyczerpanych nocnymi igraszkami kochanków w kiepskiej formie. Trzymana dotąd w ukryciu namiętność sześciokrotnie dała o sobie znać, nim sen nareszcie zmorzył parę uciekinierów. Pierwszy wstał mężczyzna, z uśmiechem wyjmując z ust zawieruszony tam, złocisty włos. Podeszedł do okna i zerknął na tonący w białym puchu świat. Leniwym krokiem podeszedł do lodówki, po otwarciu której nie błysnęła radośnie żarówka. Wiedziony złym przeczuciem spróbował zapalić światło, co również nie przyniosło rezultatu.

– Nie ma prądu, skarbie – rzucił do ziewającej kochanki, która właśnie wstawała, wyginając swoje urocze ciało w porannej gimnastyce.

– Hau! – odparła raźnie.

– Zostań tu, ja zejdę na recepcję ustalić, ile potrwa usunięcie awarii.

Mężczyzna narzucił na siebie wymięte ubranie i ospałym krokiem ruszył ku drzwiom. Po chwili był już na dole, gniewnie wpatrując się w puste miejsce, które wczoraj zajmował przyjmujący ich właściciel. Nagle zauważył, że drzwi prowadzące na zaplecze wyraźnie noszą ślady silnego uderzenia jakimś tępym przedmiotem.

– Jest tu kto? – zawołał niepewnym głosem, raz jeszcze wduszając leżący na ladzie, pozłacany dzwonek.

Po chwili namysłu postanowił wejść do pomieszczenia, które prawdopodobnie padło ofiarą włamania. Ostrożnie ruszył w tym kierunku, próbując zachować spokój. Omal nie krzyknął, gdy przekroczył próg i zamarł, sparaliżowany widokiem zastanej tam, krwawej jatki. Wypatroszony właściciel pensjonatu leżał na wznak, wpatrzony niewidzącymi oczyma w sufit. Z rozprutego jakimś ostrym narzędziem brzucha nie wypływały wnętrzności, właściwie w ogóle ich nie było, jakby ktoś zabrał je jak jakieś monstrualne trofeum. Pełen obaw o los ukochanej mężczyzna rzucił się pędem w drogą powrotną do swojego pokoju.

Collie, cała i zdrowa, czekała na niego spokojnie zwinięta w kłębek pośrodku łóżka. Ten widok nieco uspokoił rozgorączkowanego mężczyznę, lecz do odzyskania pełnego spokoju wciąż sporo mu brakowało.

– Zbieramy się skarbie! – rzucił władcym tonem.

Nie minęło pięć minut, a para kochanków opuściła złowieszczy, napiętnowany zbrodnią pensjonat. Jednak już pobieżne spojrzenie na grubą warstwę białego puchu zalęgającego na wszystkim dookoła upewniło zrozpaczonego kierowcę, że jego maszyna jest uziemiona. Nawet pojazd z napędem na cztery koła miałby teraz spory problem, aby w ogóle ruszyć z zasypanego parkingu. Zrezygnowany, zawrócił w stronę wejścia, gwizdnięciem przywołując do siebie suczkę. Byli tu, przynajmniej na kilka najbliższych godzin, uwięzieni.

Wątpił, aby pługi dotarły tu szybciej niż przed późnym popołudniem, o ile dziś w ogóle zostaną tu skierowane. Po takiej śnieżycy z pewnością kierowcy mają masę pracy przy odśnieżaniu ważniejszych dróg, niż jedyny dojazd do górskiego pensjonatu. Co gorsza wszystkie telefony milczały jak zaklęte, co jedynie pogłębiło rozpacz mężczyzny siedzącego na sofie ustawionej naprzeciw recepcyjnej lady. Z księgi rejestracyjnej wyczytał, że od dwóch tygodni, poza nim, nikt się tu nie zatrzymywał. W końcu kto byłby na tyle szalony, aby, widząc fatalną ostatnimi czasy pogodę w górach, pchać się do miejsca tak odludnego jak to? Widząc smutek swojego pana, suczka zapiszczała żałośnie, liżąc szorstkim językiem dłoń, która od wielu miesięcy dostarczała jej rozkosznych pieszczot.

– Wracajmy do pokoju – zakomenderował władczo, czując, że chwila przyjemności pomoże mu odzyskać spokój.

Czekało go teraz ciężkie zadanie. Ktokolwiek zabił tej nocy właściciela *Zaklętego łowcy*, było wielce prawdopodobne, iż wciąż krążył w pobliżu. W końcu dlaczego miałby porzucać ciepłe schronienie na rzecz skrzącej się za oknami, śnieżnej krainy? Kto wie, może nie wiedział o obecności pary kochanków, która w tym odludziu szukała bezpiecznego schronienia przed światem, potępiającym łączące ich uczucie? Mężczyzna doskonale wiedział, że następnym krokiem, zaraz po zaspokojeniu palącej go żądz, będzie konieczność przetrząśnięcia pensjonatu w poszukiwaniu jakiejś broni, chociaż modlił się, żeby w najbliższym czasie nie była mu potrzebna.

Mrok miejskiej, późnowiosennej nocy przyczał się wszędzie tam, gdzie nie sięgały promienie elektrycznego blasku płynącego z latarni. Wśród pni unosiła się gęsta, rozświetlona na żółto mgła, która otulała kroczonego powoli, samotnego człowieka. Młodzieniec maszerował gniewnie przez park, zajęty myślami o mężczyźnie i jego psiej kochance uwięzionych w górskim pensjonacie. Zaczął pisać ich historię spontanicznie, bez wcześniejszego wytyczenia planu, pomijając próbę stworzenia charakteru postaci. Ot, idea, która może zwiędnąć równie nagle, jak zakwitła. Mimo to chciał chociaż spróbować rozwinąć ten dziwaczny płód w coś, jeśli nie wartościowego, to chociaż spójnego. Postanowił dokończyć opowiadanie, dlatego musiał przemyśleć kilka spraw. Tak było zawsze, wszystkie jego spontaniczne, jeśli już jakimś cudem do nich dochodziło, plany niemal natychmiast ulegały hierarchizacji. Wszystko należało poukładać, scalić, nadać jakieś ramy. Wciągnął nosem łagodne, nocne powietrze, wciąż naznaczone piętnem panującego od rana upału. Piąty dzień prawdziwie koszmarnych temperatur doprowadzał go do furii. Zajmowane przez niego mieszkanie na poddaszu było jednym wielkim piecem, wypełnionym zastałym, nagrzanym powietrzem i cierpkim fetorem jego własnego, nadmiernie toczącego pot ciała. Młodzieniec przystanął na moment, czując nawracające torsje. Podchodzące do gardła wymiociny przypomniały smak spożytej przed kilkoma godzinami kolacji. Wymioty męczyły go po każdym obfitym posiłku, a czasem odczuwał je nawet po niemal całodziennym poście. Oblizując spierzchłe wargi, przyspieszył kroku. Dziś jego wędrówka nie miała sensu, zwolnił nieco tempo, zerkając na zegarek, którego skórzany pasek ciasno oplatał mu nadgarstek.

Odruchowo przetarł spoconym kciukiem szybkę czasomierza. Utrzymując obecną prędkość dotrze do siebie za jakieś pół godziny. Powoli wypuścił przez na wpół zamknięte usta strumień powietrza, przeczesując przesadnie zadbanymi paznokciami kilkutygodniowy zarost. Chybotliwym krokiem parł przed siebie, ponownie śląc myśli do stworzonej w umyśle pary uciekinierów. Nastął czas na wprowadzenie kolejnej postaci.

Było już po trzeciej w nocy, gdy pukanie wyrwało młodzieńca z półsnu, poprzedzającego długo wyczekiwane wkroczenie w świat sennych fantazji. Wstając ostrożnie z posłania, poprawił przyklejoną do spoconego ciała piżamę i nie zapalając światła, ruszył ku drzwiom. Intruz zapukał raz jeszcze, nieco głośniejszym, lecz wciąż niepewnym głosem. Z łomoczącym sercem, młody gospodarz stanął przy drewnianej powierzchni, oddzielającej go od nocnego gościa. Biorąc kilka głębokich wdechów szeroko otwartymi ustami policzył do pięciu, nim ostro wymówił formułkę:

– Kto tam?

– Ja, synu.

Ojciec. Cię przeszłości stanął na progu. Pstryknięcie. Żarówka zabłysła, zalewając mały przedpokój swoim mdłym blaskiem, zamek szczęknął, zmrużone oczu obu porażonych nagłym światłem ludzi zetknęły się. Rzeczywistość wtargnęła do dziwnego światła stworzonego pod dachem starej kamienicy. Dojrzały mężczyzna, nieuchronnie dążący do przekroczenia progu półwiecza, wszedł szybko do środka, niezdarnie ściskając swojego jedyne go spadkobiercę.

– Synku, muszę umyć ręce.

Młodzieniec wskazał drogę do łazienki, czując jak, mimo pory, przeraźliwie normalne jest to najście. Zaraz zaproponuje coś do picia, zaczną rozmawiać, teraz albo rano. Stało się jednak inaczej. Stanął w drzwiach, wsparty o framugę patrząc, jak ojciec obmywa drżące dłonie. Rzeczywistość nagle uskokczyła, strumień różowej wody zniknął w odpływie, a zaschła krew, zwalczona przez kostkę mydła, schodziła ze skóry, walczącej jeszcze zaciekle o miejsce pod paznokciami i zarastającej je skórce. Wydobyty z kieszeni marynarki nóż szczęknął, wypluwając z boku purpurowe ostrze, które szybko oddawało strumieniowi przezroczystej cieczy swoją barwę. Rytuał potrwał jeszcze chwilę, nim kurek zakończył oczyszczającą kaskadę. Chwilę potem obaj zasiedli w kuchni, miejscu rozmów. Nastął czas wyjaśnień, które winien był mężczyzna, drżący obecnie jak trawiony chorobą dzieciak, całkowicie uległy swojemu osłabionemu ciału.

– Boże... Zaczę od tego, że dziś wróciłem do kraju i zostanę tu jakiś czas, trzy tygodnie, jak myślę. Chciałem zadzwonić, ale nie byłem pewien czy chcesz się spotkać. Twoja matka też przyjedzie.

– Po co jej tu?

– Rozwód. Za piętnaście dni mamy rozprawę. Nie widzieliśmy cię trzy lata... Pech, że z takiej okazji nasza trójka się spotka.

– Powiedz, dlaczego... Albo lepiej co ci się teraz stało?

Młody umysł powoli szukał słów, zaniedbywana od kilkunastu miesięcy umiejętność konwersacji, czegoś więcej niż prośba o siatkę w supermarkecie, czy odebranie czynszu od lokatorów tego, odziedziczonego po babci, budynku.

– Zabiłem kogoś – wyznał mężczyzna, zadając prawdziwie druzgoczący cios.

Syn poczuł narastającą rozpacz. Wiedział, że właśnie w tej chwili osłabł mu głos, a oczy zwilgotniały. Wszystkie noce ostatnich miesięcy, gdy snuł się po ulicach w płaszczu skrywającym zawieszoną pod pachą siekiere przepadły. Myśli, analizy, próby przełamania własnej niemocy, osady, dziecięce bzdury. Był tak szalenie odległy od realizacji swojego ukrytego przed światem zamiaru, który w jakimś amoku tej nocy spełnił jego ojciec.

– To był przebłysk. Jakiś... impuls. To... Kupiłem z nudów ten nóż dziś po południu na jakimś straganie. Nie wiem, może chciałem pobawić się nim w hotelu... Kiedyś lubiłem noże, chociaż w ogóle nie potrafiłem nimi władać. Jutro, a już dziś, teraz, miałem przyjść tu do ciebie. W nocy poszedłem na błonia, po północy prawie nikogo już nie było. Usiadłem trochę pomyśleć na jakimś murku, w całkiem ciemnym miejscu. Jakaś nastoletnia suka, wiesz, wydekoltowana, wyzwolona... Jezu... Minęła mnie, patrząc jakoś z naganą, jak to robi zawsze twoja matka. Z takim, po prostu, niezadowoleniem. W jakimś właśnie przebłysku rzuciłem w jej plecy małym kamyczkiem. Zawróciła. Stała przede mną, właściwie myślałem, że chciała coś zaproponować. Przerznąłbym ją na tym murku albo kazał spieprzać. A ona nawet nie powiedziała niczego, wystawiła ten swój środkowy paluch, wysyłając mnie do diabła. Głupi, filmowy gest. Jak jakaś małpa złapałem za niego i szarpnąłem. Aż wrzasnęła. Wstałem, rąbnąłem pięścią w jej szyję. Kaszłała dziko i wtedy wyjąłem nóż, wbiłem go jej, aż po rękojeść w plecy, trzymałem za włosy... Waliłem nim na ośle, jakbym szlachtował świnię, podziurawiłem ją całą. Zabiłem...

Zęby utonęły w dłoni, tłumiąc słowa. A młody umysł rejestrował wszystko, myśli łomotały wściekle o czaszkę. Czy sam mógłbym opisać coś takiego? Syn podziwiał doskonały

wywód, prawdziwie literacki, wyznanie przerażonego człowieka. To nie były już przymiotniki sklecane na laptopie, wyważony opis sytuacji. Jego własny ojciec zabił prawdziwie, bez przygotowań. Zwykle działanie, bez poprzedzającego go równania.

– Śpijmy. Jutro porozmawiamy – zawyrokował gospodarz.

– Ja chyba nie pójde się przyznać.

– Zobaczymy, co wykryją, teraz śpijmy.

Młodzieniec pomógł roztrzęsionemu mężczyźnie położyć się na grubym kocu, który rozciągnął dla gościa na podłodze. W elektrycznym świetle cały świat przestał istnieć, pozostało tylko to, co było wewnątrz tego mieszkania. Gdy żarówki pogasły, obaj natychmiast zasnęli. Zmysły zamarły, czekając, aż ciała powrócą za kilka godzin. Nadchodzący dzień będzie początkiem czegoś nowego, zupełnie innej płaszczyzny. Nigdy dobrze nie zbudowane relacje ludzi, ojca i syna, w kokonie nocy przybierały nowe kształty, rosła dla nich inna świadomość. Otworzą oczy, a wtedy przyjdzie czas na zbudowanie jakiegoś porozumienia. Byli już dla siebie kimś, teraz należało uściślić, unormować to, co właśnie połączyło skrycie marzącego z nieświadomym wykonawcą. Fasada więzów krwi straciła ważność, urodził się nowy sojusz, który czekał tylko na swój charakter, definicję. Śpiący mężczyźni zostali skazani własnymi pragnieniami na coś, czego unikali przez całe swoje życie. Nadchodziła szczerłość.

Stół, talerze z kanapkami i siedzący naprzeciw siebie krewniacy stanowili tło, punkt wyjścia dla kształtującej się przyszłości. Uspokojony snem Ojciec leniwie przeżuwał pokarm, zapijając herbatą każdy kęs pomazanego pasztetem chleba. W podobny sposób jadł Syn, choć znacznie rzadziej sięgał po kubek. Noc uspokoiła ich umysły, przywracając spokój ducha.

– Nad ranem padało – stwierdził niemal z dumą starszy z rozmówców.

– To zatrze wszystkie ślady.

– Otóż to. Wiesz, chyba mimo wszystko minie mnie wyrok.

– Mhm. Właściwie jakie to uczucie?

– Standardowe pytanie, co? Bo ja wiem, zaraz po tym wszystkim myślałem tylko, żeby mnie nie złapali. W zasadzie nadal się tego boję. Kiedy wbijałem jej nóż w plecy, zalała mnie adrenalina. Całkowicie. Jakbym nagle wypił za dużo kofeiny, rozumiesz? Krew dudni w żyłach, czujesz, jak wali ci serce i drżą dłonie. Nie żał mi tej dziwki, pewnie i tak prędzej czy później skończyłaby z brzuchem albo ciągnąc kasę z zasiłku. Powinni ustanowić w tym kraju jakąś policję obyczajową, czy coś w tym rodzaju.

– O tak.

– A tobie jak się żyje, synu? Co właściwie robisz, pracujesz gdzieś?

– Nie. Z czynszu mam furę forsy. Spłaciłem już swojego kumpla.

– Tego, co pożyczył ci na opłacenie tych notarialnych podatków, czy co to tam było?

– Dokładnie. Odkładam teraz na konto.

– Widzisz, moja matka chociaż po śmierci pokazała dobrą twarz. W sumie dobrze, że tobie dała tę kamienicę. Teraz pewnie żarłbym się z twoją matką o prawo do budynku.

– A jak u niej?

– Kariera, w której przeszkadzam. Wiesz, że sprawiałem problemy już jak zaczęła jeździć na te wszystkie zagraniczne kursy, wielka pani manager.

– I na cholerę jej to?

– A niech ma, w każdym razie nie wracam już za granicę, niech tam sobie rezyduje w wielkim świecie. Nigdy nie pasowałem do jej zasranych, światowych przyjaciół. Znajdę coś na miejscu, ale nie martw się, nie tutaj. Nie chcę ci przeszkadzać.

– Hmm...

Rozmowa dwóch stron tej samej momenty biegła stałym rytmem oświadczeń i potwierdzeń. Wzrok ojca stanął na wspartej o ścianę siekierze, padło prawdziwe pytanie:

– Sprzęt do obrony?

– Nie, właściwie od pewnego czasu chciałem kogoś zabić. Sprawdzić samego siebie.

Cisza była prawdziwa, konwencja złamana prawdą przestała istnieć, ustępując miejsca rodzącej się przyszłości. Ojciec, słownie nagi, piętnem przelanej krwi odcięty od argumentów, stwierdził prawdziwie niepewnie:

– Naprawdę długo się nie widzieliśmy. Rozumiesz, teraz, po tej nocy, nie mogę być dla ciebie żadnym autorytetem, ale dlaczego chcesz to robić?

– Jak powiedziałem, to rodzaj testu. Zawsze pociągała mnie śmierć. Do tej pory gasiłem to zastępstwami. Filmy, zdjęcia, splatterpunk, czyli taki rodzaj krwawych horrorów, przyjemnie brudnych książek.

– Nakręcałeś się jakby.

– Nie! Po prostu... To jak plaster nikotynowy, przylepiasz, żeby nie palić.

– Ale to nadal nikotyna.

– Nieważne, nie zrozumiesz.

– Zabiłem.

– W jakimś ślepych szale, wracając z popijawy, imprezy, czy cholera wie czego nastolatkę. To jak profanacja śmierci!

– Gównu możesz wiedzieć, teoretyzujesz sobie tutaj z głową napchaną jakimiś krwawymi śmieciami!

– Chcesz siedzieć?! Myślisz, że nie wysłałbym cię za kratki?

Celny cios słów zdruzgotał mężczyznę. Ojcostwo, wielkie prawo władzy, straciło moc. Dochodzący trzydziestki rozmówca nie był już synem, zyskał władzę tak nagle, że jej rozmiar był wprost absurdalny.

– Przepraszam synku...

– Nie! Gównu! Dość już mam tego waszego życia, zamiast bić matkę w ryj i rozkazywać pozwalałeś jej na te pierdoły z samorozwojem. A później przeprowadzka! Co z tego, że chodziłem do tej samej szkoły, skoro zamieszkałem w jakimś zasranym apartamencie! Kiedy tuż przed maturą byłem już przyzwyczajony do naszej przeciętności, zaakceptowałem, że wszystko jest w porządku i żyjemy jak każdy, wam zachciało się zabawy w wielkie państwo! Bogu dziękuję, że miałem na tyle rozumu, żeby zostać tu na studia, zamiast wyjechać do waszej złotej zagranicy! A teraz, dziś w nocy, masz mi pomóc kogoś zabić, albo zabiorę twoją dupę na komisariat i opowiem im o wszystkim!

– To... Boże!

Ojciec padł na blat i szlochając jak bezradne dziecko mamrotał zapamiętałe:

– Przepraszam za to wszystko! Przepraszam, zostawiliśmy cię... Boże...

Syn zamarł, przerażonym bolesnym, gwałtownym wyszarpieniem wszystkich żali, przez lata oplatających jego wnętrzności. Wypatroszony z własnych, szczerze zdradzonych myśli wstał z miejsca, klepiąc płaczącego mężczyznę. Stokroć przepraszany stał z wtulonym w siebie ojcem, śląc myśli ku matce. Widział jej zdjęcia z młodości. Roześmiana, wykrzywiona głupimi grymasami gęba. Beztroski ryj, umysł bez planów, młodość bez myśli o każdym następnym roku. W niczym, może tylko mniej prowokacyjnym strojem, nie była inna od tej nieznanym zabitej tej nocy.

– Tato, już dobrze. Nic do ciebie nie mam. To wszystko przez matkę!

– Nie, ona...

– Taka sama suka jak ta, którą zabiłeś! Wszystkie te roześmiane szmaty ślepych fartem chwytające z życia to, co należy się innym powinny umrzeć!

Nienawiść płonęła w słowach młodej strony monety, zaś jej rewers odpowiedział tą

samą nutą, tłumiąc już łzy, wzmacniając głos. Mężczyzna przemówił:

– Dobrze, zrobimy to razem. Wypatroszymy jakąś szmatę. Synku, chcę wiedzieć, czuć wszystko to, co ty. Nawet z tą siekierą w ręku chcę cię zrozumieć, nadrobić te wszystkie lata!

– Nigdy na ciebie nie doniosę, wybacz, co mówiłem.

– Nie, nie! To ja cię przepraszam, za wszystko! Nie nadawaliśmy się do takiego życia, ani ja, ani ty. Twoja matka kiedyś była inna, naprawdę. Cholernie beztroska, ale normalna, bez żadnych ambicji na jakiś sukces w tym bagnie.

– Mniejsza o nią. Przenieś rzeczy z hotelu, zostań u mnie przez te dwa tygodnie.

– Zrobimy to synu, jak dwaj faceci. Ojciec i syn! Ja mam bazarowy, ochrzczone nóż, ty weźmiesz swoją siekierę i też ją wykąpiemy. Nadrobimy w każdej minucie cały ten czas. Pójdiesz ze mną po rzeczy?

– Nie. Popiszę trochę.

– Co piszesz?

– Zaczynam coś. Po prostu historię. Nie wiem nawet czy to skończę.

– Będę mógł przeczytać?

Głęboki wdech poprzedził powrót młodzieńca do jego roli, Syn odpowiedział:

– Tak.

– To wspaniale. Idę po rzeczy, do zobaczenia.

– Pa.

Pożegnanie, szcęk zamka, kroki na schodach. Wspólnicy rozstali się, nastał czas przygotowań. Młody gospodarz przekroczył próg łazienki. Odpływ, który niedawno wchłonął rozcieńczoną krew, teraz równie ochoczo łykał na wpół strawioną papkę. Młody człowiek wymiotował długo, aż z piekącego gardła popłynęła już tylko żółć. Z ustami pełnymi oczyszczającej wody, stukając o ceramikę dygoczącymi palcami, znów zaczął przeraźliwie bać się samotności, niemocy. Odwlekany latami, wymyślony test przestał być fantazją, pokrzepiającą myślą przed zaśnięciem. Wielka, szalona ucieczka od rzeczywistości brutalnie sprowadziła ją w sam środek spokojnego życia. Tymczasem myśli przyszłego mordercy pomknęły ku nietypowej parze kochanków, których losy należało doprowadzić do końca.

Mężczyzna zerknął ku człapiącej u jego boku towarzysze. Po gwałtownym, porannym rozładowaniu napięcia oboje musieli być teraz niezwykle czujni. Śmierć zapanowała w tym

miejscu, a jej objęcia były ostatnim miejscem, gdzie para uciekających kochanków chciałaby trafić na początku nowego etapu swojego życia. W poszukiwaniu broni wkroczyli właśnie do kuchni, gdy panującą w tym pomieszczeniu ciszę przerwało przeciągłe warczenie. Brutalny dźwięk, tak niepasujący do delikatnej, piszczącej z rozkoszy suczki zaalarmował jej partnera. Nakazując posłusznej collie zostać przy drzwiach, pośpiesznie wszedł do małego pomaszczenia, niemal natychmiast znajdując powód jej podenerwowania. Młoda kobieta w, jeszcze do niedawna, nienagannie białym stroju przypominającym piekarski uniform, leżała rozczłonkowana na kafelkowej, pokrytej skrzepłą juchą podłodze. Wokół wypatroszonego, pozbawionego wnętrzości korpusu leżały ramiona, nieopodal strzaskane w kolanach nogi. Solidny tasak do mięsa wciąż tkwił głęboko w udzie, zapewne wbity tam po skończeniu krwawego dzieła. Bez chwili namysłu mężczyzna wyszarpnął z rany cenną broń, cofając się szybko z obrzydzeniem. Stanął przy zlewie, strumieniami lodowatej, mimo przekręcenia kurka z czerwoną kropką, wody płucząc zdobyczny oręż. Zgarnął jeszcze do głębokiego garnka sporo produktów niewymagających żadnej obróbki przed spożyciem, po czym ruszył ku drzwiom. Szybkim krokiem powrócił do recepcji i usiadł na schodach, kładąc obok pojemnik z jedzeniem i broń. Przywołał popiskującą żałośnie suczkę do siebie, czule przytulając przestraszone zwierzę. Tutaj byli względnie bezpieczni, a przynajmniej mogli natychmiast dostrzec zbliżające się zagrożenie. Mężczyzna głaskał mechanicznie puszystą sierść, wpatrzony w drzwi wejściowe. Jedyne co mógł teraz zrobić, to czekać cierpliwie na przybycie służb drogowych. O ile te w ogóle zmierzały dziś w stronę górskiego pensjonatu. A nawet jeśli, to wciąż istniało prawdopodobieństwo, iż przed ich przyjazdem przyjdzie mu stanąć twarzą w twarz z tajemniczym kolekcjonerem wnętrzości. Wsłuchany w głuchą ciszę wypełniającą wymarły budynek, aż podskoczył, gdy z piętra popłynęła nagle jakaś głośna, jazgotliwa muzyka. Był pewien, że jej źródłem nie była maszyna, ktoś grał na skrzypcach!

Dźwięki były chaotyczne, niepokojące, lecz na swój sposób melodyjne. Jak w transie mężczyzna wstał, ruszając w stronę źródła muzyki. Zdecydowanie bardziej zaintrygowana niż przestraszona collie sunęła krok przed nim. Stanęli przed pokojem na końcu korytarza, zza drzwi którego sączyła się niezwykła muzyka. Energiczne pukanie przerwało strumień dźwięków, zastąpiony przez gniewne pytanie męskiego głosu:

– Kto tam?

– Mieszkam parę pokoi dalej, pod trzynastką.

Po chwili drzwi uchyliły się lekko, a w powstałej szparze błysnęły podejrzliwe oczy,

osadzone w pokrytej głębokimi zmarszczkami twarzy. Staruszek wychrypiął przepaszająco:

– Nie wiedziałem, że ktoś dotarł tu w taką burzę.

– Przyjechaliśmy tu wczoraj.

– Jest pan z rodziną?

– Nie. To znaczy prawie. Tylko z psem.

– Och, collie! Cudowna rasa! To suka?

– Tak.

– Wiedziałem, ma bardzo wyraziste rysy. W każdym razie przepaszam za hałasy, mieszkam tu od dłuższego czasu i zawsze, kiedy wiem, że nie ma gości, pozwalam sobie na głośniejsze ćwiczenia.

– To bardzo specyficzna melodia.

– Podoba się panu?

– W zasadzie sprawia wrażenia zupełnie nieprzemysłanej, ale w jakiś sposób spójnej.

Jest w niej coś przykuwającego uwagę.

– To wielka fuga Beethovena, cudowne dzieło. Będę już cicho. Życzę miłego pobytu.

– Niech pan zaczeka! – niemal krzyknął mężczyzna, wracając myślami do makabry zastanej na parterze. – Ktoś zabił właściciela i kucharza!

– Co?!

– Leżą wypatroszeni jak ryby, tam, na dole! W budynku nie ma też prądu ani żadnej łączności ze światem.

– Proszę do środka!

Drzwi natychmiast stanęły otworem, a ubrany w zabawny, powłóczysty szlafrok frotte starzec zrobił miejsce dla wchodzących gości. Mężczyzna zajął miejsce w fotelu przy oknie, naprzeciw identycznego mebla opartego o ścianę. Suczka bezceremonialnie wskoczyła na łóżko i, kładąc pysk pomiędzy łapami, lustrowała wzrokiem pomieszczenie. Gospodarz usiadł na podłodze, nerwowo szczypiąc krótką, siwą bródkę.

– Boże jedyny – wymamrotał tonem, jakby rzucał jakieś siarczyste przekleństwo.

– Miałem tej nocy sen. To było chyba tuż przed świtem, a przynajmniej takie mam wrażenie. Widziałem cień, coś w rodzaju wędrującej otchłani, że się tak wyrażę. Sunęła nad podłogą, spełzła po schodach i wpłynęła do ust śpiącego na recepcyjnej ladzie właściciela. Facet wszedł do kuchni, a ja stałem przed jej drzwiami z zatkanymi uszami. Kiedy wyszedł, minął mnie, spokojnie wchodząc na zaplecze. Stamtąd znów wylazła ta czarna dziura, ale była

cięższa, jakby coś w sobie niosła. Potem wpełzła do jednego z pokoiów. Zerwałem się wtedy. Było już jasno, więc zacząłem grać, żeby jakoś uspokoić nerwy.

– Przecież to...

– Bzdura. Tak, wiem. Ale zapewniam pana, że w życiu widziałem wiele podobnych bzdur, a podczas podróży do Indii przez moment byłem pewien własnej śmierci, bo to, co oglądałem, nie mogło pochodzić ze świata żywych.

– Nie wiem co pan widział, ja natknąłem się na dwa trupy. Przy jednym nawet... Cholera! Tasak!

Mężczyzna wypadł z pokoju jak szalony, wracając już po parunastu sekundach z tasakiem w ręku. Zdezorientowana nagłym zniknięciem kochanka collie wyraźnie uspokoiła się, widząc go ponownie. Jej odczuć nie podzielał starzec, wyraźnie zaniepokojony widokiem dzierzonyj w dłoni swojego gościa broni. Ten pośpieszył z wyjaśnieniami, zapewniając gorliwie:

– Niech pan będzie spokojny! Znalazłem to przy kucharce i zapomniałem zabrać ze schodów, kiedy poszedłem za muzyką.

– Ach tak.

– Co do trupów to nie wiem, czy miał pan jakiś rodzaj proroczego snu, objawienia, czy czegoś w tym rodzaju. W każdym razie leżą tam, jak mówiłem, wypatroszeni.

– Wyssała je. Ta ciemność, którą widziałem!

– To był sen.

– A one mają moc.

– Może. Nie wiem, nie interesuje mnie to teraz. Chcę tylko spokojnie poczekać z moją suczką na przyjazd pługów, mogę to zrobić u pana?

– Oczywiście! Samotność to ostatnia rzecz jakiej bym sobie teraz życzył. A wygląda na to, że poza nami nie ma tu już żywego ducha. Boże... Może powinienem zamknąć drzwi.

Starzec pomrukując coś do siebie, przekręcił klucz w zamku i zasiadł w fotelu, wyciągając dłoń w stronę rozmówcy z prośbą:

– Pokaż mi ten tasak.

Otrzymaawszy broń, z zadumą spoglądał na ostrze, ostrożnie wodząc po nim palcami.

– Od kiedy pan tu mieszka? – spytał mężczyzna, żałując, że bez chwil namysłu oddał swoją broń.

– Parę miesięcy. Ostatnio to miejsce świeci pustkami, ostatni goście wyjechali chyba

trzy dni temu.

– Na pewno? W księdze rejestracyjnej nie było wpisów od dwóch tygodni.

– Jesteś cholernie głupi, człowieku – syknął wściekle starzec, zaciskając kościstą dłoń na rękojeści tasaka. – Masz rację, nie ma wpisów, bo się nie wymeldowali. Zginęli. Tak jak para przed nimi. To ja jestem właścicielem tego miejsca. Nie miałem żadnych kretyńskich snów i, co cię pewnie uspokoi, nie zabiłem swoich pracowników. To miejsce nie figuruje w żadnych przewodnikach, trafiłeś tu przez jakiś ślepy przypadek, prawda?

– Kiedy zaczął padać śnieg, spytałem jakiegoś miejscowego idącego poboczem, gdzie jest najbliższy zajazd.

– Widzisz, kiepskie miejsce sobie wybrałeś. Ci, którzy trafiają tu przypadkowo, zwykle giną przez własną nieostrożność. To miejsce dla wybranych, łowców. W każdą zimę przyjeżdża ich tu kilku, czasami niektórym udaje się nawet wrócić do domów. Przyjechałeś tu jakiś tydzień przed sezonem, ale i one przyszły wcześniej. A przynajmniej jeden. Zima zaskoczyła wszystkich. Zwierzyna już w okolicy, a myśliwi nie mogą tu dojechać, to prawdziwy pech, nieprawdaż?

– O czym ty bredzisz człowieku?

– Wiesz czym jest likantropia?

– Wilkołactwo?

– Gówna prawda! Co najwyżej w filmach. To choroba psychiczna, przekonanie, że jest się zwierzęciem. Kiedyś to miejsce tętniło życie, prowadziłem je razem z synem. Dziewięć lat temu zapadł latem na jakąś gorączkę, bredził w malignie przez kilka dni, potem doszedł do siebie. I znikł. Wrócił dopiero po dwóch latach, zimą, w towarzystwie watahy wilków. Myśli, że jest ich wodzem, a te bestie służą mu, bo jego, nawet zezwierzęcona, inteligencja pozwala im przeżyć. Robi to regularnie od tamtego czasu. Kiedy spadnie śnieg całe to wzgórze oblażą wyćwiczone przez niego wilki z okolicznej doliny, a on im przewodzi, jak generał. Przystałem prowadzić zajazd dla turystów, zamiast tego wynajmuję na te kilka śnieżnych miesięcy pokoje kłusownikom. To dla nich świetna baza wypadowa, za którą płacą krocie. Dzięki temu mam ochronę. I nadzieję, że któryś z nich zakończy wreszcie cierpienia mojego syna. Ale tej nocy on był tutaj, znacznie wcześniej niż zawsze. Mówiłem ci, nikogo jeszcze nie ma. On to WIE, widział też zasypane drogi. Te dwa trupy i sposób w jaki zabił to sadystyczne ostrzeżenie. Chce mnie dorwać tej nocy, a ty trafiłeś w sam środek tego piekła. Pewnie zginiesz, a twoją prześliczną sukę wypieprzy stado wilków.

– Co zamierzasz?

– Zdać się na to, co mam – odparł starzec, oddając mężczyźnie tasak. – Kłusownicy nie przybyli, czekają, aż drogi znów będą przejezdne, a to nie nastąpi wcześniej niż jutro. Tymczasem to ty będziesz mnie bronił. On wróci tu tej nocy, mówię ci! Pewnie zabrał flaki, żeby jego stado poczuło ludzką krew. I nie myśl o tym, żeby mnie wykończyć. To nie zmieni twojej sytuacji.

– W porządku, rozumiem. Co proponujesz?

– Tą zabawką możesz sobie porzucać do celu. Dam ci prawdziwą broń, dubeltówkę. Ale wszystko w swoim czasie, najpierw chodźmy wyrzucić stąd trupy. Potem zabarykadujemy okna i drzwi na parterze. Umiesz w ogóle strzelać?

– Tak, trenowałem trochę na strzelnicy. Głównie broń długa.

– Z celownikiem?

– Czasem, ale nie za często.

– Świetnie, poradzisz sobie ze strzelbą, dostaniesz też pudełko ślepaków, o ile je znajdę. Popołudniu postrzelasz trochę, żeby przyzwyczaić się do odrzutu. Ten sprzęt daje ostrego kopa. Ostrej amunicji mam ledwie garść, może dwie. W każdym razie nie więcej niż tuzin pocisków.

– W takim razie nie traćmy czasu, lepiej jak postrzelam teraz, póki jest jasno. Zajmie to mało czasu, a wyniesienie ciał i barykadowanie, to nie aż tak pracochłonne zajęcia dla dwóch osób.

– Racja.

– Ale najpierw nakarmię swojego psa.

– Jak zaczniemy przygotowywać sobie żarcie...

– Chcę tylko coś jej rzucić, my możemy być głodni, zjemy porządnie po strzelaniu i wyciągnięciu trupów.

– Traktujesz ją jak żonę, człowieku! Nie padnie przecież z głodu.

– Mam chronić twoją dupę, więc co ci szkodzi dać mi trochę cholernego mięsa dla psa?! Zawsze karmię ją rano i teraz też tak zrobię. Nie chcesz, żebyśmy tracili cennego czasu? No to mi pomóż!

Starzec rzucił jakąś nieartykułowaną obelgę pod adresem, wciąż leżącej grzecznie, suczki oraz jej właściciela, któremu gestem nakazał iść za sobą. Mimo wszystko ten intruz wyglądał na bystrego gościa i naprawdę mógł okazać się pomocny. A podczas nadchodzącej

nocy sędziwy muzyk gotów był przyjąć pomoc choćby od Diabła, byleby tylko, po raz kolejny, oszukać krążącą wokół niego śmierć.

Ojciec chrząknął z uznaniem, kończąc czytać ostatni akapit tekstu wyświetlonego na zakurzonym ekranie szumiącego spazmatycznie laptopa. Prosta historia o mężczyźnie i jego psiej kochance, uwięzionych w górskim zajedzie, którą tworzył jego Syn naprawdę była intrygująca. A może właśnie jego autorstwo nadawało jej tego uroku? Nie było to zresztą ważne, późne popołudnie zwiastowało już nieuchronny koniec dnia. Czekala go ciężka noc, musiał wprowadzić swojego potomka w świat, który sam ledwie musnął przed kilkunastoma godzinami. Obaj musieli mieć krew na rękach, taki był koszt nawiązanej pajęczej nici szczerości i zrozumienia. Tymczasem, jeszcze przez kilka godzin, miał pozostać ojcem, górować doświadczeniem. Potem zostaną współnikami. Lepsze to, niż izolacja, czy kłamliwa gra w dom, uskuteczniana, gdy ich trójka zaczęła żyć „na poziomie”.

– Dobry tekst – zawyrokował.

– Raczej dobrze się go pisze.

– Co będzie dalej?

– Napiszę, to się dowiem. To moja rozrywka. Myślałeś już, gdzie pójdziemy?

– Błonia. Jest tam kilka całkowicie pozbawionych światła miejsc.

– W porządku.

– Chcesz pogadać? Czy wolisz jeszcze popisać?

– Nie, na dziś już skończyłem. To tekst pisany od nastroju do nastroju, nic ważnego.

Możemy coś zjeść na mieście.

– Doskonale, chodźmy.

Obaj opuścili poddasze, wymieniając spokojnymi głosami przewidywalne zwroty, oczywiste słowa. Tej nocy, po raz pierwszy od wielu lat, mieli szansę osiągnąć w swoich kontaktach szczerość. Nie była wielka, lecz istniała. To wystarczyło, aby z niecierpliwością czekać na nastanie mroku. Tymczasem, mechanicznie opowiadając o fasadach toczonego osobno życia, pozwalali, aby ich myśli pomknęły ku sprawom ważniejszym od tych wyrzucanych ustami. Do zachodu słońca musieli sumiennie zaliczyć jeszcze jeden dzień rodzinnych kłamstw.

Kilka tonących w ciemności drzew, przy zapuszczonej ścieżynce biegnącej równolegle

do granicy krótszego boku miejskich błoni, dało schronienie dwójce ludzi. W tę ciemną noc, skuleni, wsparci o pnie, byli prawdziwie niewidzialni. Nocne, miejskie zjawy spragnione krwi. Syn siedział nieruchomo, czując, jak jego przemarzniętym ciałem po raz kolejny wstrząsa nieprzyjemny dreszcz. Wiedział też, że zeszywnienie palców nie było spowodowane nocnym chłodem. Mdłości znów powróciły, tym razem znacznie silniejsze niż zazwyczaj. Przesiąkł strachem. Nie czuł się teraz mężczyzną, a zahukanym chłopcem, który w nocy chciał sprawdzić własną odwagę. Zawiódł. Do tej pory miał co najmniej kilkanaście idealnych okazji do popełnienia zbrodni. Mimo to zawsze próbował odczytać coś z twarzy mijanej, niedosłej ofiary. Jakiś powód, niemal zachętę. Nigdy nie planował też zabicia kobiety. To byłoby coś zbyt prostego, jak pokonanie znacznie słabszego przeciwnika. Podobnie rzecz się miała z bezdomnymi. Szukał wyzwania, a przy tym unikał jakiegokolwiek ryzyka. Głupie, szczeniackie pomysły urosły do tego stopnia, że teraz naprawdę był tutaj gotowy zadać cios, bądź patrzeć, jak zrobi to jego ojciec. Wszystko nagle traciło sens. Prosząc o pomoc zniweczył całą swoją ideę. Zabije, i co z tego? Czy bezradne dziecko, po otrzymaniu zreperowanej, ukochanej zabawki może powiedzieć „Naprawiłem to!”? Nawet samodzielnie składając części pod dyktando dorosłego, wciąż pozostaje jedynie ślepym narzędziem. Poczul nieprzyjemne gorąco pocącego się obficie ciała, ogarniał go gniew. Słyszał wyraźnie szybkie kroki, ktoś nadchodził. Pewnie chwycił rękojeść leżącej wzdłuż wyciągniętych nóg siekiery. Najdoskonalsze kryterium, ślepa sprawiedliwość. Ktoś znalazł się w nieodpowiednim miejscu i czasie, przez to umrze. Siedział niewidoczny w ciemności, słysząc szybszy oddech ojca, odgłos tłumiony coraz głośniejszymi krokami. W odległości jakichś dwudziestu metrów od siebie dostrzegł ofiarę. Maszerująca dziewczyna mogła mieć może koło dwudziestu lat, nisko opuszczone jeansy, nieco rozpięta, flanelowa koszula w czerwoną kratę, obrazek niczym kadr filmowy. Ojciec na niego patrzy, musiał działać. Przecież przyciągnął tu mężczyznę, ani przez moment nie okazując wahania. Gdyby teraz pozwolił sobie na słabość, skończyłoby się na tyradzie. „Tak synku, miałeś ciężki okres, ale teraz wszystko będzie dobrze...”, padnie coś w tym stylu. Rozwodzący się rodzice, dorosłe dziecko zabija. Banal.

– Kurwa – wysyczał, wyskakując z cienia, gdy nieznajoma minęła już jego pozycję.

Rąbnął w jej plecy, natychmiast druzgocząc łopatkę. Ostrze ugrzęzło głęboko w ciele, przeraźliwy wrzask, piekący ból. Syn poznał czym jest prawdziwy przeskok czasu, minuty wyjęte z życia, czarna dziura, urwany film. Wszystkie te puste synonimy po brzegi wypełniło doświadczenie. Klęcząc na chodniku, odzyskał wzrok. Mózg kleił wszystkie elementy, tworząc

klarowną wizję przeszłości. Zadał cios, wypuścił rękojeść, a wrzeszcząca nieznajoma prysła mu w twarz ukrytym w kieszeni gazem. Teraz leżała martwa, w wielkiej kałuży krwi buchającej z rozrytego gardła. To ojciec ją uciszył, a teraz właśnie pomagał mu wstać. Niezdarny dzieciak, nie potrafił nawet porządnie użyć siekiery. Był niczym. A mimo to starszy z mężczyzn nie krytykował, przerażony, podskakiwał jak piłeczka wokół trupa z paczką chusteczek higienicznych w ręce, którymi wycierał stylisko.

– Uciekamy! Szybko! – zapiszczał, a Syn usłuchał.

Dwa cienie biegły przed siebie, zwalniając po pewnym czasie do marszu. Mężczyźni dotarli do elektrycznego, jasnego świata pustych ulic, spacerowali spokojnie po kostkowym chodniku, kluczyli alejkami, aż stanęli u bram kamienicy, bezpiecznego schronienia. Ostrożne stopy pokonywały kolejne stopnie, ciche, szybkie, ciężkie oddechy wypełniły ciszę uspiętego budynku, klucz szczęknął, przesuwając mechanizmy zamka, zabłysła żarówka. Byli w Domu.

Dwóch mężczyzn siedziało na schodach, wpatrując się w collie, która przynosiła rzucaną jej co chwilę, małą poduszkę, raźnie merdając ogonem. Radony nastrój suczki nie był udziałem mężczyzny i starca, zajętych własnymi, ponurymi myślami. Za niecałą godzinę miał zapaść zmierzch, dając początek najważniejszej, a być może ostatniej, nocy w ich życiu. Dokładnie zamknęli wszystkie drzwi, zaś okna zabezpieczyli zamykanymi od wewnątrz okiennicami, dotąd stosowanymi jako ostatnia deska ratunku przed nagłym atakiem zimy. Niestety, doskonale wiedzieli, że to, co zamierza wdrzeć się do wnętrza pensjonatu jest znacznie bardziej zdesperowane od zawieruchy oraz, niestety, obdarzone inteligencją. Poduszka raz jeszcze pomknęła w powietrzu, złapana w locie przez rozbawione zwierzę, które widząc wstającego opiekuna wiedziało już, że czas zabaw dobiegł końca.

– Musimy szybko poszukać jakichś świec, latarek, czy czegoś takiego. W końcu nie mamy prądu – zawyrokował młodszy z mężczyzn.

– Mam w piwnicy agregat, paliwa starczy na kilkanaście godzin ciągłej pracy. Nie myśl, że prowadząc zajazd w takim miejscu nie jestem przygotowany na braki w dostawie energii. Będziemy mieć światło i ogrzewanie.

– Idealnie!

– Chodź, zajmijmy się kolacją.

Obrońcy zmienionego w fortecę budynku ruszyli do kuchni, nie zdając sobie sprawy

z obserwatora, przyczajonego w zaroślach kilkanaście metrów od parkingu. Znoszone, brudne ubranie i zarośnięta twarz, do której przylegały śliskie od brudu kępkę włosów, podkreślały dzikość przeciwnika. W jego oczach płonęła niepohamowana nienawiść, choć złowieszcze spojrzenie zdradzało też inteligencję. Wyniszczony chorobą umysł sięgnął do pokładów dawno już nieużywanych wspomnień z czasów, gdy młodzieniec uważany był za człowieka. Szyderczy uśmiech wykrzywił spierzchnięte na mrozie wargi. Znalazł już słaby punkt w zabezpieczeniach schronienia znienawidzonego, fałszywego ojca. Zacisnął gniewnie palce, wiedząc, że aby odnieść sukces, zmuszony będzie raz jeszcze użyć swoich potężnych łap jak rąk, zresztą tak kiedyś nazywał je w języku, którego znaczenia dawno zapomniał. Dłonie. To nimi osiągnie to, co nieosiągalne było dla kłów i pazurów jego braci. Raz jeszcze poprowadzi swoją wierną watahę ku zwycięstwu. A on wyrwie pomstę, zarówno na starym człowieku, jak i jego pomocniku. Czuł też inny zapach, słodką woń suki. Mógł mieć każdą ze swojego stada, lecz rzadko korzystał z tego przywileju. To było zbyt łatwe, a on zawsze poszukiwał wyzwań. Kiedy skończy swoje sprawy z ludźmi, zakosztuje uroków ciała przedstawicielki nieznanej mu dotąd rasy. A kiedy pozna już wszystkie sekrety jej wnętrza, rozkaże rozszarpać to ścierwo. Samozwańczy król wilków nie mógł pozwolić sobie na spółdzenie dziedzica z suką zhańbionego, zaprzedanego ludziom gatunku psów. Potomek. Myśl o nim, a raczej jego braku, przywołała grymas wściekłości na twarz samca alfa. Do tej pory żadna z tych żalonych wilczyce nie powiła mu następcy. Był pewien, że kryło się za tym jego dawne powiązanie z ludźmi. Kiedy nasyci żołądek krwią swojego byłego ojca, wówczas ostatecznie rzuci z siebie tę klątwę, spółdzi syna. Tymczasem ruszył ostrożnie w drogę powrotną, analizując szczegóły swojego morderczego planu.

Dochodziła północ, gdy starzec podszedł do okna, zerkając w ciemność pochmurnej nocy, kryjącej w swych objęciach oddziały nadciągającego wroga. Za nim stał uzbrojony w dubeltówkę mężczyzna, a jego pies spał zwinięty w kłębek pod ciepłym grzejnikiem. Suka mogła okazać się bardzo przydatnym sprzymierzeńcem, kto wie, może jej zwierzęcy instynkt ostrzeże ją, a przy okazji również ich, przed nadciągającym niebezpieczeństwem? Zakasłał cicho, zajmując miejsce w fotelu ze słowami:

- Spokój. Liczyłem, że zaatakują już wcześniej, nie wiem dlaczego zwlekają...
- Może dziś nie przyjdą, ale po prostu chcą nas zmęczyć?
- Kto wie. Zabezpieczyliśmy wszystkie wejścia i w przypadku zwykłego ataku wilków to na pewno by wystarczyło, ale pod wodzą mojego oszalałego syna te bestie są stokroć

bardziej niebezpieczne.

Mężczyzna miał coś powiedzieć, ale w tej samej chwili zewsząd dobiegł przeciągły skowyt przyczajonej w mroku watahy. Wilki hałasowały bez ustanku przez kilka minut, nim ponownie nastąpiła głucha cisza. Dopiero wtedy przerażony starzec dostrzegł, jak zwierzęta wybiegają na parking, zmierzając wprost do głównego wejścia. Choć nie mógł tego dostrzec, był pewien, iż drzwi, w jakiś niepojęty dla niego sposób, zostały otwarte.

Ludzki wódz wilków podskakiwał w miejscu, deptając nienaturalnie zrogowaciałymi stopami podłogę zdobytej twierdzy. Dziwaczną, charkliwą imitacją śmiechu obwieszczał radość, jego plan zadziałał! Przed godziną rozkazał swoim braciom dyskretnie zająć pozycje wokół budynku, zamykając go w szczelnym pierścieniu. Cierpliwie czekały na jego znak, aby swoim wyciem zagłuszyć wszystkie inne odgłosy. Wtedy to wspiał się po rynnie i wybijając szybę w oknie na piętrze, otworzył je, wskakując do środka. Był jak cień, cichy, nieuchwytny. Dotarł bez trudu do masywnych wrót wejściowych, zręcznie przekręcił gałkę zamka, którego zgrzytliwy, mechaniczny chrzęst obwieścił początek końca oblężonych ludzi. Nacisnął niezdarnie klamkę. Drzwi stanęły otworem, wpuszczając do środka spragnione krwi bestie, które natychmiast wypełniły ciepły hol, oczekując na dalsze rozkazy. Ich władca warknął, wskazując na schody, na które natychmiast wbiegła dwójka młodych wojowników, żądnych wykazania swej wartości w nadciągającej bitwie, a raczej rzezi czekających na bolesną śmierć ludzi.

Mężczyzna klęczący na środku korytarza wypalił natychmiast, gdy u szczytu schodów pojawili się pierwsi napastnicy. Dwa strzały oddane z odległości niespełna piętnastu metrów sięgnęły celu. Pierwszy z nich zabił nadbiegającego napastnika, drugi zaś dotkliwie zranił kolejnego. Strzelec cofnął się do pokoju, pośpiesznie zatrzaskując drzwi. Klucz szczękął w zamku, a chwilę potem bezużyteczne łuski padły na podłogę, ustępując miejsca w lufach ładunkom podanym przez roztrzęsionego starca.

– Nie zaryzykuję kolejnego otwarcia drzwi! – zawołał mężczyzna, mocniej ściskając świeżo załadowaną strzelbę.

– Nie mam najmniejszego zamiaru cię do tego przekonywać. Bronimy się tutaj! Zwierzęta same nie sforsują drzwi.

– A twój syn?

– Nie wiem, naprawdę nie wiem.

Mężczyzna westchnął ciężko, spoglądając ze smutkiem na żałośnie skuloną w kącie

kochankę. Ją też czekał marny los, jeśli te bestie zdobędą ich przyczółek. Na myśl przyszło mu absurdalne porównanie ich obecnej sytuacji z Termopilami. Jednak starożytni Spartanie byli gotowi umrzeć, w dodatku mieli świadomość, że ich wyczyn prawdopodobnie zostanie uwieczniony na kartach historii. Natomiast ich trójkę czekała żalosna śmierć w zapomnieniu. Słyszał wściekle warczenie zgromadzonych na korytarzu zwierząt, niektóre z nich drapały drzwi, dając upust furii. Nieumiejętnie zamocowany, nieproporcjonalnie wysoki próg lekko zadrżał. Strzelec jak zahipnotyzowany spoglądał na kawałek drewna, czując jak napelniają go nowe siły. Nie wszystko było stracone. Miał plan! Kilka energicznych ciosów kolbą poważnie nadwyrężyło próg, który po chwili stosunkowo łatwo mógł wyrwać.

– Co ty właściwie robisz? – spytał zaniepokojony starzec.

– Mały eksperyment.

Strzelec położył się na podłodze wkładając koniec lufy do szczeliny pod drzwiami, w którą wpełznąły swoje nosy kilka rozwścieczonych wilków. Dwa strzały poprzedziły dziki skowyt ranionych śmiertelnie zwierząt. Wściekle ujadanie, warczenie i wycie mieszało się ze śmiertelnymi piskami pozbawionych nozdrzy napastników. Mężczyzna szybko przeładował broń, czekając na kolejną okazję do oddania strzału. Ta nadarzyła się szybciej, niż przypuszczał, gdy kolejne osobniki nierozważnie próbowały wcisnąć pyski w otwór, skąd dobiegał ich wyraźny zapach przyszłych ofiar. Raz jeszcze lufa wypluła grad śrutu, gładko rozrywający wilcze pyski. Tym razem przez przerażającą kakofonię dźwięków zwierzęcej furii przebiło się wyraziste, gardłowe porykiwanie ich obłąkanego, ludzkiego przywódcy. Wilki posłusznie odeszły spod drzwi, opuszczając tym samym strefę zagrożenia. Ich wódz nie miał bynajmniej zamiaru zrezygnować z realizacji swojego planu, musiał jedynie obmyślić nowy, pewny sposób na sforsowanie tej niespodziewanej przeszkody. Ludzie, kosztem życia pięciu jego braci, kupili sobie nieco czasu. Na szczęście niedługo zapłacą za to własną krwią!

Było wczesne popołudnie, gdy Syn skończył pisać kolejny fragment opowiadania. Ta praca oderwała go na pewien czas od wspomnień ostatniej nocy. Te zresztą sprawiały wrażenie snu, dziwacznej fikcji wykreowanej przez niezdrowo rozbudzony umysł. Wspomnienia dokonanej zbrodni były tak nierealne, że gdyby nie obecność ojca przy popełnianiu tego czynu, prawdopodobnie młodzieniec wziąłby to wszystko za wybryk własnej wyobraźni. Tymczasem starszy z mężczyzn już od dłuższego czasu siedział nieruchomo przy

kuchennym stole. Jednostajny stukot klawiatury dobiegający z pokoju działał na niego uspokajająco, wręcz hipnotycznie. Gdy kojący dźwięk ucichł dziwne otępienie zniknęło, a czas znów zaczął płynąć. Morderca spojrział na potomka, wchodzącego właśnie do pomieszczenia ze słowami:

– Chcesz herbaty?

– Tak, poproszę.

Cztery słowa, plusk nalewanej wody, pstryknięcie włączonej maszyny. Dwaj ludzie siedzieli po przeciwnych stronach stołu, wpatrzeni we własne, szarawe, naznaczone zmęczeniem twarze. Żaden z nich nie mógł pierwszy powiedzieć tego, o czym obaj myśleli. To była pomyłka, nie więcej. Żadnych wielkich słów, wewnętrznego cierpienia. Po prostu żal, niczym nie różniący się od wyrzutów sumienia po ataku furii, w którym bezmyślnie zbija się ulubiony kubek. Spoglądając na roztrzaskaną ceramikę człowiek może tylko żałować. Żadna naprawa nie przyniesie skutku, ślady zawsze pozostaną na naczyniu, przypominając o własnej głupocie. Można tylko wyrzucić skorupy i zapomnieć. Huczące urządzenie pstryknęło, zwiastując wykonanie powierzonych mu prac. Kilkanaście sekund moczenia zalanych torebek z supermarketu, wyciśniętych łyżką o brzeg naczyń, po dwie łyżki cukru.

– Jestem zmęczony, wezmę kąpiel – oznajmił ojciec.

– Popiszę jeszcze – poinformował syn.

W milczeniu upili pierwsze łyki, cofając szybko wargi przed gorącym płynem. Wstali, rozchodząc się w swoje strony. Między nimi nie zaszła żadna zmiana, równie dobrze mogła to być jedna z tysięcy bliźniaczych sytuacji, rozgrywanych przez lata zarówno w starym, jak i nowym mieszkaniu. Byli teraz kryminalistami, współwinnymi bezsensownej śmierci, to była jedyna różnica. Jałowe ciała powstały, niosąc wolę swych panów, którzy zrozumieli już, że tej nocy umarły trzy osoby, gdyż ofiara wciągnęła ich ze sobą w bagno śmierci.

Wódz wilków spoglądał nienawistnie na drzwi dzielące go od upragnionej zdobyczy. Wiedział, że żaden z jego sług nie jest w stanie sforsować tej przeszkody, było to poza możliwościami zwierząt. Parsknął wściekle, świadomy tego, że po raz kolejny przyjdzie mu skorzystać z resztek ludzkiej natury. Mimo wszystko był w stanie znieść to upokorzenie, gdyż po osiągnięciu sukcesu już nigdy nie będzie musiał kłaść się podobnymi praktykami. Jego metamorfoza nareszcie będzie kompletna. Tymczasem krótkim warknięciem nakazał trwać

swoim wojownikom na pozycjach, samemu ruszając ku schodom.

Mężczyzna wstał z fotela, zerkając ku śpiącej na łóżku collie. Biedne zwierzę było już spokojniejsze, choć ta „przygoda” z pewnością długo jeszcze będzie ją prześladować w snach. O ile psy w ogóle śnią. Starzec również sprawiał wrażenie spokojnego, chociaż jego twarz wyrażała raczej pogodzenie z losem. Byli tu uwięzieni, a do świtu pozostało jeszcze wiele godzin. Zresztą co da im wschód słońca? Ot, umierać będzie raźniej, nie ponadto. Wilki prawdopodobnie nadal przebywały w korytarzu, zbierając siły przed kolejnym atakiem. Wiedział, że dopóki od napastników oddzielają ich drzwi, mają chociaż cień szansy. Zostało mu siedem pocisków, stanowczo zbyt mało, aby odeprzeć otwarty atak. Zresztą nawet z całą skrzynką amunicji i tak nie zdążyłby przeładować broni na tyle szybko, aby uniknąć rozszarpania. Spojrzał tęsknie za okno. Wysoka zasma zamortyzowałaby ewentualny upadek, zresztą skok z pierwszego piętra sam w sobie nie był zbyt niebezpieczny. Nawet jeśli jakimś cudem uszkodziłby sobie nogę, to i tak bez większego wysiłku dotarłby do najbliższego drzewa, chroniąc się wśród jego konarów. Niestety, to rozwiązanie miało zasadniczą wadę. Ocalałby tylko on. Strata długowłosej kochanki to cios, na który nie mógł sobie pozwolić. Równie dobrze wataha może rozszarpać go tu i teraz. Żałował, że w tych, być może ostatnich chwilach, nie może okazać suczce więcej czułości. Przeklęty starzec! Kto wie, może gdyby wyrzucił gospodarza tego przeklętego pensjonatu za drzwi, to bestie dałyby im spokój. Na to, niestety, nie mógł się zdobyć. Nieszczęśliwy ojciec prześladowany przez oszalałego syna był bez winy. W końcu dał mu schronienie i broń, a co za tym idzie szansę na przeżycie. Atak nastąpiłby tej nocy niezależnie od obecności pary kochanków w *Zaklętym łowcy*. Po prostu znaleźli się w nieodpowiednim miejscu i o złej porze. Zwykły pech, okrutny kaprys losu. Mężczyzna porzucił ponure rozważania, słysząc wyraźny odgłos kroków. Usłyszał chlupnięcie, jakby ktoś energicznie wylał z wiadra wodę, która z impetem uderzyła o jakąś powierzchnię. Sekundę później przerażony obrońca zrozumiał, jaki szatański plan wcielił w życie jego przeciwnik. Pojął też, że wszelka nadzieja legła w gruzach. Byli skończeni.

Obląkany samiec alfa zatarł z radością dłonie, zapominając na moment, iż jest to gest typowy dla ludzkiego gatunku. Prowadzony wspomnieniami zszedł do piwnicy, gdzie znalazł zapasy paliwa dla huczącej nieprzyjemnie maszyny wytwarzającej tak cenną dla ludzi energię. Odlął trochę tego, drażniącego jego czułe nozdrza, płynu do przywleczonej z kuchni miski. Zabrał też z recepcji ukrytą pod blatem paczkę zapalek. Jego dawny ojciec przez lata nie zmienił swoich zwyczajów, co teraz miało przynieść nieszczęśnikowi śmierć.

Przypominając sobie niegdyś całkowicie naturalny ruch, wilczy wódz odpalił zapalną, rzucając płonącym pociskiem w oblane przed momentem benzyną drzwi. Gwałtowna eksplozja sprawiła, że z niemal ludzkim krzykiem uskokzył do tyłu. Wszyscy jego słudzy kwiląc przeraźliwie, zbiegli po schodach, kłębiąc się w holu. Wilki z zachwytem spoglądały na swojego nieustraszonego przywódcę, który został na piętrze, tuż przy tych straszliwych płomieniach. Żywiół szybko trawił drewno, które już niedługo miało stracić swoją moc, stając się jedynie zwęgloną, łatwą do pokonania przeszkodą.

Mężczyzna nerwowo ścisnął rękojeść strzelby, z bezsilną złością spoglądając na złowieszcze strugi czarnego dymu, wciskające się do pokoju przez szczelinę po wyrwanym progu. Żałosny skowyt przebudzonej kochanki dodatkowo pogłębił ogarniającą go rozpacz. Gdzieś z korytarza dobiegł go dziwaczny, charczący śmiech. A więc jego przeciwnik stał tam i cierpliwie czekał, aż jego plan przyniesie rezultaty.

– Skurwiel – wycodził przez zęby.

W akcie rozpaczony pospiesznie zlustrował pomieszczenie wzrokiem w poszukiwaniu czegoś przydatnego. Jego spojrzenie padło na łóżko, a udręczony umysł niespodziewanie podpowiedział rozwiązanie. Pełnym determinacji głosem zwrócił się do starca, wyrывая go tym samym z dziwnego, niemal lunatycznego stanu.

– Bierz narzutę. Wychodzimy!

– Co?

– Twój syn stoi na korytarzu. Myślę, że jest sam. Wilki nie stałyby tak blisko ognia!

Starszy z mężczyźni milczał, próbując zrozumieć, co kryje się za tym stwierdzeniem. Nagle pojął jego zamysł. Czując, jak jego steranym latami ciałem wstrząsa nagły dreszcz. Dla pewności spytał:

– Masz zamiar otworzyć je gwałtownie i po prostu go zastrzelić?

– Dokładnie! Zaraz po moim strzale rzucę strzelbę w głąb pokoju, a ty podasz mi koc. Ugaszę nim płomień i wrócę do środka. Wtedy będziemy już całkiem bezpieczni.

– A jeśli na zewnątrz są wilki?

– Widzisz inne rozwiązanie?

– Hm. Nie traćmy czasu.

Mężczyźni zajęli swoje pozycje, czując jak adrenalina przyjemnie przyśpiesza ich puls. Drzwi gwałtownie rozwarły się na całą szerokość, wypuszczając strzelca na zewnątrz. Kilka metrów przed nim, wsparty samotnie o ścianę, stał zaskoczony przywódca stłoczonej na dole

watahy. Widząc wycelowane w siebie dwie lufy, które jednocześnie wypluły mordercze pociski ze spokojem przyjął swój los. Śrut rozerwał jego pierś, wylatując z drugiej strony. Martwe, drżące konwulsyjnie ciało padło na podłogę, odsłaniając krwawy wzór zdobiący drewnianą ścianę. Tymczasem zabójca władcy lasu błyskawicznie przytłamsił płomień, które na szczęście nie zdążyły poważnie uszkodzić drzwi, za którymi ponownie schronili się drżący z podniecenia i strachu mężczyźni. Po chwili żałosne wycie jednego z wilków dowiodło, iż zwierzęta odkryły już śmierć swojego wodza. Szybko skowyt wypełnił cały budynek, przez wiele minut szarpiąc nerwy triumfujących obrońców. W końcu przerażające dźwięki ustały, a stojący u okna mężczyźni wkrótce ujrzeli, jak wataha bezładnie opuszcza miejsce, które przyniosło jej tak wiele niepowetowanych strat w liczebności. Mężczyzna westchnął ciężko, choć z ulgą. Przetrwali. Usiadł na łóżku, zerkając na skulonego w kącie starca. Nieszczęśnik cieszył się z uratowanego życia, jednocześnie przeżywając stratę, wprowadzie obłąkanego, lecz wciąż przecież syna. Przeniósł wzrok na podłużny pyszczyk wyraźnie zmęczonej collie. Następnej nocy odreagują to wszystko. Mieli siebie i wciąż żyli, nic więcej nie było teraz potrzebne.

Gwałtowny wystrzał sprawił, że przerażone zwierzę poderwało się ze swojego miejsca. Mężczyzna również podskoczył, z obrzydzeniem patrząc na resztki czaszki starca, którą rozłupała siła uwolnionych naraz pocisków. Przegrany zwycięża tej paskudnej nocy najwidoczniej stracił chęć do życia, do tej pory wypełnionego ciągłym strachem przed atakiem szalonego syna. W głuchej ciszy, jaka zaległa w pomieszczeniu, można było usłyszeć przyspieszone bicie własnego serca. Ten właśnie dźwięk zastąpił fanfary na cześć jedyne, prawdziwego zwycięzcy tej krwawej potyczki. Śmierci.

Syn oderwał zmęczony od wpatrywania się w ekran wzrok, uśmiechem kwitując kawał, jego zdaniem, dobrej roboty. Wstał i chwiejnym krokiem ruszył ku łazience, w marszu rozprostowując zastałe kończyny. Zapalił światło, energicznie otwierając pomalowane na biało drzwi. W tym momencie poczuł, jak cała jego wola pęka jak skruszona dziecięcą dłonią sucha gałązka. Stał oko w oko z, jeszcze przed kilkoma chwilami czysto retorycznym, ubarwiającym tekst zwrotem. Ujrzał śmierć. Ojciec leżał w blado-czerwonej wodzie, nagi, blady, z założonymi na piersi rękoma, z których nie ciekła już krew. Syn do swojego wora przymiotników śmiało mógł dodać kolejny, barwny opis. Ogarnęło go uczucie żalu tak silne,

że fizycznie nie był w stanie, nie tylko uronić choćby jednej łzy, lecz nawet ruszyć się z miejsca. Mógł tylko stać, lunatycznie wpatrzony w swoje dzieło. Wszystko gdzieś znikło, nawet nienawiść. Zalała go fala wspomnień. Znow był małym chłopem, który patrzył, jak jego Bóg-Ojciec walczy z gorączką. Tym razem nie było mowy o zwycięstwie. Wyzwolony od surowego osądu młody człowiek stał przerażony wolnością, z którą nie miał co zrobić. Utraciwszy swoją drugą stronę, bezcenny rewers, nie był w stanie się zdefiniować. Bezwładna, pusta skorupa ciała padła z głuchym hukiem na wyłożoną zielonymi kafelkami podłogę. Wola żywego gwałtownie przestała istnieć, cały jego umysł zaakceptował nowego pana, który łapczywie zdominował każdy jego zakamarek. Był nim Strach.

Czerwiec 2011